

# Kryształowy Gryf

**NORTON ANDRE**



calibre 0.7.28

Andre Norton

Kryształowy Gryf

Przełożyła: Elżbieta Krajewska

Tytuł oryginału The Crystal Gryphon

Dla S.A.G.A.(Gildii Szermierzy i Czarowników Ameryki)

za ich wkład w rozpowszechnianie sztuki czan

Oto początek przygod Kerovy, przyszłego pana-dziedzica na Ulmsdale z High Hallack

Urodziłem się dwakroć przeklety. Po pierwsze, ojcem moim był Ulric, Pan na Ulmsdale na północy. A o jego krwi mówiono zatrważające rzeczy. Moją pradziad, Ulm Rogoreki, ten który poprowadził swój lud na północne niziny i wynajął wólczegów morskich, założycieli Ulmsportu, ograbił był pewną siedzibę ludzi Starej Rasy, zabierając zamknięty w niej skarb. Wiadomo było, że nie był to skarb zwyczajny, bo jaśniał w ciemności. Natomiast po grabieży nie tylko Ulma, ale wszystkich, którzy towarzyszyli mu podczas owej strasznej wyprawy, nawiedziła bolesna choroba ciała, od której większość z nich zmarła. Gdy urodziłem się ja, mój ojciec dobiegał już średniego wieku. Zanim wziął moją matkę, miał już dwie panie i każda z nich powiła mu dzieci, lecz rodziły się martwe lub wczesnie schodziły ze świata, bowiem wszystkie były słabe i chorowite.

Lecz on poprzysiągł sobie mieć dziedzica, więc odsunął swoją drugą małżonkę, gdy stało się jasne, że nie da mu potomstwa i pojął moją matkę.

Krew mojej matki również obciążyła mnie kłatwa. Matka mi była Pani Tephana, córka Fortala z Paltendale, doliny leżącej nieco bardziej na północny zachód. Są jeszcze tacy, którzy kresła znaki urok odczyniające, napotkawszy mieszkańca Paltendale, i twierdzą, że w czasach, gdy nasze plemię osiedliło się na tej ziemi, żyli tam jeszcze przedstawiciele Starej Rasy, podobni do ludzi, i że nasz lud, zwany Granicznikami, zmieszał się krwią z nimi, więc potomkowie tego plemienia nie są w pełni ludźmi.

Jak by nie było, mój ojciec pragnął rozpaczliwie dziedzica. Tephana, niedawno owdowiała, była już matka zdrowego dziecka, Hlymera, w owym czasie mającego blisko dwa lata. Mój ojciec gotów był zapomnieć o posagu, ogłuchnąć na wszelkie pogłoski o krwi pomieszanej i przywitać panią z wszelkimi honorami. Z tego, co słyszałem, zgodziła się chętnie, nawet mimo przekleństwa, które ciążyło na rodzice mojego ojca za kradzież skarbu.

Rozwiązanie nadeszło za wcześnie i w dziwnych okolicznościach. Moja matka była właśnie w drodze do chramu Gunnory, aby złożyć ofiarę na syna i szczęśliwy porod. O dzień drogi od chramu nagle poczuła bole. Nie było w pobliżu żadnego dworu ani nawet chaty, a zbierało się na wielką burzę. Służące i zbrojna eskorta wniesli ją pod dach, który w innych

okolicznosciach ominięto by: do wnętrza owych tajemniczych i budzących grozę ruin po Dawnych - ludziach Starej Rasy posiadających niezwykłą Moc. Władali oni na dolinach w zamierzonej przeszłości, zanim nasi dziadkowie przywędrowali tu z południowych stron.

Budowla była w dobrym stanie, co często się zdarza w przypadku konstrukcji pozostawionych przez ową tajemniczą rasę. Ponieważ zdaje się, iż Starzy Ludzie umieli spojść kamienie czarami tak silnie, że nawet czas ich nie mógł naruszyć. Dlatego niektóre ich miejsca sprawiają wrażenie, iż opuszczono je zaledwie wczoraj. Nikt nie wiedział, czemu właśnie ta służyła. Lecz wewnątrz na ścianach widniały rzeźbione postaci kobiet i mężczyzn, i inne, przypominające ludzi.

Matka rodziła nielekką i służki obawiały się o jej życie. Gdy się urodziłem, niemal załowały, że przeżyła. Kazała sobie podać niemowlę i obejrzawszy mnie całego, krzyknęła strasznym głosem i straciła zmysły, a mało brakowało, żeby i rozum. Przez kilka następnych tygodni myśl jej błądziła po jakichś nieznanym rozdrożach.

Nie byłem podobny do innych dzieci. Moje stopy nie kończyły się palcami jak u ludzi, ale rozszczepionymi kopytami pokrytymi rogiem jak paznokcie. Z mojej twarzy, pod skośnymi brwiami, wзираły oczy koloru bursztynu, niepodobne do żadnych oczu na ludzkim obliczu. Stąd wszyscy, którzy na mnie spojrzeli, poznali, że choć zdawałem się silniejszy i zdrowszy od moich nieszczęsnych przyrodnych braci i siostr, we mnie przekleństwo objawiło się inaczej. Nie słabowałem, nie umarłem, ale rosłem i chowałem się dobrze.

Jednakże matka nie chciała mnie znać twierdząc, że diabelskim podrzutkiem i wyrosłem z czarów zasianych w jej łonie. Gdy zaniesiono mnie do niej, zaczęła bredzić nieprzytomnie, tak że obawiano się, czy wróci do zdrowia i czy jej stan się nie utrwali. Wreszcie oznajmiła, iż nie ma innego dziecka prócz Hlymera - a później mojej siostry Lisany, która urodziła się w rok potem: jasnowłosa panią bez żadnej skazy. Ona sprawiała mojej matce wiele radości.

Natomiast dla mnie brakło miejsca pod dachem zamku Ulmskeep i odesłano mnie, abym chował się u jednego, z lesników. Choć matka się mnie wyparła, ojciec - nie powodowany uczuciem, ponieważ uczucia nigdy mi moi najbliżsi nie okazali, ale dumą rodową - zapewnił mi wychowanie godne mojego urodzenia. Nadal mi imię Kerovan, noszone niegdyś przez jednego z moich dziadków, wspaniałego w bojach, i dopilnował, bym uczył się władania bronią jak przystało młodzieńcowi szlacheckiego rodu i znaku, wyznaczając mi na opiekuna niejakiego Jagona. Był to mąż dobrze urodzony, choć nie posiadał własnej ziemi, a u mego ojca zarządzał dworem, póki nie okulał po wypadku w górach.

Jagon był mistrzem sztuki wojennej, zrezygnował nie tylko w ostatnich ćwiczeniach, których można wyuczyć każdego chłopca o silnych członkach i bystrych oczach, ale i we wszystkim, co wymagało zmysłowych sposobów i co wiązało się z rozkazywaniem większym lub mniejszym grupom ludzi. Ten niegdyś ruchliwy mężczyzna, teraz okaleczony i zmuszony

zyc za ledwie polowa zycia, zmuszal swoj rozum do pracy tak, jak niegdys ciało. Wciaz zglebial wiedze bitewna i czasami noca widywalem go nachylonego nad kawalkiem wygladzonej kory, cierpliwie i z trudem spisujacego nieforemnym pismem przypadki lamania oblezen, prowadzenia natarcia i tym podobne. Przy tym caly czas mowil do mnie i dla podkreslenia tej czy innej uwagi, klul kore ostrzem noza, ktorego uzywal zamiast rylca.

Jagon w swoim zyciu widzial o wiele wiecej niz wiekszosc mieszkancow dolin, ktorzy poznawali najwyzej trzy, moze cztery doliny poza wlasna. We wczesnej mlodosci trafil za morze i podrozowal razem z groznymi kupcami z Sulkaru, zeglarzami i wloczegami morskimi, do krain owianych legenda - Karstenu, Alizonu i Estcarpu. Niewiele mi opowiadal o tej ostatniej i zdawal sie niepokoic, gdy prosilem go, aby mi opisywal swe wedrowki. Mowil tylko, ze byl to kraj, gdzie zaklecia i czary byly tak pospolite jak zboze, ze wszystkie tamtejsze kobiety byly czarownicami i uwazaly sie za lepsze od mezczyzn, trzymajac sie od nich z dala; wiec bylo to miejsce, gdzie trzeba bylo miec oczy otwarte, stapac ostroznie i mowic niewiele.

Wspominam Jagona z wdziecznoscia. Najwyrazniej widzial we mnie zwyklego chlopca, a nie potwora. Dlatego gdy bylem razem z nim, moglem zapomniec o swojej innosci, byc spokojny i zadowolony. Tak wiec Jago uczyl mnie sztuki wojennej - a wlasciwie tego wszystkiego, co dziedzic doliny wiedziec powinien. Bowiem w owych dniach nie znalazlismy prawdziwej wojny, wojna nazywajac drobne utarczki miedzy rywalizujacymi panami albo wyprawy przeciw wyjetym spod prawa mieszkancom Ziem Spustoszonych. Ich widywalismy czesto podczas dlugich zim, kiedy glod i zla pogoda gnaly ich przeciw nam. Lupili nasze spichrze i walczyli o nasze cieple dwory i zagrody. W latach pozniejszych wojna zmienila twarz na bardziej sroga i mezowie mieli jej az nadto. Nie byla to juz gra, ktora toczyła sie wedlug pewnych regul, i w ktora mozna bylo bawic sie tak, jak przesuwala sie pionki na planszy w dlugie zimowe wieczory.

Jezeli Jagon byl mi nauczycielem szermierki, to Riwal Madry objawil mi, iz po swiecie mozna krocyc roznymi drogami. Powszechnie uwazano, ze tylko niewiasta moze posiadac sztuke leczenia i czynic zaklecia, do ktorych uciekamy sie w potrzebie ciała i ducha. Stad Riwal jak i ja bylismy obcy naszym rowiesnikom. Pragnal on wiedzy tak, jak glodujacy moze pragnac chleba. Czasami wyruszal na wedrowki nie tylko po lesie, lecz dalej, bo zapuszczal sie nawet na Ziemie Spustoszone, zwane Odlogami. Wracal obarczony ciezarem tobola niby wedrownym kupiec, ktory obnosi ze soba zapasy swych towarow.

Byl spokrewniony z Naczelnym Lesniczym i dlatego zezwolono mu przejac jedna z pobliskich chalup. Uszczelnil ja i ocieplil wlasnymi rekoma, a nad drzwiami zawiesil maske z kamienia, ktorej rysy nie przypominaly zadnego ze znanych nam ludzi. Owszem, spojierano bokiem na Riwala, lecz niech tylko zaniemoze zwierze czy maz zlegnie powalony nieznana choroba - po niego posylano.

Wokol jego szalasu rosly przerozne ziola, niektore od dawna znane kazdej niewiescie z dolin. Lecz byly tu tez i inne, sprowadzone przezen z daleka, ktorych korzenie okladal grubo

ziemia i pielegnowal wiele troskliwie. Wszystko mu roslo, totez rolnik, ktory pragnal miec najlepsze zbiory, szedl don w czas siejby z czapka w garsci i prosil, by Madry raczyl rzucic okiem na jego ziemie i doradzic.

Nie tylko umial zbudzic zycie zielone, ale i wykrzesac zywot z wszelkiego stworzenia, co na skrzydlach wzlatuje lub biega na czterech lapach. Chore ptaki i zwierzeta przychodzily do niego same albo ostroznie zanosil je do swojej chalupy. Tam je leczyl i opiekowal sie nimi, poki nie mogly same o siebie zadbac.

Juz to wystarczyloby, aby towarzysze odsuneli sie od niego, a wiadomo bylo wszystkim, ze Riwal chadzal tez do miejsc nalezacych do Dawnych i szukal tajemnic nigdy przez nasze plemie nie poznanych. Dlatego obawiano sie go. Mimo to wszystko, a wlasciwie dzieki temu mnie pociagal.

Mialem wyostrzony sluch jak kazde dziecko, ktore widzi, ze mowi sie o nim zasloniwszy wargi dlonia. Znałem opowiesci o mym pochodzeniu, o klatwie ciazacej na rodzie Ulma, jak rowniez wzmianki o przedziwnej mieszaninie, ktora skazila krew mojej matki. Byc moze dowodem na obie klatwy bylo to, co bylo moim cialem. Wystarczylo mi spojrzec w lustro wypolerowanej tarczy Jagona, aby sie o tym przekonac.

Szedlem do Riwala na pozor odwaznie, lecz czujac wewnetrzny chlod, ktory mimo mego mlodego wieku staralem sie zwalczyc. Zastalem go na kolanach: rozsadzal rosliny o lisciach dlugich, waskich, wycietych ostro niby groty wloczni na dziki. Nie podniosl glowy, gdy podchodzilem, ale odezwal sie jak gdybym spedzil caly ranek w jego towarzystwie.

-Madre nazywaja to Smoczym Jezykiem. - Mial miękki glos, z lekka drzacy, niemal sie jakal. - Mowia, ze wynajdzie ropiejaca materie w nie zagojonej ranie i tak jak jezykiem wylize skaleczenie na czysto. Zobaczmy, zobaczymy. Ale nie dlatego tu stoisz, Kerowanie, by mowic o roslinach, nieprawdaz?

-Nie dlatego. Mawiaja, ze posiadles wiedze o ludziach Starej Rasy.

Przysiadl na pietach, by spojrzec mi w oczy.

-Mala jej czastke. Mozemy patrzec i dotykac, szukac i badac, ale ich mocy nie zlapiemy w siec ani pulapke. Mozna miec jeno nadzieje wymiesc tu czy tam okruch, mozemy snuc domysly, wiecznie poszukujac. Oni posiadli ogromna wiedze o budowaniu, tworzeniu, zyciu - ktorej nigdy nie obejmujemy rozumem. Nawet nie wiemy, dlaczego wiekszosc z nich odeszla z High Hallack, kiedy przybyli tu pierwsi nasi przodkowie. Nie my ich wyparlismy nie, juz wowczas ich zamki i swiatynie, ich Siedziby Mocy opustoszaly. Tu i tam, owszem, paru jeszcze sie ostalo. Mozna ich bylo jeszcze znalezc na Ziemiach Spustoszonych i poza nimi, na terenach, gdzie my jeszcze sie nie zapuscilismy. Lecz wiekszosc \_ zniknela moze na dlugo przed pojawieniem sie ludzi, takich jakich my znamy. Coz, poszukiwania tego, co moze tu tkwic ukryte, wystarczy, by zapelnic zywot, a mimo to nie znajdzie sie dziesiatej

dziesiątych części!

W jego brązowej od słońca twarzy oczy iskrzyły się takim samym blaskiem jak ten, który spostrzegłem u Jagona, gdy mówił o sztuczce fechtunku lub o sprytniej zasadzce. Teraz Riwal badawczo mi się przyglądał.

-Czego szukasz u Dawnych?

-Wiedzy - odparłem. - Wiedzy o tym, dlaczego jestem czym jestem: ni maz, ni... - Zawahałem się, gdyż дума nie zezwoliła mi wyrazić rzeczy, które usłyszałem w szeptach.

Riwal skinął głową.

-Każdy człowiek winien szukać wiedzy, a najpilniej wiedzy o samym sobie. Lecz takiej wiedzy ja ci dać nie mogę. Chodź.

Wstał i ruszył w kierunku szalasu kolyszającym się krokiem lesnika. Poszedłem za nim, zaniechawszy dalszych pytań i wszedłem do skarbca Riwala.

Mogłem jedynie stanąć tuż przy drzwiach i patrzeć na to wszystko, co mnie otaczało, ponieważ nigdy przedtem nie widziałem tylu rzeczy, a każda z nich przyciągała wzrok i domagała się bliższej uwagi. W koszach i na gniazdach siedziały dzikie zwierzęta i ptaki, obserwujące mnie błyszczącymi i nieufnymi oczyma. A mimo to zdawało się, że czują się w tym miejscu bezpieczne, nie uciekały i nie kryły się ze strachu. Na ścianach wisiało wiele polek, a na każdej szorstkiej, źle oheblowanej desce tłoczyły się ciężkie gliniane naczynia, wiązki ziela i korzonków, a także kawałki i części przedmiotów, które mogły pochodzić tylko z siedzib Dawnych.

W izbie stało też łóżko i dwa stolki ustawione tak blisko paleniska, że niemal dotykały ognia. Reszta szalasu zdawała się raczej składem niż ludzkim mieszkaniem. Riwal stanął pośrodku i oparł pięści na biodrach, obracając głowę w lewo i prawo, jakby chciał wylowić wzrokiem coś szczególnego spośród owej mnogości rzeczy.

Wciągnąłem nosem powietrze. Mieszały się w nim różne zapachy. Aromat ziół zmagal się z pismowym odorem zwierząt i wonia strawy warzonej w garncu zawieszonym na lancuchu nad paleniskiem. Lecz w żadnej mierze nie był to obrzydliwy zapach brudu.

-Szukasz śladów Starej Rasy, więc spojrzysz tutaj! - Riwal wskazał na jedną z polek. Wyminałem dwa kosze zajęte przez kudlatych mieszkanców i podszedłem bliżej, by zobaczyć to, na co wskazywał: rozłożone fragmenty niewielkich figurek i masek, z których jedna czy dwie były całe. Niektóre potrzaskane części udało mu się dopasować do siebie i złożyć w czytelne kształty figurki.

Czy rzeczywiście były to wizerunki istot żyjących wśród Dawnych, czy żyły jedynie w wyobraźni swych twórców, nie wiadomo. Lecz były piękne, nawet jeżeli nadano im

groteskowa formie - sam widziałem.

Była tam figurka skrzydlatej kobiety, niestety pozbawionej głowy, i mężczyzny, z którego czoła wyrastały dwa zakrzywione rogi, a mimo to jego twarz miała wyraz szlachetny i spokojny, jakby należała do człowieka wielkiego duchem. Była tam postać o dłoniach i stopach spiętych blonami, najwyraźniej będąca obrazem mieszkańca wód, i jeszcze jedna niewielka postać, chyba kobiety, której całe niemal ciało przykrywał płaszcz długich włosów. Te figurki udało się Riwalowi w większej części odtworzyć. Pozostałe były w kawałkach: głowa, ukoronowana lecz bez nosa i o pustych oczodołach, delikatna dłoń z palcem wskazującym i kciukiem ozdobionymi metalowymi pierścieniami misternej roboty, które teraz zdawały się być wrosnięte w nieznane mi tworzywo (nie kamień), z którego te dłońi sporządzono.

Nie dotknąłem niczego, stałem tylko i patrzyłem, i zrodziła się we mnie tęsknota, aby dowiedzieć się więcej o tych ludziach. Zrozumiałem nienasycony głód i ciągłe poszukiwania Riwala, jego cierpliwe próby odtworzenia całości ze znalezionych części, po to, aby ujrzec, odgadnąć, lecz do końca nigdy nie wiedzieć...

I tak również Riwal stał się moim nauczycielem. Chodziłem z nim do miejsc, których inni unikali, dla poszukiwań i domysłów, zawsze mając nadzieję, że znalezisko będzie nam kluczem do otwarcia drzwi do przeszłości albo przynajmniej pozwoli nam przelotnie ją ujrzeć.

Mój ojciec odwiedzał mnie miesiąc w miesiąc, a kiedy szło mi na dziesiąty rok, rozmówił się ze mną poważnie. Dostrzegalem wyraźnie, że gnębi go niepokój, a jego otwartość mnie nie zdziwiła, ponieważ zawsze traktował mnie nie jak dziecko, lecz jak rozumnego człowieka. Teraz był niezwykle poważny i ja również przejąłem się powagą sprawy.

-Jesteś jedynym synem z mojej krwi - zaczął, jakby z trudem dobierając właściwych słów.  
- Według prawa i zwyczaju zasiadiesz na Wysokim Stolcu w Ulmskeep po mnie.

Zamilkł na tak długo, że odważyłem się przerwać jego zadumę, za którą - wiedziałem - kryła się troska i niepokój.

-Sa tacy, co widza to inaczej. - Nie było to pytanie, gdyż wiedziałem, że oznajmiam rzeczy oczywiste.

Zmarszczył brew.

-Kto ci to mówił?

-Nikt. Sam zgadłem.

Nasroził się jeszcze bardziej.

-Odgadles prawdę. Wzięłem Hlymera pod swoją opiekę, ponieważ tak należało postąpić, gdy jego matka została Panią na Ulm. Nie ma on prawa być wyniesiony na tarczy na Wysoki Stolec po mojej śmierci. Tobie to przeznaczone. Lecz teraz naciskają na mnie, abym złączył dłonie Lisany i Rogeara, który jest z tobą spokrewniony.

Szybko pojąłem, co zamierza mi powiedzieć, choć nie chciałem tego słyszeć. Mimo to sam bez wahania wyrzekłem:

-A Rogear będzie rościł prawo do Ulmsdale przez małżeństwo.

Ojciec sięgnął rekojesci miecza i zacisnął na niej pięść. Wstał i zaczął chodzić wielkimi krokami tam i z powrotem, stąpając ciężko, jakby szukał mocnego oparcia przed atakiem.

-To sprzeciwia się zwyczajom, lecz oni zadreczają mnie tą sprawą we dnie i w nocy, uszy mi od tego pekają, wreszcie ogłuchnę w moim własnym domu!

Pojąłem pełen goryczy, iż "oni", o których mówił, była to przede wszystkim matka, która nie chciała mnie nazwać synem. Lecz milczałem.

Ciągnął dalej:

-Dlatego ułożyłem małżeństwo dla ciebie, Kerowanie, małżeństwo godne dziedzica, ażeby wszyscy zobaczyli, że nie zamierzam uczynić niczego przeciw tobie, ale oddać ci wszystko, co według prawa krwi i naszego ludu tobie się należy. Za dziesięć dni Nolon jedzie do lthkrypt z toporem, który zastąpi cię na ceremonii zaślubin. Mówiono mi, że Joisan jest godnym cię dziewczęciem w odpowiednim wieku, młodsza od ciebie o dwa lata. Małżeństwo doda ci powagi i sprawi, że nikt cię nie odsunie - chociaż swoją żonę ujrzysz może dopiero w Roku Ognistego Trolla.

Policzyłem w myśli: za osiem lat. Zadowolilo mnie to. W owym czasie małżeństwo nie miało dla mnie żadnego znaczenia, oprócz tego, że ojciec uważał je za rzecz wielkiej wagi. Przyszło mi na myśl, lecz nie odważyłem się w tamtej chwili zapytać go, czy powie Joisan lub jej krewnym, jakiego to panicza spotka w dzień swoich prawdziwych zaślubin... że byłem tym, czym byłem. Skuliłem się w duchu na myśl o tym spotkaniu. Lecz dla chłopca w moim wieku ten straszny dzień zdawał się niezmiernie odległy i do tego czasu mogło zdarzyć się coś, dzięki czemu nigdy nie nadejdzie.

Nie widziałem, jak Nolon wyruszał, by odegrać moją rolę w zaślubinach przez topór, ponieważ wyjeżdżał z Ulmskeep, a ja na zamku nie bywałem. Dopiero w dwa miesiące później przyszedł do mnie ojciec, już spokojniejszy, by oznajmić mi, że Nolon wrócił i że bezpiecznie zaślubiono mnie dziewczęciu, którego nigdy nie widziałem i miałem nie ujrzeć co najmniej przez następne osiem lat.

Potem niewiele myślałem o tym, że mam swoją panią, mocno zajęty nauką i jeszcze bardziej wyprawami u boku Riwała. Chociaż powierzono mi opiekę Jagona, nie



protestował, gdy spędzałem czas z Riwałem. Połączyła ich dziwna przyjaźń, mimo że tak wielce różnili się sposobem myślenia i działania.

W miarę upływu lat pogorszyło się zdrowie mojego nauczyciela: dala znać o sobie stara rana i teraz z trudnością stawał do walki ze mną na miecze lub topory. Nadal był jednak wyborowym kusznikiem. I jak dawniej umiał czytać mapy i rozważać plany bitewne. Nie sądziłem, by takie umiejętności przydały mi się w życiu, ale słuchałem uważnie z obowiązku, co w późniejszych czasach okazało się dla mnie zbawienne.

Natomiast Riwał zdawał się wcale nie starzec i podejmował wciąż wędrowki w świat, niestrudzenie stawiając swoje długie kroki. I chociaż nigdy nie posiadałem tak obszernej wiedzy o roślinach jak on, znalazłem nic porozumienia z ptakami i zwierzętami. Zaprzestałem polowania dla przyjemności. Przyjemność czerpałem ze świadomości, że dzięki stworzenia nie lekają się mnie.

Jednakże najwspanialsze były nasze odwiedziny siedzib Dawnych. Riwał zapuszczał się w swoich poszukiwaniach coraz dalej i dalej, aż za granice Odlogów, mając wiecznie nadzieję, że odkryje coś z przeszłości, co zachowało się w kształcie nie naruszonym przez czas. Zwierzył mi się, że jego największym pragnieniem jest znaleźć swój pismo lub odczytać zapis runiczny.

Kiedy nadmieniałem, że odczytanie takiego zapisu może być niemożliwe przy jego wiedzy, bowiem Dawni zapewne nie posługiwali się naszym językiem, przytaknął. Lecz czułem, że w gruncie rzeczy nie dopuszczał do siebie tej myśli i jest przekonany, że ta sama Moc, która da mu skarb znaleźć, pozwoli zrozumieć zapis.

Zasługowano mi w Roku Plującej Ropuchy. Gdy wchodziłem w wiek meski, od czasu do czasu dziwnie nachodziły mnie myśli o mojej dalekiej pani. W zagrodzie leśnika mieszkało dwóch młodzieńców w moim wieku. Nigdy nie byli mi towarzyszami dziecięcych zabaw ani kompanami w późniejszych latach. Dzielili nas nie tylko ranga. Odkąd zrozumiałem otaczający mnie świat, to oni właśnie uświadomili mi, że przez mój nieczłowieczy wygląd nienależnie przyjdzie mi zawierac znajomości. Tylko dwóch dorosłych mezczyzn było mi przyjaciółmi - Jagon, który mógłby być moim ojcem, i Riwał, jakby brat starszy (o, jak czasami żalowałem, że nim nie jest!).

Kiedys ci chłopcy leśnika szli na targ jesienny, a do troczków przy kaftanach przymocowane mieli panienskie wstążki. Śmiali się i szeptali o przygodach, których były znakiem. Wtedy zrodziła się we mnie pierwsza silna obawa, że gdy nadejdzie czas osobście upomnieć się o Joisan, być może będę dla niej równie odrażający jak dla mojej matki. Co się stanie, gdy moja żona zawita w Ulmsdale i będę zmuszony jej się pokazać? A jeżeli odwróci się ode mnie z nieskrywanym wstętem?

Mój sen poczęły trapić zmyślenia i wreszcie Riwał rozmówił się ze mną bezpośrednio i szczerze, tak jak to potrafił, gdy zmuszała do tego chwila. Zazadał ode mnie, bym wyjawiał,

jakie złe myśli mnie opętały. Powiedziałem prawdę, mając mimo wszystko nadzieję, że czym prędzej zapewni mnie, iż dostrzegam potwory tam, gdzie są tylko cienie, i że nie muszę się obawiać niczego - chociaż zdrowy rozsądek i doświadczenie przemawiały za czym innym.

Niczym mnie nie pocieszył. Miał tego milczał chwilę, patrząc w dół na swe dłonie, dotąd zajęte składaniem okruchów figurek, teraz złożone nieruchomo na stole.

-Zawsze między nami była prawda, Kerovanie - rzekł wreszcie. - Znam cię dobrze i zawsze cię wybrałbym na towarzysza spośród innych. Lecz czy mogę obiecać, że ten związek da ci szczęście? Mogę jedynie życzyć ci pokoju [ - Zawahał się. - Niegdyś szedłem ścieżką, która - wydawało mi się - mogła zakończyć się złączeniem dłoni i byłem przez krótki czas szczęśliwy. Ty nosisz swoją inność na widoku, ja noszę swoją wewnątrz. Ale ona istnieje. I ta, z którą chciałem dzielić Kielich i Plomien, dojrzała tę inność i zlekkała się.

-Tyle że nie byłeś jeszcze zaślubiony - odezwałem się.

-Nie, nie byłem. I miałem coś innego.

-To znaczy? - zapytałem szybko.

-To! - Rozłożył ramiona, jakby chciał objąć wszystko, co go otaczało pod tym dachem.

-Niech to również będzie moje - powiedziałem. Pojąłem żonę, bo taki był zwyczaj i dla uspokojenia obaw ojca. To, co widziałem i słyszałem o małżeństwach panów na dolinach, nie dawało mi dużego wyobrażenia o szczęściu. Dziedzice i panowie brali żony chcąc powiększyć swe włości, lub pragnąc dziedzica rodu. Jeżeli potem pojawiała się wzajemna skłonność, mieli szczęście, ale z pewnością nie zawsze tak się zdarzało.

-Może... - Riwiał skinał głową. - Jest coś, nad czym wiele myślałem. Może nadszedł czas, by się tego podjąć.

-Pojsz Droga! - Zerwałem się ochoczo, jak gdybym chciał wyruszyć na ową tajemniczą a kuszącą wyprawę już zaraz. Bo rzeczywiście była tajemnicza i kusząca prawdziwie.

Trafiliśmy na Droge podczas naszej ostatniej podróży po Odlogach. Była zbudowana w sposób, który okrywał hanbą wszystkie budowle w dolinach. Nasze drogi przy tej były jak polne trakty, po których poruszać się godziło jedynie bydletom. To, co odkryliśmy, było krancem w pełnym tego słowa znaczeniu: pieczolowicie ułożony bruk nagle urywał się i nie znaleźliśmy niczego, z czego można by wyczytać, dlaczego. Tajemnica zaczynała się niemal na naszym progu - ten kranciec leżał zaledwie o pół dnia wędrowki od chalupy Riwala. Trakt prowadził w głąb Ziemi Spustoszonej, szeroki i prosty, miejscami przysypany nawiana wiatrem ziemią. Rzeczywiście, od dawna przemyślowaliśmy nad wyprawą w poszukiwaniu drugiego końca Drogi. Myśl o podróży całkowicie przysłoniła mi postać Joisan. I tak była ona dla mnie tylko imieniem, a spotkanie z nią należało do odległej przyszłości. Zas Droge

mielismy już teraz przed nami.

Za swe czyny odpowiadałem jedynie przed Jagonem, a w tym czasie odbywał swoją roczną podróż do Ulmskeep, by na zamku spotkać się ze starymi towarzyszami broni i zameldować się memu ojcu. Byłem więc wolny i mogłem pojsc, gdzie miałem ochotę, a to oznaczało pojsc Droga.

Oto początek przygod Joisan, panny z Ithkrypt w Ithdale z High Hallack

Ja, Joisan, zostałam zaślubiona w czas zniw w Roku Plujacej Ropuchy. Na ogół nie uważano owego roku za sprzyjający wszelkim początkom, ale stryj mój, Cyart, kazał trzykrotnie czytać gwiazdy Damie Lorlias z Opactwa Norstead (tej, która była wielce uczona w rzeczach tajemnych, tak że mężczyźni i niewiasty podróżowali wiele mil, by zasięgnąć jej rady). Orzekła ona, iż zapisane mi małżeństwo jest konieczne dla mego własnego dobra. Przyznam, że niewiele więcej wiedziałam ponad to, że sprawa wywołała zamieszanie, które skupiło się na mnie, i musiałam brać udział w długich i męczących ceremoniach, co niemal doprowadzało mnie do płaczu ze znużenia. Gdy ma się zaledwie osiem zim, trudno ocenić, co najbardziej zajmuje myśli i plany dorosłych. Teraz wspominam mój ślub raczej jak barwny ruchomy obraz, w którym brałam udział niezupełnie rozumiejąc, co robię.

Pamiętam moje szaty: bezrekawnik sztywny od złotych haftów i pereł rzecznych (z których słusznie słychać strumienie Ithdale), ale wówczas byłam bardziej niż ceremonia przejęta tym, by - jak surowo nakazała mi Dama Math nie zaplamiać ani nie pognieść odświętnego stroju, ani nie wylać na siebie niczego przy uczcie i nie popsuć wielogodzinnej pracy cierpliwych rak. Pod bezrekawnikiem miałam błękitną sukienkę, z której nie byłam zadowolona, gdyż nie jest to mój ulubiony kolor; wolałabym barwy ciemniejsze i głębsze, jak odcienie jesiennych liści. Lecz pannie młodej przystoi błękit, dlatego i mnie w ten dzień odziano.

Mój pan nie przybył, aby razem ze mną pić z Kielicha Życia i zapalić dłoń przy dłoni, Świece Rodu. Zastąpił go mąż (zdawał mi się okrutnie stary, ponieważ jego krótko strzyżona broda połyskiwała srebrzystym szronem) o spojrzeniu równie surowym jak spojrzenie mojego stryja. Na jego dłoni, pamiętam, widniała szrama po ciecieniu przez wszystkie kostki, której grubość wyraźnie wyczuwałam pod palcami, gdy trzymał mą dłoń podczas ceremonii. W drugiej ręce dzierżył ogromny topór wojenny, będący znakiem mojego prawdziwego małżonka, tego, co łączył mój los ze swoim - mimo iż miało upłynąć jeszcze dobre pół tuzina lat, zanim tamten mógł owym toporem udźwignąć.

-Pan Kerovan i Pani Joisan! - wykrzykiwali razem goście, mężczyźni wysuwali z pochew ceremonialne noże, błyskając ich ostrzami w świetle pochodni i przysięgając o prawdziwości tego małżeństwa nawet użyciem owych noży, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Od zgiełku zaczęła boleć mnie głowa i niknęło podniecenie, że zezwolono mi na udział w prawdziwej uczcie.

Stary szlachcic, Nolon, ktorego w zastępstwie poslubilam, dzielił ze mną talerz podczas uczty. I chociaż z wielką powagą zasięgał mojego zdania, zanim wziął kasek z podsuwanych nam tac, zbyt byłam oniesmielona, by powiedzieć "nie" na widok tego, co mi nie smakowało, natomiast on wybierał głównie takie właśnie potrawy. Więc skubalam to, przeciw czemu buntował się mój żołądek i z utęsknieniem wyczekiwałam końca.

Lecz ceremonia skończyć się miała o wiele później, po tym jak kobiety z wielkim śmiechem ułożyły mnie, odziana jedynie w cienką koszulę, w wielkim łożu z kotarami. Natomiast mężczyźni, prowadzeni przez mego stryja, wnieśli ów straszliwy topór i położyli go przy mnie jakby rzeczywiście był to mój małżonek. I to był mój ślub. Później przestał wydawać mi się czymś dziwnym, był jednym z tych zdarzeń, które dziecko pojmuję z trudem, czymś, co należało odsunąć w głąb pamięci.

Jedynie topór, zastępujący przy mnie młodzienca z krwi i kości, był czytelna wroźba przyszłych wydarzeń - nie tylko dla mnie, ale i dla całej ziemi będącej mi ojczyzną: High Hallack na niezliczonych dolinach.

Gdy odjechał Nolon, życie wróciło do znanego mi porządku, bowiem w zwyczajach było, aby młoda mieszkała pod dachem domu rodzinnego póki nie będzie miała tylu lat, żeby małżonek mógł się o nią upomnieć.

Zaszły tylko pewne niewielkie zmiany. W dni szczególnie ważnych świąt siadywałam u prawego boku stryja i zwracano się do mnie używając mojego nowego tytułu: Pani na Ulmsdale. Moje świąteczne szaty były przyozdobione nie jednym herbem, ale dwoma przedzielonymi złotą wstęgą. Z lewej widniał Gryf Ulmsdale w skoku, zdobny koralikami, które błyszczały niby drogie kamienie. Z prawej, dobrze mi znany Złamany Miecz Harba, wielkiego wojownika, który był założycielem naszego rodu w High Hallack, a swoim potomkom przekazał sławę zdobytą po zwycięskiej walce ze straszliwym Demonem z Irrodlogu, którego pozbawił życia mieczem ze złamana klingą.

Na dzień moich imienin albo w okolicach tego dnia, zależnie od warunków podróży, przychodził podarunek od samego Kerovana razem ze stosownymi pozdrowieniami. Ale sam Kerovan nie był dla mnie rzeczywistą postacią.

A ponieważ nie była małżonką mojego stryja, przekazał on swej siostrze, Damie Math, obowiązki kasztelanki na Ithkrypt. I to ona układała plan moich dni, ku mojej rozpaczy i tłumionej chęci buntu. Trzeba mi się nauczyć tego i tego, i owego, abym przyniosła chlube memu wychowaniu, gdy wreszcie pojedzie sprawować władzę nad domostwem mego pana. I zadania, których miałam coraz więcej w miarę jak mi przybywało lat, czasem powodowały, że pragnęłam nigdy nie słyszeć o Ulmsdale ani o jej dziedzicu i teskniałam do panienstwa i wolności. Ale od Damy Math i jej poczucia obowiązku nie było ucieczki.

Nie pamiętałam wcale małżonki mego stryja. Dla jakiegoś przyczyny nie żenił się po raz wtóry, chociaż nie miał dziedzica. Czasami przychodziło mi do głowy, że nie odwazył się

nawet przypuszczać do siebie myśli o ujęciu choćby najmniejszej części władzy Damie Math. Trudno byłoby zaprzeczyć, że sprawnie spełniała rolę kasztelanki, a jej podwładni cieszyli się spokojem i wygodą. Wszyscy wokół niej żyli w ciszy, trzeźwości i dobrym porządku.

Dawno temu, gdy Dama Math była młoda (aż trudno uwierzyć, że i ona kiedyś była panną!), zaręczono ją przez topór jak mnie, szlachcicowi z Południa. Lecz zanim przyjechał, by ją zabrać, nadeszła wiadomość, że zmarł na wycieńczającą gorączkę. Czy go żałowała, nikt nie wiedział. Po czasie żałoby schroniła się do Siedziby Dam w Norstead, miejsca wielce szanowanego ze względu na ogromną wiedzę i pobożność kobiet tam zamieszkujących. Lecz zanim zdążyła złożyć ostateczne śluby, zmarła małżonka jej brata, więc powróciła do Ithkrypt, by zostać panią na zamku. Zawsze była odziana w surową suknię Damy i dwa razy do roku udawała się do Opactwa w dolinie Norsdale na dni skupienia. Gdy byłam starsza, zabierała mnie ze sobą.

Nadal nie było wiadomo, kto zostanie spadkobiercą stryja, ponieważ nie złożył jeszcze żadnego wiążącego oświadczenia, a miał jeszcze jedną siostrę, młodszą, o imieniu Islaugha, zamężną i mającą syna i córkę. Lecz ponieważ jej syn dziedziczył włości swego ojca, jego przyszłość była już zabezpieczona.

Ja byłem córką przyrodniego młodszego brata, lecz nie będąc potomkiem płci męskiej, nie mogłem dziedziczyć po stryju, jeżeli nie rozporządził wyraźnie - a tego mój stryj nie uczynił. Miałem posąg wystarczająco duży, by zachęcić przyszłego małżonka, a stryj, gdyby zechciał, miał prawo, ba, obowiązek, nazwać mojego męża swym dziedzicem, ale musiał złożyć takie oświadczenie, aby to stało się obowiązujące.

Myślę, że Dama Math chętnie widziałaby mnie w Siedzibie Dam, gdyby nie moje małżeństwo z Kerovanem. I prawda jest, że wizyty tam były dla mnie przyjemnością.

Urodziłam się z dociekliwym umysłem i trąf chciał, że zainteresowała się mną Przeorysza Malwina. Była ogromnie stara, ale nadzwyczaj mądra. Rozmawiała ze mną kilkakrotnie, a potem kazała udostępnić mi księżnicę w Siedzibie. Opowieści o przeszłości, które zawsze były zdolne mnie oczarować, zdały mi się nieomal niczym w porównaniu ze zwojami kronik i opisów podróży, historii z dolin i tym podobnych rzeczy, ułożonych na polkach i w skrzyniach księżnicy.

Lecz tym, co najbardziej mnie pociągało, były wzmianki o Dawnych, którzy władali naszą krainą, zanim pierwsi ludzie z dolin dotarli na Północ. Dobrze wiedziałam, że znalezione przeze mnie opisy są jedynie częściowe, jeżeli nie wypaczone, ponieważ większość Dawnych zdążyła już odejść przed przybyciem naszych dziadków. Ci, z którymi spotkali się nasi przodkowie, byli istotami niższego rzędu, a może jedynie cieniem porzuconymi tak, jak porzuca się wytarty płaszcz.

Niektórzy z nich byli zli, według naszych ocen zła, ponieważ byli wrogami ludzkości - jak ów Demon, którego zabił był Harb. Jeszcze bywały miejsca wypełnione ciemnymi urokami i

ktokolwiek tam niemadrze się zapuścił, mógł ugrzeznąć w sieci czarów. Inni spełniali prośby i zsyłali dary - jak chociażby Gunnora, Matka Zniwna, której pozostały wierne wszystkie niewiasty, a misteria na jej cześć były na swój sposób równie wielkie jak te ku czci Oczyszczającego Plomienia, któremu poświęcona była Siedziba Dam. Sama nosiłam amulet Gunnory - snop zboża przepasany girlanda owoców.

Natomiast inni zdawali się być ani dobrzy, ani zli, stali na uboczu miar ludzkich. Czasami objawiali się kapryśnie, przynosząc temu dobro, a tamtemu zło, jakby wazyli ludzi własną wagą, by następnie postępować tak, jak sami uważali za stosowne.

Niepewna rzecz było mieć do czynienia z jakimkolwiek Dawnym prócz Gunnory. Znalazłam w Kronikach z Norstead wiele opisów przypadków, jak to ludzie budzili z długiego snu moce, których lepiej było nigdy nie tknąć. Czasami odnajdywałam Przeorysze Malwine w jej ogrodku i zadawałam jej pytania, na które odpowiadała, jeśli mogła. Jeżeli nie, szczerze przyznawała się do swej niewiedzy. To przy naszym ostatnim takim spotkaniu znalazłam ją siedzącą z naczyniem na kolanach.

Była to czara wykonana z kamienia zielonej barwy, rzezbiona tak kunsztownie, że przez cienkie ścianki przeswitywał cień palców Przeoryszy. Czara nie była niczym zdobiona, piękna jedynie kształtem i linią. Na samym jej dnie widniała odrobina wina.

Wiedziałam, że to wino, czułam jego duszący zapach. Ciepło dłoni wzmagало gronowy aromat. Stara Dama z wolną obracała czarą, tak aby płyn kazał, ale nie patrzyła nań, tylko przyglądała się mnie, tak bacznie, że poczułam się nieswojo, jakbym w czymś zawiniła. Szybko poszukałam w myślach, jakiego niedopatrzenia mogłabym być winna.

-Wiele czasu minęło - rzekła - od kiedy ostatnio tego próbowałam. Lecz dzisiaj rano zbudziłam się z myśla o tobie. Zateśniłam do daru widzenia, który w młodości był mi dany, bowiem jest to dar, choć niektórzy chcieliby go nie mieć. Obawiają się tego, czego nie można dotknąć, zobaczyć, posmakować, usłyszeć, czy w inny sposób odczuć. Jest to dar, nad którym nie masz władzy. Niewielu spośród tych, co go posiadają może go z własnej woli przywołać, muszą czekać do czasu, gdy sam kaze im działać. Lecz jeżeli zechcesz, dziś mogę posłużyć się nim dla ciebie, chociaż nie wiem, jak wiele ci powiem i czy wyjdzie ci to na dobre.

Byłam podniecona, bowiem słyszałam o darze dalekowidzenia. Umiały się nim posługiwać Madry, a przynajmniej niektóre z nich. Ale - jak rzekła Przeorysza - nie była to zdolność, która można było naostrzyć zawczasu niby miecz czy igłę, należało chwycić ją w chwili, gdy nadchodziła i nie starać się nią zawładnąć. Jednakże równocześnie z podnieceniem poczułam zimny dreszcz leku. Co innego czytać o Mocy i słuchać o niej opowiadań, a - teraz rozumiałam - czym innym było widzieć, jak działa, i to w naszej

sprawie. Mimo to nawet trwoga nie powstrzymałaby mnie od wyrażenia zgody na to, co mi ofiarowała.

-Ukleknij przede mna, Joisan. Wez to naczynie w obie dlonie i trzymaj mocno.

Zrobilam, jak mi nakazala: wzielam miske w dlonie, ujawszy tak, jak trzyma sie smolna drzazge, ktora w kazdej chwili moze zaplonac. Nachylila sie i dotknela mego czola palcami prawej reki.

-Patrz na wino i pomysl, ze to obraz... obraz...

To dziwne, ale jej glos dobiegal z coraz wiekszej dali. Gdy spojrzalam w dol na naczynie, spostrzeglam cos obok ciemnego plynu. Mialam uczucie, ze unosze sie w powietrzu nad wielkim, bezbrzeznym obszarem ciemnosci, nad gigantycznym lustrem, ktore nie mialo jasnosci wlasciwej zwyklym lustrom.

Tafla zamglila sie, zmienila. Smugi mgly ukszaltowaly sie w postaci. Zobaczylam swietlista kule, a w jej wnetrzu znany mi ksztalt: Isniacego bialego gryfa.

Najpierw kula byla ogromna i wypelniala niemal cale lustro, ale zmniejszala sie predko, az ujrzalam, ze zwisala przytwierdzona do lancucha. Lancuch byl owiniety wokolo dloni, na nim wisiala i obracala sie kula. Gryf to zwracal sie ku mnie, to odwracal ode mnie. Poczulam pewnosc, ze ta kula jest ogromnie wazna. Teraz byla juz bardzo malutka, a reka, u ktorej wisiala, rowniez kurczyla sie. Zobaczylam cale ramie, potem postac: mezczyzne stojacego tylem do mnie; nie widzialam jego twarzy. Mial na sobie kolczuge z kapturem u szyi, u boku przypasany miecz, a znad ramienia wygladala wygieta kusza. Ale nie byl odziany w kamizele ze znakiem Rodu, nie mial zadnego znaku procz owej hustajacej sie kuli. Potem odszedl, stapajac ciezko, jakby wezwano go w inne miejsce. Lustro stalo sie ciemne i puste, juz nie zbieraly sie na nim cienie.

Dlon Malwiny zsunela sie z mojego czola. Podnioslam oczy, mrugajac, i ujrzalam na jej twarzy zalosna bladosc. Szybko wiec odstawilam czare i osmielilam sie ujac jej rece w swoje, pragnac jej pomoc.

Uśmiechnela sie slabo.

-To wypija sily, zwlaszcza jak niewiele sie ich ma. Lecz musialam to uczynic. Powiedz mi, corko, czego sie dowiedzialas?

-To nie widzialas tego, pani? - zdumialam sie.

-Nie. Nie dla mnie bylo przeznaczone to dalekowidzenie. Bylo tylko twoje.

Opowiedzialam jej, co ujrzalam: gryfa zamknietego w kuli i meza w wojennym stroju, ktory go trzymal. I zakonczylam:

-Gryf jest godlem Rodu Ulma. Czyzbym wiec widziala Kerovana, ktoremu jestem poslubiona?

-Byc moze - zgodzila sie. - Ale, jak mysle, to ow gryf bedzie najistotniejszy w twojej przyszosci. Jezeli podobny trafi kiedykolwiek w twoje rece, strzez go dobrze. Gdyz uwaza sie. ze jest to cos, co nalezalo do Dawnych i skupia jakas znana im niegdys moc. Teraz wezwij Dame Alousan, potrzebuje jednego z jej wzmacniajacych kordialow. Tylko nie mow o tym, co robilysmy tutaj dzis rano, poniewaz dalekowidzenie bylo rzecza, ktora dotyczy ciebie samej i nie godzi sie lekko o tym rozprawiac.

Nie zdradzilam sie przed zadna z Dam, ani nawet przed Math. Natomiast Przeorysza pozwolila, by myslaly, iz byla tylko nieco zmeczona. Totez gorliwie sie nia zajely, bowiem byla bardzo kochana. Nikt sie mna nie zajmowal. Naczynie zabralam ze soba do pokoju goscinnego i tam postawilam na stole.

Chociaz czasami wpatrywalam sie w nie usilnie, nie widzialam nic procz wina; zadnego ciemnego lustra ani sunacych cieni. Ale w pamieci mialam tak zywy obraz gryfa, ze moglabym go namalowac ze wszystkimi szczegolami, gdybym znala choc troche sztuke malowania. I zastanawialam sie, co tez mogl oznaczac. Gryf zamkniety w kuli roznil sie od tego, ktory widnial na tarczy Ulma. Gryf winien miec skrzydla i piers orla, a przednie lapy zakonczone silnymi pazurami jak u drapieznego ptaka, zas tyl jak zad lwa, zwierzecia znanego tylko w poludniowych stronach. Na jego orlej glowie stercza lwie uszy.

Dawna wiedza przypisuje gryfowi znaczenie zlota, ciepla i majestatu slonca. Czestokroc w legendzie stoi na strazy skarbu. Dlatego gryfy przedstawia sie zazwyczaj w barwach czerwieni i zlota, ktore sa barwami slonca. Lecz ten zamkniety w kuli byl bialy jak lod, byl bialym gryfem.

Wkrotce potem Dama Math i ja powrocilysmy do Ithkrypt. Nie mogliśmy zabawic dlugo w Norstead, bowiem w owym roku - Koronowanego Labeledzia - skonczylam czternascie lat i Dama Math juz przygotowywala moje szaty i posag, ktory mialam zabrac ze soba, gdy za rok czy dwa przysle po mnie Kerovan.

Podazylysmysmy do Trevamper, miasta polozonego na skrzyzowaniu drogi i rzeki, gdzie wszyscy kupcy z Polnocy rozkladaja swoje towary. Nawet Sulkarczycy, tak zwiazani z morzem, ktorzy rzadko schodza na lad i rzadko przebywaja z dala od wiatru i fal, zjezdza do Trevamper. Jest to osrodek handlu wewnetrznego. Natknelysmysmy sie tam przypadkowo na moja ciotke Islaughe, jej syna Torossa i corke Yngilde.

Przyszla w odwiedziny do Damy Math, ale mialam wrazenie, ze robi to jedynie z obowiazku i ze siostry nie lubia sie nadmiernie. Mimo to lady Islaugha miala dla nas usmiechnieta twarz i lagodne slowa, gratulujac mi malzenstwa, ktore zlaczylo mnie z Rodem Ulma.

Kiedy panie zwrocily swoja uwage ku swym wlasnym sprawom, przepchnela sie do mnie Yngilda. Wydalo mi sie, ze gapi sie na mnie nieprzystojnie. Byla tegim dziewczeciem, ubranym w opiety, ale bogaty stroj, a jej splywajace, splecione wlosy byly zwiazane



wstawkami, u których wisiały małe srebrne dzwoneczki mające słodko podzwaniać, gdy się poruszała. Ta wymyślna ozdoba nie pasowała do jej szerokiej i płaskiej twarzy ze zbyt małymi wargami, które były wiecznie lekko ściągnięte, jakby przezuwała pikantny sekret, zanim zdecyduje się nim podzielić.

-Czy widziałas podobiznę swego małżonka? - zapytała zniechęcona.

Drgnęłam niespokojnie pod jej badawczym spojrzeniem. Wtedy poznałam, że nie była mi przyjazna, chociaż czemu miało tak być, jeżeli prawie wcale się nie znaliśmy, nie potrafiłam zgadnąć.

-Nie.

Zawsze, gdy czułam się nieswojo w czyjejs obecności, stawałam się ostrożna. Lecz prawda jest lepsza niż jakikolwiek wykręt, o który później można by się potknąć. I po raz pierwszy zastanowiłam się nad rzeczą nigdy do tej pory przeze mnie nie rozważaną. Dlaczego Kerovan nie kazał mi przesłać swojej podobizny? Wiedziałam, że istniał taki zwyczaj przy zaślubinach przez topór.

-Szkoda. - Teraz jej spojrzenie zdawało się nabierać dziwnie tryumfalnego wyrazu. - Patrz no tutaj, to szlachcic, którego mi przyrzeczono, Elvan z Rishdale. - Wyjęła z kieszeni przy pasku prostokątny kawałek drewna przedstawiający jakąś twarz. - Przesłał mi to razem z darem ślubnym dwa lata temu.

Namalowana twarz należała do mężczyzny w średnim wieku, nie chłopca. I, jak mi się zdawało, nie była to miła twarz, lecz może malarz był niewprawy lub nie miał powodów, by schlebiać owemu Elvanowi. Yngilda była wyraźnie dumna z portretu.

-Zdaje się być władczym mężczyzną. - Całe swoje staranie włożyłam w powiedzenie czegoś pochwalnego. Im dłużej przyglądałam się malunkowi, tym mniej mi się podobał.

Przyjęła to, zgodnie z moimi oczekiwaniami, jako komplement dla zwołanego szlachcica.

-Rishdale należy do wyżej położonych dolin. Tam mają wełnę i rozwinięty handel. Mój małżonek przesłał mi już to i to... - musnęła palcami bursztynowy naszyjnik i wyciągnęła ku mnie rękę, bym mogła zobaczyć na jej kciuku masywny pierścionek w kształcie weza o oczach z płomiennych kamieni. - Waz jest godłem jego Rodu. To jego własny pierścionek, posłał mi go na powitanie. Jędo do niego na przyszłe zniwa.

-Życzę ci szczęścia - odparłam.

Przesunęła bladym językiem po dolnej wardze, jakby decydując się, czy wygłosić swą mowę, czy nie. Wreszcie zebrała się i przysunęła głowę jeszcze bliżej, podczas gdy ja wysiłkiem woli nie cofnęłam się przed nią, bo jej bliskość nie sprawiała mi przyjemności.

-Obym mogla zyczyc ci tego samego, kuzynko.

Wiedzialam, ze teraz nie powinnam w zaden sposob jej zachecic, lecz cos zmusilo mnie, by zadac pytanie:

-A czemu to, kuzynko?

-Nie mieszkamy w takim oddaleniu od Ulmsdale jak wy. Slyszelismy... wiele.

Ostatnie slowo wypowiedziala z takim naciskiem, ze zaiste wywarlo na mnie wrazenie. Mimo calej rozwagi i nieufnosc i nie moglam teraz wycofac sie i uniknac dalszej rozmowy.

-Wiele o czym, kuzynko? - Ton mojego glosu byl wyzywajacy. Zauwazyla to i bylam pewna, ze sprawilo jej to przyjemnosc.

-Wiele o klatwie, kuzynko. Czyzby nie powiedziano ci, ze dziedzica na Ulmsdale obciaza podwojna klatwa? Przeciez jego wlasna matka nie spojrzala na jego twarz od chwili, gdy sie urodzil. Czyzby ci tego nie powiedziano? - powtorzyla z wyraznym zadowoleniem. - Niestety! To mnie przyjdzie rozwiac twoje marzenia o pieknym mlodym paniczu. Mowia, ze to potwor, ktorego zeslano, by zyl na osobnosc, poniewaz wszyscy wzdragaja sie...

-Yngildo!

To imie zabrzmialo jak trzasniecie batem, a Yngilda drgnela, jak gdyby rzeczywiscie dosiegly jej ciegi. Nad nami stala Dama Math i mozna bylo wyczytac z jej twarzy, ze uslyszala te slowa.

Tak oczywisty byl jej gniew, iz w owej chwili wiedzialam, ze Yngilda mowila prawde, albo to, co mowila, bylo na tyle bliskie prawdy, by wytracic z rownowagi moja opiekunke. Jedynie prawda mogla byla ja tak wzburzyc.

Nie wyrzekla nic wiecej, tylko wbila wzrok w Yngilde tak groznie, ze dziewczyna zaczela sie cofac, a jej okragle Policzki pobladly ze strachu. Pislana dziwacznie i uciekla. Ja zostalam na swoim miejscu oko w oko z Dama Math. Czulam w sobie wzbierajace zimno, az poczelam drzec. Przeklety? Gadzina, na ktora nawet rodzona matka nie mogla patrzec? Na Serce Gunnory, co uczyniono, oddajac mnie na zone potworowi? Mialam ochote wykrzyczec swoje przerazenie, ale milczalam. Na tyle mialam nad soba wladzy. Odezwalam sie jedynie, z wysilkiem panujac nad glosem i baczac, by nie drzal, bo chcialam poznac cala prawde zaraz, tu i teraz.

-Na przysiege Plomieniowi, ktoremu sluzysz, wzywam cie, bys powiedziala mi wszystko. Czyjej slowa sa prawdziwe? Czy jestem poslubiona stworzeniu niepodobnemu do innych ludzi? - Nie moglam wypowiedziec slowa "potwor".

Mysle, ze do tej chwili Dama Math byc moze chciala zatuszowac wszystko pieknymi

sławkami. Ale siedząc przy mnie, z twarzy pokrasniała od gniewu, zdawała sobie sprawę z wagi chwili.

-Nie jesteś już dzieckiem, Joisan. Owszem, wyjawię ci całą znaną mi prawdę. Rzeczywiście, Kerovan mieszka w odosobnieniu od swoich krewnych, ale potworem nie jest. Na potomkach Rodu Ulma ciąży klątwa, a matka jego pochodzi z wyżej położonych dolin, z rodziny, o której chodzą słuchy, że niegdyś zmieszała krew z Dawnymi. Stąd i u niego w żyłach płynie taka. Ale nie jest poczwara, Cyart upewnił się o tym, zanim zgodził się na to małżeństwo.

-Lecz z krewnymi nie mieszka. Czy to prawda, że jego matka nie chce go widzieć? - Było mi tak zimno, że nie mogłam opanować drżenia. Nadal była ze mną szczerą.

-To prawda, z powodu miejsca gdzie się urodził, a ona jest głupia! - Po czym opowiedziała mi niezwykłą historię o tym, jak Pan na Ulm brał żony, ale przez klątwę nie miał po nich żyjącego dziedzica. Jak pojął trzecią, wdowę, i jak urodził syna znalazłszy się pod dachem jednej z budowli postawionych przez Starą Rasę. Jak od tego czasu nie zwróciła ku niemu twarzy, lekając się, że to Dawni zesłali jej dziecko. Ale chłopiec był zdrow i potworem nie był. Jego ojciec zaprzysiął się na Wielką Rotę, a od tej przysięgi nie ma odstąpienia.

Ponieważ wyłożyła mi wszystko tak po prostu, uwierzyłam i przestawałam drzeć. Wówczas dodała:

-Joisan, ciesz się, że dostajesz młodego. Yngilda, mimo całej Jej chępliwości, pojdzie za meza, który był już raz żonaty, który mógłby być jej ojcem i który nie będzie miał cierpliwości dla jej młodzieńczych kaprysów. Znajdzie go o wiele mniej chętnego do spełniania jej zachcianek i spoglądania przez palce na jej lenistwo niż matka i być może nadejdzie dzień, kiedy pozaluje, że zamieniła zamek rodzinny na jego zamek. Według wszelkich przekazów Kerovan będzie ci dobrym towarzyszem, ponieważ jest uczony tak w piśmie jak i fechtunku, który wypełnia myśli i zajmuje ciała większości mężczyzn. Lubi szukać pamiątek przeszłości, jak i ty. W istocie, wiele powinno ci zadowolic w tym małżeństwie i nie jawia mi się tu nadto liczne cienie. Jesteś panną mającą rozum stateczny, niełatwo ci zastraszyć. Nie pozwól, by słowa tej zazdrosnej i głupiej dziewczyny zapanowały nad twoim rozsądkiem. Przysięgam, jeżeli tak sobie zyczysz, na Plomien, a dobrze znasz wagę tej przysięgi dla mnie: nie stałabym niema i bez sprzeciwu pozwoliła, by cię zaślubiono potworowi!

Znając Dame Math nie potrzebowałam innej pociechy. Ale w następnych dniach myślałam często o dziwnym wychowaniu, jakie musiał odebrać Kerovan. Trudno było uwierzyć, że matka odwróciła się od własnego dziecka. Coż, ciężki porod pod dachem należącym do Dawnych być może spowodował, że znenawidziła przyczynę swego bólu. Dobrze wiedziałam ze swej lektury w Opactwie, iż wiele podobnych miejsc miało nieprzyjemną atmosferę i w podstępny sposób oddziaływało na ludzi. Było całkiem prawdopodobne, że i ona stała się ofiarą podobnych wpływów podczas gdy rodziła.

Przez pozostała część naszego pobytu w mieście moja ciotka i jej córka omijały nas. Może Dama Math jasno wyraziła się na temat tego, co wyjawiała mi Yngilda. Ja byłam bardzo zadowolona, że nie musiałam więcej oglądać Jej okragłej twarzy, zasznurowanych warg i swidrujących oczu.

Kerovan

Dla większości ludzi z dolin Ziemi Spustoszone to miejsce straszne. Wypędzano tam wyjętych spod prawa, tam szukali schronienia i prawdopodobnie z czasem poczeli uważać Odlogi za swoją ziemię rodzinną. Myśliwi, na swój sposób dzikosciami równi banitom, przemierzają je również, by wrócić mając juki wypchane nie spotykanymi gdzie indziej futrami, a także grudkami czystego metalu okrzepłego w dziwaczne kształty: nie są to naturalne rudy, ale substancje sztucznie obrabione, a później roztrzaskane w kawałki. Te bryłki wysoko ceniono, chociaż kowale musieli postępować z nimi ostrożnie. Kute z tego metalu miecze i kolczugi były mocniejsze i bardziej odporne na zniszczenia. Z drugiej strony, czasami miał on straszliwe właściwości, wybuchał ogromnym płomieniem, który pochłaniał i zmiatał wszystko wokół. Kowale jednocześnie pragnęli go używać, wiedząc jak wspaniałe były wykonane z niego rzeczy, oraz obawiali się, że któryś z bryłek przyniesionych do kuzni okaże się przeklecia.

Ci, którzy poszukiwali tego metalu i handlowali nim, wślali się swoim milczeniem o jego źródłach. Riwal sądził, iż wydobywali go nie z ziemi, ale w miejscach należących do Dawnych, gdzie jakowyś przedwieczny i niewiarygodnie straszliwy kataklizm spowodował, iż metal ten stopił się w grudki. Riwal usiłował wybadac niejakiego Hagona, handlarza, który dwukrotnie przechodził przez nasz las, ale Hagon nie chciał niczego zdradzić.

Dlatego pociągala nas nie tylko urwana Droga, ale i inne tajemnice. Wypad na Odlogi bardzo mnie pociągał.

W południe dotarliśmy do Drogi i staliśmy, przez pewien czas przyglądając się jej badawczo, zanim postawiliśmy stopy na jej przyproszonej ziemi powierzchni. Rzeczywiście była zagadką, ponieważ urywała się tak, jakby jakiś olbrzym uciął ją mieczem. Lecz jeżeli istotnie tak się stało, gdzie się podziela jej dalsza część? Nie widniały tu bowiem żadne ślady starych gruzów, by świadczyć, że kiedykolwiek ciągnęła się dalej. I czemu Droga miałaby zakończyć się tak bezsensownie? Może prawda było, że to, czym kierowali się Dawni, różniło się od zamierzeń ludzkich i nie nam sądzić ich czyny podług naszych własnych.

-Jak dawno temu stąpali tedy ludzie, Riwalu? - zapytałem.

Wzruszył ramionami.

-Kto wie? O ile byli to ludzie. Lecz skoro Droga urywa się w taki sposób, to może jej początek będzie ciekawszy.

Jechalismy na małych konikach hodowanych na pustyni i używanych przez wędrowców na Odlogach. Były one wytrwale i z krwią dziedziczyły zdolność do długich podróży, zadowolając się skąpymi racjami jada i wody. Prowadziliśmy trzeciego konia objuczonego prowiantem. Odziani byliśmy jak handlarze metalem, aby każdy, kto by zechciał nas szpiegować, sądził, że pochodzimy z Odlogów. Podróżowaliśmy czujni na znaki i dźwięki, ponieważ tylko ten, kto nieustannie ma się na baczności, może żywić nadzieję, że uniknie pułapek i niebezpieczeństw czyhających na takiej ziemi.

Odlogi to nie tylko pustynia, chociaż duża ich część stanowi bezwodny obszar z rzadka porośnięty drobnymi, wysmaganymi wiatrem krzewami i postrzępionymi kepkami wysuszonej wiatrem trawy. Czasem można tu spotkać ciemne zagajniki drzew rosnących ciasno przy pniu albo skupiska kamieni ustawionych niby kolumny.

Niektóre z nich były obrabiane, jeżeli nie ludzka, to reka istot, które używały kamiennego budulca na pomniki. Lecz na kolumnach, przez tak wiele lat wystawionych na działanie wiatrów, widniały jedynie ślady obrobki. Tu stało coś, co niegdyś mogło być kawalem muru, owdzie para kolumn przywodziła na myśl dumna budowle.

Minelismy takie miejsce niebawem po wkroczeniu na Droge, ale nie mieliśmy tam czego szukać. Na otwartej przestrzeni panowała cisza, bowiem dzień był bezwietrzny. Stukot kopyt naszych koni na bruku zdawał się rozbrzmiewać zbyt głośnym echem i nagle uświadomiłem sobie, że rozglądam się na boki i raz po raz zerkam przez ramię. Miałem coraz to silniejsze uczucie, że jesteśmy obserwowani - przez wygnanców? Bezwiednie moja reka nieustannie wędrowała ku rekojesci miecza, gotowa na odparcie ataku. Ale gdy zerknąłem na Riwałę, spostrzegłem, że jest spokojny, chociaż i on spoglądał w lewo i prawo. Popędziłem konia ku niemu.

-Czuje, że ktoś nas śledzi. - Moja duma cierpiała nieco i czułem się upokorzony tym wyznaniem, ale musiałem przyznać, że znalazł te obszary lepiej niż ja i polegałem na nim.

-Zawsze tak jest... na Odlogach - odrzekł.

-Wygnancy? - Moje palce zacisnęły się na mieczu.

-Może. Ale prędzej coś innego.

Jego spojrzenie uciekło przed moim i uświadomiłem sobie, że nie umiał tego wytłumaczyć. Prawdopodobnie i on wzdrygał się zdradzić jakąś swoją słabość przede mną, wędrowcem młodszym i mniej doświadczonym.

-A więc to prawda, że Dawni pozostawili strażę?

-Czy żyje wśród nas człowiek, który to wie? - odparł na moje pytanie pytaniem. - Jedno jest pewne: kiedy ktoś podąży ich drogami, często nawiedza go uczucie, że jest śledzony. Lecz ja nigdy nie spotkałem się z niczym prócz tego uczucia. Jeśli oni postawili strażę, tak

jak mówisz, to strażnicy ci są dzisiaj zbyt starzy i zmęczeni, aby uczynić coś więcej niż tylko śledzić.

Była to dla mnie niewielka pociecha. Nadal bacznie obserwowałem okolice - chociaż nic nie poruszyło się na równinie, przez którą bita, równa, prosta Droga wyznaczała kierunek.

W samo południe zjechalismy na bok, aby się posilić, napić i napoić nasze konie z bukłaków, które mieliśmy ze sobą. Nie było słońca, nad nami szarzało niebo, ale nie dostrzegłem żadnych chmur, które mogłyby grozić burzą. Natomiast Riwal wciągnął powietrze, podnosząc głowę ku niebu.

-Musimy poszukać schronienia - powiedział przynaglająco.

-Nie widzę żadnych chmur na burzę.

-Burze nadciągają niezapowiedzianie i gwałtownie na Odlogach. Tam!

Pilnie przyglądał się okolicy, aż wskazał przed siebie, gdzie widniała jakaś sterta przy Drodze, być może następne skupisko zniszczonych przez czas ruin.

Podążając ku nim przekonalismy się, jak bardzo można się było mylić, na oko oceniając odległość w tym miejscu. Nad ziemią unosiła się jakby mgiełka i rzeczy wydawały się bliższe niż w rzeczywistości. Długo trwało, zanim dotarłismy do wyznaczonego miejsca i czas był najwyższy, gdyż niebo straciło swoją szarą i smutną barwę dzienną, ściemniło się, jakby o wiele godzin wcześniej nadszedł zmierzch.

Na to schronienie natknęliśmy się przypadkiem. O ile wcześniej spotykane bezkształtne ruiny zdawały się jedynie wspomnieniem niegdysiejszego przeznaczenia, to ta budowla była lepiej zachowana. Znaleźliśmy część komnaty czy sali pośród rozrzuconych kamiennych bloków, nad którą zachował się fragment dachu. Tam stoczyliśmy się my i nasze konie.

Z wielkim wysiłkiem przebyliśmy ostatnie kilka kroków dzielących nas od schronienia.

Zerwał się wiatr, podrywając drobiny piachu, skrecając je w słoneczne kolumny i rzucając nimi w nasze oczy, usta, nosy. Gdy wreszcie znaleźliśmy się wewnątrz i gdy odwróciliśmy się aby wyrzecz, oczom naszym ukazała się jedynie zasłona kurzawy.

Nie trwało to długo. Nad nami zadudniło jak gdyby na obleżenie szło wojsko z taborem. Potem smagnął bicz błyskawicy z taką siłą, że piorun zapewne uderzył nie opodal. Wreszcie spadł deszcz, który szybko zbił kurz, ale nie przetrwał nam widoku: nowa zasłona z wody zastąpiła zasłone z piasku.

Woda popłynęła strumieniem po dziurawej posadzce, wycofaliśmy się więc, tłocząc w najdalszym kącie ruin. Konie rżały cicho i parskaly, przewracając oczyma, jakby straszna im była rozpetana furia przyrody. Lecz mnie nasz kat zdawał się dobrym schronieniem, choć

drgnałem, gdy po raz wtóry uderzył grom.

Ogłuszył nas. Teraz walczyliśmy o przetrwanie kurczowo trzymając cugle naszych rumaków, aby nie zerwały się i nie uciekły w burzę. W miarę jak się uspokajały, przestawały rzucać głowami i bic kopytami, ja również odprezylem się nieco.

Było ciemno jak w środku nocy, a nie mieliśmy pochodni. Stałismy tak blisko siebie, iż ramię Riwała ocierało się o moje, gdy się poruszył. Deszcz był tak głośny i gwałtowny, że nie usłyszelibyśmy się inaczej, jak krzycząc; milczeliśmy zatem.

Jakie było pierwotne przeznaczenie zrujnowanej budowli? Czy, zbudowana obok Drogi, służyła za gospodę? A może była to strażnica lub nawet świątynia? Jak mówił Riwał - kto teraz mógł znać cele i zamiary Dawnych?

Jedną ręką wodziłem po ścianie. Tu, pod dachem, kamienie były gładkie, nie pocetkowane jak te na zewnątrz. Pod palcami nie wyczuwałem żadnego spoiwa, chociaż te bloki kamienne połączone w jakis sposób. Nagle...

Ludzie śpią i snia. Lecz ja przysięgam na wszystko, że nie zasnalem. A jeżeli snilem, to ten sen nie przypominał żadnego z moich snów.

Wyjrzałem na Drogę i byli tam ci, którzy po niej niegdys chodzili. Ale gdy chciałem przyjrzeć się im bliżej przez zasłone czegos, co zdawało się być mgłą - nie mogłem. Pozostali tylko jakby kształtami przypominającymi ludzi. Czy to byli ludzie?

Choc nie dostrzegalem ich wyraźnie, płynęły ku mnie ich uczucia. Szli wszyscy w jednym kierunku i była to ucieczka. Owładnęło mna przemożne uczucie - nie, nie kleski. To nie nieznany nieprzyjaciel zmuszał ich do odwrotu, lecz raczej przeciwności losu. Zdawali się tesknąć do tego, co pozostawiali, tęsknota tych, których odrywa się od ich głębokich korzeni.

Teraz wiedziałem, że nie wszyscy byli jednakowi, różnili się od siebie. Niektórzy, mijając mnie, przekazywali mi swój żal albo poczucie straty tak wyraźnie, jakby wykrzykiwali je słowami, które byłem zdolny zrozumieć. Inni natomiast mieli mniejsze zdolności porozumiewania się z taką siłą, chociaż ich uczucia były równie głębokie.

Ten dziwny pochod zjaw już się oddalał, za nim wlokła się jeszcze garstka maruderów. Może to byli ci, którym najtrudniej było odejść? Czy słyszałem przez deszcz, czy nie - odgłosy płaczu? Jeżeli nie plakali żywymi łzami, to rozpaczali w myślach, a ich smutek klebił się wokół mnie i nie mogłem już dłużej na to patrzeć, zakryłem oczy dłońmi i poczułem na własnych policzkach łzy jak ich własne.

-Kerowanie!

Cienie znikły. Złazła burza. Na moim ramieniu spoczał ciężar dłoni Riwała. Potrząsał mna

jakby mnie budził ze snu.

-Kerowanie! - Jego głos zabrzmiał ostro i pytająco.

Zamrugalem nieprzytomnie, spostrzegłszy jego postać w półmroku.

-Co się stało?

-Ty... ty krzyczałeś w głos. Co ci jest? Opowiedziałem mu o cieniach ludzkich, które uchodziły w smutku.

-Może masz dar widzenia - powiedział z powagą, kiedy skończyłem. - Mogło się to zdarzyć w czasach, gdy Dawni opuszczali te strony. Czy kiedykolwiek próbowałeś dalekowidzenia lub sprawdziłeś, czy dana jest tobie Moc?

-Nie! - Nie miałem ochoty naznaczyć siebie jeszcze jednym piętrem i jeszcze bardziej oddalić się od bliźnich. Rozniłem się wszak od nich ciałem wskutek klątwy, jaką nałożono na mnie, zanim się urodziłem, po co mi jeszcze zwiększać te różnice i wchodzić na ścieżki, którymi stąpali Madrzy i meżowie tacy jak Riwal? Nie należało, słysząc jak raptownie zaprzeczyłem. Ta droga może iść tylko ten, kto sam w pełni tego pragnie, a nie ten, którego ktoś inny na nią wciąga. Obowiązują na niej prawa i reguły, nieraz surowsze niżli szkolenie wojskowe.

Po burzy dzień ponownie się rozjaśnił i mogliśmy ruszyć w drogę. Woda stała kałużami w zagłębieniach, napelniliśmy więc nasz mniejszy bukłak, a konie napily się do woli, zanim ruszyliśmy dalej.

Gdy tak zdążyliśmy w kierunku, gdzie niedawno zniknął pochod, zastanawiałem się, czy będę odczuwał obecność postaci z mojego widzenia czy snu. Lecz nic takiego się nie zdarzyło. I wkrótce zapomniałem, jak silne było uczucie, które dzieliłem z cieniami. Za to czułem jakby wdzięczność.

Droga, która dotąd biegła prosto niby strzała, zakreśliła szerokim łukiem na północ, ku niezbadanym obszarom Odlogów. Teraz przed nami rozciągał się widok wzgórz odcinających się ciemną linią od wieczornego nieba. Tam zmierzaliśmy.

Tutaj ziemia była bardziej gościnna. Rosły drzewa, podczas gdy poprzednio widywaliśmy jedynie krzewy i polacie trawy. Dotarliśmy do miejsca, gdzie Droga wznosiła się mostem nad dość szerokim strumieniem. I przy tej rwącej strudze rozbilismy się na noc. Riwal umieścił obozowisko nad samą wodą na wysuniętym cyplu. Woda po burzy była wysoka i niosła ze sobą różne szczątki, które gromadziły się przy kamieniach na obrzeżu cypla.

Nie podobał mi się jego wybór. Wydawało mi się, że z rozmysłem obrał miejsce ciasne i niebezpieczne ze względu na rwącą wodę. Musiał wyczytać niechęć z wyrazu mojej twarzy, ponieważ rzekł:



-To niepewna ziemia, Kerowanie. Lepiej tu uzyc i zwyklych srodkow bezpieczenstwa, i niezwyklych.

-Zwyklych srodkow?

Wskazal na strumien.

-Biezaca woda. Wszystko, co nam nieprzyjazne, jezeli swe sily czerpie z Mocy i nie jest pokrewne czlowiekowi, nie przejdzie nad biezaca woda. Jezeli rozbijemy oboz tutaj, to atak nieznanych sil bedzie mozliwy tylko z jednej strony.

Jesli tak rozumowal, bylo to rozsadne. Totez zabralem sie za spychanie kamieni i odciganie naniesionego pradem drzewa, aby zrobic posrodku cypla miejsce dla nas i koni. Riwal nie byl przeciwny ognisku ulozonego z najsuchszego drewna. Rzeka opadala, lecz nurt nadal byl gwaltowny, a dostrzegalem w nim zyjace stworzenia - ciemne ksztalty, ktore swiadczyly o tym, ze miejscowe ryby byly ogromne. Zaden z podwodnych ciemnych cieni nie przypominal jakiegokolwiek znanej mi ryby. Chociaz draznilo mnie to, doszedlem do wniosku, ze na Ziemiach Spustoszonych lepiej nie wnikac zbyt gleboko w rzeczy nieznanne.

Trzymalismy warte jak na nieprzyjacielskiej ziemi. Zrazu, gdy przyszla moja kolej, bylem tak niespokojnie czujny, iz kazdy cien zdawal mi sie napastnikiem. Wreszcie wzialem sie w garsc i zmusilem moja wyobraznie do posluzenstwa.

Chociaz dzien byl bezsloneczny, w nocy wyszedl ksiezyc. Swiecil wyjatkowo mocno, a w jego promieniach caly swiat stal sie srebrzysto-czarny: srebrzysty na otwartej przestrzeni, a czarny tam, gdzie kladly sie cienie. Istnialo tutaj zycie. Raz uslyszalem tetent koni, a nasze konie zarzaly cicho i szarpaly sie na uwiezi, jak gdyby obok galopowali ich dzicy krewni. Potem dobiegl z oddali smetny glos, niby wycie polujacego wilka, to znow poszybowalo nad naszym obozem cos ogromnego, skrzydlatego, jakby chcac wybadac, czym jestesmy. Lecz same z siebie nie byly to rzeczy straszne, bowiem wiadomo nam bylo, ze na Odlogach zyja dzikie konie, wilki dobrze sa znane w dolinach, zas nocni skrzydlaci myśliwi poluja wszedzie.

Nie, nie niepokoiły mnie te odgłosy, ale to, czego nie slyszalem. Bylem bowiem przekonany, zupełnie jakbym to widzial przed soba, ze na tej czarno-srebrzystej ziemi czailo sie cos lub ktos, kto patrzyl i sluchal tak samo bacznie jak ja. Lecz czy mialo to dobre, czy zle zamiary - nie umialem odgadnac.

Zwidy znikly wraz ze wschodem slonca. W swietle dziennym ziemia rozciagala sie przed nami rowninna i pusta. Przeszlismy przez garb mostu i podazyliśmy przed siebie, widzac coraz wyrazniej przed soba gory.

Przed poludniem dotarlismy na pogorze. Tam pietrzyly sie wzniesienia o ostrzejszych szczytach, niz znane nam z naszego wlasnego kraju, jakby ziemie i kamien ciosano nozem. Droga juz nie byla prosta, ale zwezila sie tak, ze ramie w ramie moglo nia jechac najwyzej dwoch. Wila sie, skrecala, biegla w gore i w dol jakby jej budowniczwie szukali

najłatwiejszego szlaku przez ten labirynt wzgorz. Także tutaj Stara Rasa pozostawiła po sobie ślady. Wyrzeźbione w kamiennych ścianach spoglądały na nas twarze, niektóre zniekształcone, niektóre o ludzkim wyglądzie, łagodne, oraz wstęgi run. Riwal spisywał je pilnie.

Nikt nie potrafił czytać pisma Dawnych, Riwal jednak żywił nadzieję, że kiedyś jemu to się uda. Musielimy się zatrzymać, gdy spisywał runy, i południe powitało nas w wąskiej dolinie, gdzie stanęliśmy pod podbródkiem ogromnej twarzy, wyrzeźbionej w ścianie urwiska.

Przyglądałem się jej już z dala, gdy podjeżdżaliśmy i znajdowałem w niej coś nieuchwytnie znajomego, choć nie moglbym rzec co.

To dziwne: chociaż otaczały nas zewsząd dzieła rąk tych, którzy odeszli, opuściło mnie tu uczucie, że jestem śledzony, jakby to, co kiedyś tu było - znikło, nie pozostawiając straży. Toteż wstąpił we mnie duch, bowiem od czasu burzy czułem się przygnębiony.

-Czemu mogły służyć te wszystkie rzeźby? - dziwiłem się. - Im dalej się posuwamy, tym ich więcej na skalnych ścianach.

Riwal przełknął kęs suchara, zanim odpowiedział: - Może dojeżdżamy do jakiegoś ważnego miejsca, ołtarza lub miasta. Od lat zbieram i badam opowieści kupców, ale nie znam nikogo, kto by zapuścił się w te strony.

Dostrzegłem, że był podniecony i wiedziałem, że spodziewa się odkrycia, większego niż te, których w ciągu lat dokonał, wędrując po Odlogach. Niedługo bawiliśmy nad posiłkiem, ponieważ jego entuzjazm i mnie się udzielił. Wnet ruszyliśmy dalej spod wielkiej brody.

Droga nadal wila się między wzgórzami, a kształty rzeźb coraz więcej zawierały szczegółów. Nie widzieliśmy już więcej głów lub twarzy. Teraz to runy biegły podług zawiłych wzorów linii i kol. Przy jednym z nich Riwal sciągnął lejce.

-Wielka Gwiazda! - Był wyraźnie przejęty. Przyglądając się bliżej drobiazgowemu wzorowi, wreszcie dostrzegłem jego podstawowy zarys: kształt pięcioramiennej gwiazdy, zdobionej takim bogactwem linii, zakretasów i innych uduziwnień, że odczytanie tego wymagało dokładnego przyjrzenia się.

-Wielka Gwiazda? - powtórzyłem pytając.

Riwal zsiadł z konia i podszedł do kamiennej ściany, na której widniał ów głęboko rżnięty wzór. Przesunął palcami wzdłuż jego linii tak wysoko, jak tylko mógł sięgnąć, jakby chciał się przekonać, dotknawszy, że to, co widza jego oczy, rzeczywiście istnieje.

-To sposób - tyle nam wiadomo - na wezwanie jednej z najwyższych Mocy - odparł. - Chociaż dla nas jest stracone wszystko prócz znaku. Nigdy dotąd nie widziałem jej w tak

bogatej oprawie. Musze to przerysowac! Natychmiast wyjal rog z inkaustem, ciasno zakrecony na czas podrozy, pioro i kawalek pergaminu i zaczal kopiowac wzor. Tak zatracil sie w swojej pracy, ze zaczalem sie niepokoic. Wreszcie uczulem, ze juz nie usiedze dluziej patrzac jak z wolna kresli. Pilnie przygladal sie kazdej czesci wzoru, zanim przeniosl ja na pergamin.

-Pojade naprzod - powiedzialem. Mruknel cos w odpowiedzi, zajety praca.

Odjechalem, a wkrótce Droga po raz ostatni zakrecila - i urwala sie.

Na gladkiej kamiennej scianie wznoszacej sie przede mna nie bylo sladu zadnej bramy ani wrot, a jednak bruk konczyl sie rowno ze sciana urwiska. Patrzylem nie wierzac wlasnym oczom na ten nagly i zdawaloby sie - bezsensowny, kres naszej wyprawy. Droga, ktora zaczela sie w martwym punkcie i konczyla tak samo? Dlaczego i po co ja zbudowano?

Zsiadlem z konia i podszedlem blizej. Przesunalem koniuszkami palcow po scianie. Wyczulem najprawdziwszy, lity kamien, do niego dobiegala Droga i - to wszystko. Schyliwszy sie zbadalem jedna strone bruku, potem druga, wreszcie zszedlem z niego, by poszukac jakiegos wyjasnienia. Znalazlem dwie kolumny, po jednej z kazdej strony Drogi, jakby staly po bokach bramy. Lecz zadnej bramy nie bylo!

Podszedlem, by dotknac dlonia kolumny na lewo i nagle spostrzeglem, ze cos lezy u jej stop. Natychmiast uklaklem i najpierw palcami, potem czubkiem noza staralem sie wyluskac znalezisko ze szczeliny, w ktorej tkwilo przysypane piaskiem.

Blyszczaca rzecz, ktora trzymalem w dloni, byla w istocie dziwna: kula - niewielka krysztalowa kula, z materialu, ktory - zdawaloby sie - dawno powinien skruszec miedzy ostrymi skalami. Lecz na gladkiej powierzchni nie bylo nawet zadrapania.

We wnetrzu kuli widnial malenki wizerunek, tak wspaniale wykonany, ze swiadczył o niezwyklym kunszcie mistrza sztuki szlifierskiej, ktorego rak byl zapewne dzielem - wizerunek gryfa, stworzenia, ktore przypisane bylo mej krwi. Gryf unosil jedna noge zakonczona orlimi szponami, a dziob mial otwarty, jak gdyby zamierzal wypowiedziec jakies wazne i madre slowo, ktorego winienem wysluchac. Tuz nad jego lbem bylo w kuli umocowane zlote uszko, jakby niegdys noszono ja na lancuchu.

Gdy tak stalem trzymajac kule w dloni, poczela lsnic swiatlem mocniejszym niz to, dzieki ktoremu ja spostrzeglem. I klne sie, ze sam krysztal stal sie cieply, przyjemnie cieply.

Podnioslem ja do oczu, aby moc blizej przyjrzec sie gryfowi. Widzialem, ze mial czerwone plamki w miejscu oczu i ze plamki te blyszczaly jak zywe, nawet gdy zaslonilem swiatlo, by nie moglo sie w nich odbijac.

Od dawna dobrze znalem wszystkie okruchy i odlamki z polek Riwala, lecz jemu nigdy przedtem nie udalo sie znalezc niczego w calosci - a tu tylko naderwane uszko, da sie latwo

naprawic! Moze powinienem ofiarowac znalezisko Riwalowi? Lecz gdy poczułem ciepło kuli przy moim ciele, gdy zobaczyłem wewnątrz niej gryfa madrego i jakby ostrzegającego, uwierzyłem, że ta rzecz była przeznaczona wyłącznie dla mnie i że nie natrafiłem na nią przypadkowo, ale dzięki działaniu jakiejś niepojętej siły. Jeżeli istotnie Rod mojej matki był spokrewniony z Dawnymi, to być może dzięki domieszce ich krwi w moich własnych żyłach odczułem, że kryształowa kula była mi znajoma i miła.

Wrocilem do Riwala. Gdy ja ujrzał, na jego twarzy odmalowało się bezbrzezne zdumienie.

-Skarb - i prawdziwie twój - powiedział z wolna, jakby nie chciał, by tak było.

-Znalazłem ja, ale będzie nasz wspólny - zmusiłem się, by zaproponować sprawiedliwy podział.

Potrzaskał głową.

-Nie to. Czyżby to miał być tylko przypadek, że znalazł Gryfa ktoś, kto już ten znak nosi? - Wyciągnął dłoń i dotknął lewej strony mojego kaftana nad piersią, tam gdzie umieszczono niewielki, nie rzucający się w oczy wizerunek głowy Gryfa. Zawsze to miałem na sobie.

Nie chciał nawet wziąć kuli do ręki, chociaż schylił głowę, by przyjrzeć się jej bliżej.

-To coś należy do Mocy - powiedział wreszcie. - Czy nie czujesz w tym życia?

Czułem. Nie mogłem zaprzeczyć, że rozchodziło się od niej ciepło i dobro.

-Będzie ci służyć w wielu sprawach - mówił zniżonym głosem i widziałem, że ma oczy zamknięte, wcale nie patrzył na kule. - Zwiąże, jeżeli zajdzie potrzeba zawiązania, otworzy drzwi, jeżeli zabraknie klucza, będzie twoim przeznaczeniem i zaprowadzi cie w nieznaną.

Choć nigdy nie mówił mi, że potrafi dalekowidzieć, wiedziałem, że w owej chwili zawiązała nim siła, dzięki której patrzył w obrazy przyszłości i przeczuł do czego posłuży mi znalezisko. Zawinałem kule w kawałek Riwalowego pergaminu i schowałem blisko ciała pod kolczugę, żeby była bezpieczna.

Riwała tak jak mnie zafrapowała zagadka urwiska-siany. Według wszelkich znaków powinny znajdować się tam wrota wiele znaczące, ale takich wrot nie było. Wreszcie musieliśmy zadowolic się tym, co udało nam się odkryć, i opuścić Odlogi.

W drodze powrotnej Riwal ani razu nie poprosił, abym mu znow pokazał Gryfa, ani ja nie wyjmowałem kuli spod kolczugi. Jednakże nie było chwili, żebym nie pamiętał o tym, co niosłem. Zanim pod czas dwóch nocy, kiedy leżaliśmy obozem, miałem dziwne sny, z których pamiętałem niewiele i nie wyniosłem nic, prócz uczucia, że muszę czym prędzej wracać do jedynej znanej mi domu, ponieważ oczekiwało mnie jakieś ważne zadanie.

Nie polubiam Yngildy, ale musze przyznac, ze jej brat byl zupełnie inny niz ona. Na jesieni tamtego roku, wkrótce po naszym powrocie do Ithkrypt, przyjechal przez wzgorza z niewielka eskorta. Wszyscy jego towarzysze mieli pochwy mieczy zawiązane tasiemkami na znak pokoju i byli gotowi wziac udzial w jesiennym polowaniu, ktore miało zapewnić naszym spizarniom solona dziczyzna na zime. Różnił się od siostry tak wyglądem jak i rozumem, był młodzieńcem szczupłym, kształtnym, o włosach mających czerwieńszą barwę niż się to zazwyczaj spotyka wśród miedzianogłowych mieszkańców dolin. Miał koncept i dar pieśni, którym nas cieszył wieczorami w sali.

Usłyszałam, jak Dama Math mówiła do jednej ze swych kobiet, że on, to znaczy Toross, mógłby przez całe swoje życie nieść rog i zbierać łzy wdychających do niego niewiast. Lecz nie czynił niczego, co wzbudzałoby ich uwielbienie, nigdy nie starał się zwrócić na siebie ich uwagi. Gotowy był wskoczyć na kon czy ćwiczyć się w walce jak każdy mąż i był przez towarzyszy bardzo lubiany.

Natomiast mnie był przyjacielem, jakiego dotąd nigdy nie miałam. Nauczył mnie słów wielu pieśni i pokazał jak układać palce na jego własnej harfie. Czasem przynosił mi gałązki jaskrawych liści w ich całej jesiennych wspaniałości lub inny drobiazg, który radował oczy.

Nie miał wiele czasu na przyjemności, bowiem czekała nas ogromna praca z przygotowaniem zapasów na nadchodzącą zimę. Smazyliśmy owoce i kładliśmy je do słoików, zawiązując otwory ciasno pergaminem, wyjmowaliśmy ciepłe ubrania i przeglądaliśmy je, na wypadek gdyby wymagały naprawy.

Coraz częściej Dama Math pozostawiała zarządzanie tymi sprawami mnie, twierdząc, że mam już tyle lat, iż mogę zostać panią domu mego małżonka i trzeba, abym wszystko dobrze poznała. Robiłam błędy, ale i wiele się nauczyłam, ponieważ nie miałam zamiaru najść się wstydu przed nieznanymi w zamku mojego pana. I czułam się bardzo dumna, gdy mój stryj pochwalił danie przeze mnie przyrządzone. Lubiał słodkie, a cukry różane i fiołkowe przemyślnie ulepione na kształt kwiatów zdały mu się zabawnym konceptem na zakończenie posiłku i stały się jednym z moich największych kulinarnych osiągnięć.

Chociaż byłam tak zajęta w ciągu dnia, a nawet wieczorami, kiedy w świetle lampy zajmowaliśmy się odzieżą, nie mogłam uciec od pewnych myśli, które zaszczerpiła we mnie Yngilda. Dlatego też w sekrecie zrobiłam coś, co mogłoby wymyślić jedynie dziewczę o wiele ode mnie młodsze.

Kiedy się szło na zachód dolina, trafiało się na studnię, o której chodziły słuchy, że jeśli wrzuci się do niej szpilki, gdy w jej wodzie odbija się księżyc w pełni, przyniesie to szczęście. Nie wierząc w to do końca, ale żyjąc nadzieją, że i ja w ten sposób zapewnię sobie szczęście, wymknęłam się o wschodzie księżyca (co nie było łatwe) i pobiegłam do studni na przelaj przez świeżo żęte pola.

Noc była chłodna i wysoko zaciągnęłam kaptur peleryny. Stanelam i spoglądając w dół na srebrzyste odbicia w wodzie wyjęłam szpilke, gotowa upuścić ją na widniejącą w glebi tafle wody. Zanim ją rzuciłam, zdało mi się, że odbicie zadrgało i zmieniło się. Przez długą chwilę byłam pewna, że to, co tam ujrzałam, wcale nie przypominało księżycy, raczej kule z kryształu. Musiałam niechcący upuścić jednak szpilke, ponieważ nagle woda zmaciła się i przywidzenie, o ile było to tylko przywidzenie, przyszło.

Tak się przestraszyłam, że zapomniałam o krótkim rymowanym zakleciu, które powinnam była w tej chwili odmówić. Więc moja wyprawa po szczęście na nic się zdała. Śmiałam się sama z siebie, gdy odwróciłam się i uciekłam od studni.

Ze na świecie istnieją czary i zaklęcia, wszyscy wiemy.

I wiemy, że są Madry, które się na nich znają, oraz inne niewiasty, jak Przeorysza Przeszłości, która włada siłami niepojętymi dla większości mężczyzn. Można wezwać te siły, jeżeli posiada się Dar i Wiedzę, ale ja nie miałam ni jednego, ni drugiego. Lepiej mi nie brać się za takie sprawy. Lecz... czemu znowu widziałam (o ile rzeczywiście widziałam) gryfa zamkniętego w kuli?

Gryf... Pod peleryną palcami wyszukałam i wyczułam zarys stworza wyhaftowanego na moim kaftanie. Był znakiem Rodu Ulma, z którym teraz byłam związana przysięgą. Jaki był? - Myśli moje przedły się niby nic - jaki był ten nie widziany, nieznany mój małżonek? Czemu nie przesłał mi podobizny, takiej jaka nosiła Yngilda? Potwór... Yngilda nie miała prawa mówić mi złośliwych kłamstw; w tym, co mi powiedziała, musi tkwić ziarno prawdy. Istniał sposób...

Co roku przychodziły na moje imieniny podarunki z Ulmsdale. Tego roku, kiedy je przywiozła, odnajdzie dowódcę drużyny, która z nimi przybędzie i poprosze go, by zawiozł dar dla swego pana i przekazał mu, że pragnie, byśmy wymienili podobizny. Miałam własną, namalowaną przez pisarza mojego stryja, który miał dar kreślenia rysów twarzy. O tak, tak właśnie zrobie!

Zdawało mi się w owej chwili, że to studnia darowała mi te myśli. Więc biegłam, zadowolona, z powrotem do domu, rada, że nikt nie spostrzegł mojej nieobecności.

Teraz zaczęłam urzeczywistniać własne plany. Trzeba mi było zrobić odpowiedni futerałik na obrazek namalowany na pergaminie. Wpierw więc opracowałam go w kawałek polerowanego drewna, po czym uszyła małą sakiewkę, na której z przodu wyhaftowałam Gryfa, a z tyłu złamany miecz. Żywiłam nadzieję, iż mój małżonek zrozumie ukryte znaczenie: że oczekuje, jak powinnam, swojego przyjazdu do Ulmsdale, że Ithkrypt to moja przeszłość, nie przyszłość. Wszystko robiłam w sekrecie, kradnąc czas, bowiem nie chciałam, by inni poznali moje zamiary. Ale pewnego późnego popołudnia, gdy nagle nadszedł Toross, nie zdążyłam schować robotki.

Przede mna lezala moja podobizna - uzywalam jej do miary na sakiewke. Kiedy Toross ja zobaczyl, rzekl ostro:

-Jest tu ktos, kuzynko, kto widzi cie taka, jaka jestes naprawde. Czyja to reka malowala?

-To Archan, pisarz mojego stryja.

-I dla kogo kazalas to namalowac?

W jego glosie znowu dala sie wyczuc ostrosc, jakby mial prawo domagac sie ode mnie odpowiedzi. Bylam co najmniej zdumiona, a takze niezadowolona, ze uzyl takiego tonu, bowiem jego slowa byly dotad zawsze grzeczne i lagodne.

-Bedzie to niespodzianka dla mojego malzonka Kerovana. Niebawem przysle mi dary na imieniny. To odesle mu w zamian.

Wcale mi sie nie podobalo, ze mnie zmusil do wyjawienia zamyslu, ale pytanie tak mnie zaskoczylo, ze nie moglam nie odpowiedziec.

-Twoj malzonek! - Odwrocil ode mnie twarz. - Jak tu pamietac, ze te wiezy istnieja, Joisan. Czy kiedykolwiek myslalas, jak to bedzie znalezc sie posrod nieznajomych, isc do pana, ktorego nigdy przedtem nie widzialas?

Jego slowa nadal byly szorstkie i nie moglam pojac dlaczego. Pomyslalam, ze nie bylo mile z jego strony w taki sposob potwierdzac moja gleboko skrywana obawe.

Odlozylam igle, wzielam medalion i nie dokonczony futeralik, zawinelam je w specjalna chusteczke bez slowa odpowiedzi. Nie mialam zamiaru odrzec mu "tak" lub "nie" na pytania, ktorych nie mial prawa zadawac.

-Joisan, istnieje przeciez prawo do odmowy! - wybuchnal, z glowa odwrocona ode mnie. Dlonie zalozyl za pas i spostrzeglam, jak zacisnal na nim palce.

-I w taki sposob okryc hanba jego Rod i wlasny? - odparlam. - Czyzbys uwazal, ze nic nie jestem warta? Jakze mnie nisko sadzisz, kuzynie! Cozem zrobila, abys myslal, ze swiadomie przynioslabym wstyd jakiemukolwiek czlowiekowi?

-Czlowiekowi! - Obrocil sie gwaltownie ku mnie. Mial zaciete wargi, a wkolo jego oczu czailo sie cos, czego nigdy przedtem nie widzialam. - Czyzbys nie wiedziala, co mowia o dziedzicu Ulmsdale? Czlowiek! O czym myslal twój stryj, gdy godzil sie na to malzenstwo? Joisan, nikt nie moze zmusic panny, by byla przedmiotem takiego oszukanczego targu! Badz madra, pomysl o sobie, pomysl o odmowie - teraz!

Podnioslam sie. Czulam jak wrze we mnie gniew. Lecz taka mam nature, ze w największym gniewie zdaje sie najbardziej spokojna. Moze powinnam za to podziekowac

losowi, gdyż wiele razy ta cecha chroniła mnie niby pancerz. - Kuzynie, zapominasz się. Nieprzystojne to słowa i wstyd mi za ciebie. Czy uważasz mnie za żalosne stworzenie, które zechce tego słuchać? Powinieneś się nauczyć lepiej strzec własnego języka! - Odeszłam, nie zwracając uwagi na jego gwałtowną próbę zatrzymania mnie.

Udałam się do mojej komnaty, stanęłam przy oknie wychodzącym na północ i patrzyłam na zmierzch. Drżałam, nie z zimna, lecz z leku, który zasiała w moich myślach Yngilda.

Złościwości Yngildy, a teraz ten dziwny wybuch Torossa, który - aż trudno uwierzyć - mówił mi takie rzeczy! Prawo odmowy młodej rzeczywiście istniało, ale za każdym razem w tych nielicznych przypadkach, gdy uciekano się do niego, skutkiem były krwawe wasnie między Rodami. Potwór, powiedziała Yngilda. Teraz Toross powtarzał słowo "człowiek" jak gdyby nie mogło dotyczyć mojego małżonka! Lecz stryj nie mógł mieć złych zamiarów wobec mnie i na pewno bardzo dobrze rozważył możliwość małżeństwa, gdy mu ją przedstawiono. Miałam też solenną przysięgę Damy Math.

Nagle zateskniałam do ogrodka Przeoryszy Malwinny. Jedynie z nią pomówiłabym o tej sprawie. Znalam już zdanie Damy Math: mój pan padł ofiarą nieszczęśliwego przypadku. Łatwiej mi przyszło uwierzyć w to, niż że nie był całkiem mężczyzną. Czyżby to było możliwe, jeżeli jego ojciec i mój stryj wymienili przysięgi? Pocieszałam się tymi rozsądnymi myślami, czepiając się nadziei, że powieździe się plan przesłania Kerovanowi mojej podobizny.

Lecz od tej chwili unikałam Torossa jak umiałam, chociaż wielokrotnie czynił wysiłki, aby rozmawiać ze mną na osobności. Wymawiałam się mnogocią obowiązków i szybko byłam w posługiwaniu się tą wymówką. Aż nadszedł dzień, kiedy Toross na osobności rozmawiał z moim stryjem i zanim owy dzień się skończył, on i jego ludzie wyjechali z Ithkrypt. Zawezwano do stryja Damy Math, a następnie Archan przyszedł po mnie.

Tak groźne spojrzenie widywałam u stryja tylko wówczas, gdy ktoś coś zrobił nie po jego myśli. I właśnie to groźne spojrzenie zwrócił na mnie, gdy weszłam.

-Coż to, przez ciebie, dziewczko, zaczęło wrzec? - zaryczał prawie, zaledwie przestąpiłam próg komnaty. - Czyżbys tak lekko wazyła słowa, że...

Dama Math podniosła się z krzesła. Miała twarz również zagniewana, ale patrzyła na niego, nie na mnie.

-Wysłuchajmy Joisan, zanim uderzysz ją słowem! - Jej spokojny ton uciszył jego krzyk jak nożem uciął. - Joisan, dziś Toross był u twego stryja i mówił o odmowie młodej...

Teraz z kolei ja przerwałam jej, rozszokowana, że stryj oskarżył mnie, zanim zapytał o moje zdanie w sprawie.

-Tak, i ze mną mówił. Powiedziałam, że nie będę go słuchać ani nie myślę złamać danego



słowa! A wy, którzy mnie dobrze znacie, co sobie wyobrazaliście?

Dama Math skinela głowa.

-Tak myślałam. Przez tyle lat Joisan mieszka pod twoim dachem, a ty czyżbyś nie wiedział jaka jest? Co ci powiedział Toross, Joisan?

-Zdało mi się, że źle myśli o paniczku Kerovaniu, i mówił, że powinnam użyć prawa odmowy, nie pojsć do niego. Powiedziałam mu, co myślę o jego hanbiących słowach i odeszłam. Nigdy potem nie mówiłam z nim na osobności.

-Odmowa młodej! - Stryj uderzył pięścią w stół jakby bił w beben na wojnę. - Czy to szczerzenie oszałało? Wszcząć krwawy spor nie tylko z Ulmsdale, ale z połową Polnocy, która stanelaby przy Ulricu w takiej sprawie! Dlaczego tego chce?

W oczach Damy Math błyszczał mroz, a na usta wystąpił dziwny grymas; widac spodziewała się takiego pytania.

-Mogę przytoczyć dwa powody, mój bracie. Jeden to jego gorąca krew. Drugi to myśl zaszczipiona w jego głowie przez...

-Milcz! Nie ma potrzeby wymieniać tego, co mogło, czy nie mogło, sprowadzić na Torossa to szalenstwo. A teraz posłuchaj, dziewczyno. - Znowu zwrócił się do mnie. - Ulric zaklął się, że jego dziedzic może być mężem dla każdej kobiety. Ze jego małżonka nie w pełni władała rozumem, gdy chłopiec się urodził, wszyscy wiemy. Poczula taką odrazę do niemowlęcia, że nazwała je potworem, lecz potworem on nie jest. Także Ulric mówił ze mną o sprawie, która wiele ma z tym wspólnego i która chce ci właśnie przedstawić, ale ty będziesz o niej milczeć. Pamiętaj, dziewczyno!

-Będzie milczała - obiecałam, gdy scichł, może oczekując takiego zapewnienia.

-Wystarczy. Wobec tego słuchaj: zawsze istnieje przyczyna podobnie szalonych opowieści, więc gdy takowa usłyszysz, będziesz musiała umieć odróżnić ziarno od plew. Pani Tephana, matka twojego małżonka (ładna mu była matka!), ma z pierwszego małżeństwa starszego syna, imieniem Hlymer. Ponieważ nie otrzymał żadnej ziemi od własnego ojca, zabrała go ze sobą do Ulmsdale. Ma jeszcze córkę - Lisane - zaledwie o rok młodsza od twojego małżonka.

Córka zareczyła z jednym z jej własnego Rodu. A miłuje ją miłością równą pogardzie, jaką żywi dla Kerovana. Dlatego też Ulric z Ulmsdale ma powody sadzić, iż w samym jego domu tkwią zasiewy niepokojów, jakie będzie musiał zebrać jego dziedzic, bowiem Hlymer zmawia się z narzeczoną Lisany i nie Kerovana chce widzieć panem na Ulmsdale w przyszłości. Ulric nie może zrobić niczego przeciw nim, ponieważ brak mu dowodów. Lecz nie chce, by skrzywdzono jego syna wówczas, gdy on sam nie będzie już mógł go ochraniać, pragnął ważnego małżeństwa dla Kerovana i połączenia go z Rodem, który

mogłoby go wesprzec w chwili, gdy będzie potrzebował mieczy.

Ponieważ na Wysokim Stolcu na zamku nie może zasiać nikt, kto nie jest zdrowy na ciele i na umyśle, czy byłby lepszy sposób, niż zasiać niepewność w myślach ludzi, którzy w przyszłości popieraliby Kerovana, rozpowszechniając plotki o "potworach" i tak dalej? Widziałas na własne oczy, co dzieje się, gdy taka opowieść trafi do tych, którzy nie wiedzą, co się za nią kryje. Właśnie z taką historyjką przyszedł do mnie Toross; zupełnie go opętała. Ale przysięgłem nie wyjawic nikomu - oprócz tych, których to bezpośrednio dotyczy - obaw Ulrica na przyszłość. Kazalem więc Torossowi odjechać, skoro nie umie poskromić języka. Ale że ty chciałaś słuchać... Potrzaskałam głową.

-To on z tym do mnie przyszedł. Lecz ja już słyszałam podobną historię od jego siostry w Trevamper.

-Math mi mówiła. - Z twarzy stryja znikł rumieniec.

Wiedziałam, że teraz czuje się zawstydzony powitaniem, jakie mi zgotował, choć nigdy by się do tego nie przyznał. Ale my nie potrzebowaliśmy słów, aby się rozumieć.

-Sama widzisz, dziewczyno, jak szeroko ta plotka się rozeszła. Uważam, że Ulric nierozsądnie postępuje, nie pilnując lepiej własnych domowników. Lecz przecież każdy jest panem na własnym zamku i sam musi stawiać do walki ze swoimi cieniami. Wiedź tyle: mężczyzna, którego posubiłaś, jest mężem, z którym z dumą złączysz dłonie, po temu kiedy czas nadejdzie, a nadejdzie niebawem. Nie bacz na te słuchy, zwłaszcza teraz, gdy znasz i ich źródło, i cel.

-Za co dziękuje - odrzekłam.

Dama Math zabrała mnie do swojej komnaty i przyjrzała mi się bacznie, jakby tym badawczym spojrzeniem chciała odkryć każdą moją nie wypowiedzianą myśl.

-Jak to się stało, że Toross mówił z tobą o tej sprawie? Musiał mieć powód, bo nie tak łatwo postąpić wbrew zwyczajowi. Joisan, jesteś już zamezna, a nie panienka na wydaniu, która pozwala, by jej wzrok błaznił to tu, to tam.

Opowiedziałam więc o moim zamiarze. Ku memu zdziwieniu Dama Math nie miała nic przeciwko temu, ani nie zdawała się uważać tego, co robiłam, za niegodne mojego stanu. Żywo pokiwała głową.

-To dobra myśl, Joisan. Może sami winniśmy byli pomyśleć o takiej wymianie dawno temu. Skonczyłoby się cześć gadanie. Gdybyś tamtego dnia mogła pokazać podobiznę Kerovana, byłaby to dobra odpowiedź dla Yngildy. Więc Toross rozżalował się widząc twoją robotkę? Najwyższy czas, by ten młodzian powrócił do tych, którzy go wysłali, aby miał niezgodę! - Znowu zagniewała się, ale nie na mnie; nie wyjawiała, co ją poruszyło.

I tak skonczyłam futerał na medalion, a Dama Math pochwaliła robote, mowiac, ze to wyjątkowy przykład moich zdolności w posługiwaniu się igłą. Gotowy dar schowałam do kuferka w oczekiwaniu na przyjazd drużyny z Ulmsdale.

Spoznili się o kilka dni, a i towarzystwo przybyło inne niż poprzednio: zbrojni meżowie byli starsi, a niektórzy z nich nosili stare blizny, które uniemożliwiałyby im czynną służbę, gdyby doszło do wojny. Ich dowódca miał skrzywione plecy i chodził mocno kulejąc.

Oprocz szkatulki, która ceremonialnie mi przekazał, miał wiadomości dla mojego stryja - rurkę zapieczętowaną własnym znakiem Ulrica. Od razu też zaprowadzono go, by rozmówił się ze stryjem sam na sam, więc sprawa musiała być wielkiej wagi. Pomyślałam, że być może nadeszło dla mnie wezwanie do Ulmsdale. Lecz wygląd posłanca przeczył temu. Mój małżonek przybyłby we własnej osobie, tak jak to było przyjęte, ze switą, aby z należytym honorem poprowadzić mnie przez wszystkie ziemie leżące po drodze do jego siedziby.

W szkatule znajdował się naszyjnik z północnego bursztynu i złotych paciorków, a do tego pas takiej samej roboty. W istocie był to dar, który świadczył o tym, jak bardzo mnie cenił mój pan. A jednak żałowałam, że nie był to dar podobny temu, jaki ja przygotowałam dla niego. Wiedziałam, że Dama Math stworzy mi okazję, bym mogła chwilę pomówić z owym Jagonem, dowódcą drużyny z Ulmsdale i powierzyć mu mój pakuneczek. Lecz chyba miał dużo do powiedzenia stryjowi, bo wyszedł z wewnętrznych pokoi dopiero na wieczerze, tak iż niewiele pozostało mi czasu.

Ucieszyłam się, gdy usadowiono go przy mnie, bowiem mogłam mu powiedzieć, że chcę go spotkać na osobności i że mam coś, co chciałabym mu powierzyć. Odwzajemnił mi się tym samym.

-Pani, otrzymałaś dary od Pana na Ulmsdale, lecz i ja mam jeszcze coś, co dał mi Kerovan i kazał mi wręczyć ci to na osobności.

Poczułam jak wzbiera we mnie podniecenie, bo wyobrażałam sobie, że nie może to być nic innego jak to, co i ja umyśliłam - jego podobizna.

A jednak nie. Kiedy dzięki Damie Math znaleźliśmy się sami w zakątku między wysokim stołcem a ścianą, włożył mi w dłoń coś niewielkiego i kragłego. Szybko rozwinęłam miękką wełnianą chusteczkę i ujrzałam leżącą na mej dłoni kryształową kulę, a w jej wnętrzu Gryfa - zupełnie takiego, jaki mi się zjawiał w Siedzibie Dam! Mało brakowało, a upuściłabym go na ziemię. Bowiem strach ogarnia człowieka, gdy jego życie musi być rzecz pochodząca od Mocy. Tuż nad łbem Gryfa było umocowane w kryształach złote uszko, przez które przywleczono lancuszek, aby można było nosić kulę jak naszyjnik.

-Rzecz cudowna! - Odzyskałam głos i miałam nadzieję, że nie zdradziłam się ze swoim lekiem. Bowiem nikomu nie potrafiłabym wyjaśnić, dlaczego w tamtej chwili ogarnęło mnie przerażenie. Im dłużej przypatrywałam się kuli, tym wyraźniej widziałam jej piękno, aż

pomyślałam, że prawdziwie był to skarb wspanialszy niż wszystkie przesłane mi uroczyscie w szkatułach dary.

-Tak. Pan mój błaga, byś to przyjęła i nosiła czasem i abys dzięki temu mogła być pewna, że myśli o tobie. - Zabrzmiało to jak przygotowana mowa, której wyuczył się na pamięć. Może więc wcale nie był bliskim towarzyszem Kerovana.

-Powiedz swojemu panu, że ogromnie raduję mnie jego podarunek. - Łatwiej przyszło mi znaleźć wyniosłe słowa teraz, innymi odpowiedziałabym chwile wcześniej. - Będzie ten dar mieć przy sobie we dnie i w nocy, abym mogła nań spojrzeć, nie tylko dlatego, że chcę cieszyć się pięknem klejnotu, ale ponieważ jest wyrazem dbałości mojego pana o mnie. A w zamian - przedko wyjęłam mój podarunek - złożył to na ręce mojego małżonka. Poproszę go, by zechciał i mnie wysłać dar podobny, kiedy będzie mógł.

-Zapewniam cię, pani, że twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. - Jagon wsunął zawiniątko w sakwę u paska. Zanim mógł mi coś więcej powiedzieć, o ile miał jeszcze coś do powiedzenia, nadszedł jeden z ludzi mojego stryja i ponownie wezwał go na wewnętrzne pokoje. Tego wieczoru już go nie widziałam więcej, ani nie rozmawialiśmy bliżej podczas dwóch pozostałych dni, gdy bawili w Ithkrypt. Pożegnałam go uroczyscie, kiedy odjeżdżał, a do tego czasu wszyscy na zamku już wiedzieli, jakie mezowie z Ulmsdale przyniesli wieści.

Ludzie urodzeni w dolinach nie mają skłonności do podróży morskich. Mamy porty handlowe rozmieszczone wzdłuż wybrzeża i tam można natrafić na wioski rybackie. Natomiast żaden okręt dalekomorski nie pływa pod banderą szlachcica z dolin. A ci, którzy przybywają zza morza dla handlu, jak Sulkarczycy, nie są z nami spokrewnieni.

Wieści zza morza idą do nas długo. Mimo to często słyszeliśmy, że na ziemiach wschodnich ludy walczyły ze sobą o władzę. Od czasu do czasu docierały do nas słuchy o kraju, mieście lub przywódcy, ale wieści były tak zniekształcone, że trudno było odróżnić zmyślenie od prawdy.

Jednakże ostatnimi czasy nowe statki weszły wzdłuż naszych wybrzeży. Sulkarczycy sami ponieśli jakąś dotkliwą klęskę przed dwoma laty na wschodnich wodach. Dlatego mniej niż zwykle było kupców na nasze tkaniny wełniane, tajemny metal z Odlogów i nasze perły rzeczne. Nowi kupcy byli inni, targowali się zjadliwie, by wymusić niskie ceny, i zdawali się niezmiernie zainteresowani naszą ziemią. Często, gdy wyczyli się swego towaru i zanim załadowali towar na drogę powrotną, statek stał na redzie, a załoga zapuszczała się na północ lub południe jakby na zwiady.

Nasze pojęcie o wojnie nigdy nie obejmowało poważniejszych spraw niż porachunki między dolinami, które czasem były mroczne i krwawe, ale nigdy nie wiązały więcej niż paruset meków po każdej ze stron. Nie mieliśmy króla ani wodza i z tego byliśmy dumni, ale była to zarazem nasza słabość, o czym mieliśmy się wnet przekonać. Czasem kilku panów łączyło siły w wycieczce przeciw banitom z Odlogów albo w innej sprawie. Lecz takie

sojusze były zawsze tymczasowe. I mimo że niektórzy panowie mieli więcej popleczników niż inni (głównie dlatego, że zarządzali bogatszymi i gęściej zaludnionymi dolinami), na wezwanie żadnego z nich nie stawiliby się wszyscy.

Dla tych, co nas szpiegowali, musiało być oczywiste, że byliśmy słabymi przeciwnikami i łatwo było na nas najeżdżać. Natomiast źle pojęli ducha dolin, bowiem człowiek z doliny będzie zazwyczaj walczył o swoją wolność. Rzadko też można zachwiać jego wierność wobec pana, który jest niby głową jego własnej rodziny.

Ulmsport leżało u wrot doliny i ostatnimi czasy zawinęły tam dwa statki nieznajomych. Nazywali oni siebie ludźmi z Alizonu i butnie opowiadali o wielkości i sile swojej zamorskiej krainy. Jeden z nich został ranny na lądzie, a jego towarzysz ze statku zginął. Rannego pielęgnowała Madra. Dzięki swej władzy umiała odróżnić prawdę od fałszu i kiedy bredził w gorączce, wiele mówił, słuchała go. Potem, gdy jego kamraci zabrali go od niej, udała się do Ulrica. Wysłuchała jej uważnie, świadoma, że wie o czym mówi.

Ulric, pan na Ulmsdale, był na tyle ostrożny i mądry, by zauważyć jak rzeczy się mają, oraz że ich cien może paść na całą naszą Krainę. I na to się zanosilo. Czym prędzej więc spisał to, czego się dowiedział i rozesłał do wszystkich sąsiednich dolin, także do Ithkrypt.

Jak można się było domyślać ze słów mającego rannego, rzeczywiście był szpiegiem, zwiadowcą armii, która w niedługim czasie miała wylądować u naszych brzegów. Zrozumieliśmy, że Alizonczycy uznali nasze rządy za tak słabe i nietrwale, iż można na nas najeżdżać w dogodnej chwili i zamierzali to zrobić.

I tak zawisła nad naszym światem wielka ciemna chmura. Lecz ja ścisnęłam w dłoni kryształową kulę, nie ciekawa Alizonu ani alizonskich szpiegów, przekonana, iż w jakiś sposób Kerovan spełni moje życzenie i będę mogła spojrzeć na podobiznę meza, który nie był potworem.

Kerovan

Wielce byłem zdziwiony, gdy dowiedziałem się, że Jagon wrócił, zanim ja i Riwal przybyliśmy z Odlogów. Jego gniew był tak wielki, że gdybym był młodszy, zapewne uciąłby witek z najbliższej leśniczyny i z jej pomocą nauczył mnie moreśsu. Zauważyłem, że wynikał nie tylko z mojej wyprawy w nieznane, ale i z czegoś, co zasłyszał w Ulmskeep. Wykrzyczawszy swoją złość, nakazał mi słuchać z taką powagą, iż krnąbrne uczucie buntu, którym odpowiedziałem na jego karcenie, znikło. Na zamku w Ulmskeep byłem dwukrotnie w życiu, za każdym razem wtedy, gdy moja matka składała wizytę swoim krewnym. Znałem go więc, tak jak i niższą partię doliny. Także wówczas gdy ojciec przyjeżdżał do mnie, cierpliwie uczył mnie rozkładu naszych ziem i mówił o potrzebach naszych poddanych - rzeczach, które będą mi potrzebne w dniu, kiedy przyjdzie mi zająć jego miejsce.

Lecz wieści, jakie przywiózł Jagon były zupełnie nowe. Po raz pierwszy usłyszałam o

najeżdzcach (choć wtedy jeszcze ich tak nie nazywano, bo zdawali się być gośćmi, gdy schodzili ze statków w Ulmsporcie).

Z jaką pogardą patrzyli na nas, wkrótce mieliśmy się przekonać, bo głupi nie jesteśmy. Być może my, ludzie z dolin, zbyt wiele wagi przykładamy do własnej niezależności i łączymy swe siły tylko w chwilach nagłej i palącej potrzeby. Lecz jak dzięki stworzenia umiemy zwiertzić niebezpieczeństwo, jeżeli wejdzie na nasz teren.

Rok, czy kilkanaście miesięcy wcześniej, zaczęli weszyc koło naszych portów, u ujścia rzek. Wtedy postępowali ostrożnie, podając się za handlarzy, a towary, jakie oferowali w zamian za naszą wełnę, były nowe, przyciągały wzrok i miały wziecie. Ale oni sami trzymali się raczej na uboczu, chodząc dwójkami lub trójkami, nigdy samopas. Nie trzymali się portów, ale wyruszali w głąb lądu, tłumacząc się, że szukają zbytu.

Byli obcy i dlatego traktowani z nieufnością, szczególnie na ziemiach sąsiadujących z Odlogami, mimo iż wiadomo było, że to przybysze zza morza. Witano ich uprzejmie i podejmowano na prawach gości, ale gdy patrzyli, słuchali i od niechcenia zadawali pytania, odwzajemniano się im tym samym. Niebawem mój ojciec na podstawie meldunków zauważył w ich podróżach metodę, która niepodobna była do kupieckiej, ale jego zdaniem znamionowała raczej zachowanie zwiadowców na obcej ziemi.

Po cichu tedy posłał do naszych najbliższych sąsiadów: Uppsdale, Fyndale (gdzie zjechali pod pozorem wielkiego targu, który się tam odbywał), Flathingdale, a nawet Vastdale, która miała też własny port, Jorby. Ze wszystkimi panami na tych dolinach żył dobrze, nie było między nami wasni, zaś oni byli gotowi wysłuchać go, a następnie wysłać własnych ludzi na zwiad.

Przekonywali się coraz bardziej, że mój ojciec poprawnie ocenił sytuację, a obcy zza morza weszli po naszych ziemiach, mając na uwadze jakiś własny swój cel, który nie wroził nic pomysłnego dolinom. Wkrótce miało zadecydować, czy uznać to za wspólną sprawę i zakazać statkom z Alizonu zawijania do portów.

Jednakże próba przekonania panów, aby złączyli wysiłki dla jednej wspólnej sprawy, była zadaniem, którego podjąłby się jedynie człowiek ogromnej cierpliwości. Żaden z panów nigdy otwarcie nie poddałby się woli innego. Nie mieliśmy wodza, który zjednoczyłby wszystkich pod jednym sztandarem i jednym dowództwem. I to miało nas zgubić.

Teraz w Ulmskeep spodziewano się pięciu panów z Polnocy; planowano wymienić poglądy w tej sprawie. Lecz taki zjazd wymagał uroczystości, o której ludzie rozprawialiby tyle, by obcym nie objawiła się jego prawdziwa przyczyna. Mój ojciec znalazł taki powód: pierwsze nadanie broni swemu dziedzicowi i ceremonia przyjęcia mnie do drużyny, co już należało uczynić przy moich latach.

Do tej chwili uważnie śledziłem słowa Jagona, ale jego bezceremonialne oświadczenie, że

to ja mam być oficjalną przyczyną tego zgromadzenia, poruszyło mnie do głębi. Od dawna byłem przyzwyczajony żyć na osobności, z dala od zamku i krewnych, i jedynie takie życie zdawało mi się stosowne dla mnie.

-Ale... - usiłowałem protestować.

Jagon bebnął palcami w blat stołu.

-Nie, to on ma rację, pan mój Ulric. Zbyt długo byłeś odsunięty od wszystkiego, co według prawa tobie się należy. On musi to zrobić, nie tylko dlatego, aby móc skrycie pomówić z panami, ale dla twego własnego dobra. Przekonał się, że szalenstwem było jego dotychczasowe postępowanie.

-Szalenstwem...? - Byłem zdumiony, że Jagon w taki sposób wyraża się o moim ojcu, ponieważ był poddanczo wierny Ulricowi i oddawał mu cześć, jaką zapewne obdarzyłby Dawnego.

-Tak rzekł: szalenstwem! - Słowo to wystrzeliło po raz wtóry z jego warg jak belt z kuszy. - Jest tam u niego kilku domowników, którzy chętnie widzieliby, żeby sprawy potoczyły się inaczej. - Zawahał się i wiedziałem, co chce mi dać do zrozumienia: że moja matka wolała moją siostrę i jej narzeczonego i w nich widziała dziedziców na Ulmsdale. Nigdy nie zasłaniałem uszu na pogłoski docierające do zagrody leśnika, w przekonaniu, że powinienem wiedzieć i o najgorszym.

-Popatrzec tylko na ciebie! - Jagon ponownie wpadł w złość. - Nie jesteś potworem! A jednak rozchodzą się opowieści, że Ulric, Pan na Ulmsdale, musi cię tutaj przetrzymywać skutego lancuchami, bo tak wstretny masz wygląd i tak spaczony umysł, że nie jesteś człowiekiem, nawet zwierzęciem!

Tak rozgniony wykrzesal iskry i ze mnie. Więc to tak mówiono o mnie w moim własnym zamku!

-Musisz pokazać, jaki jesteś. Musi on cię uznać za swego prawdziwego następcę przed tymi, którzy graniczą z Ulmsdale. Wtedy nikt nie powstanie, aby cię w przyszłości zelżyć. Ulric teraz wie, bo sam usłyszał szept, a nawet osobście zwymyślał szepczących, a niektórzy byli na tyle bezczelni, by opowiadać mu o tym, co zasłyszeli.

Powstałem od stołu, który stał między nami, i podszedłem do wielkiej wojennej tarczy Jagona zawieszanej na ścianie. Spędzałem długie godziny polerując ją, aby lśniła jak lustro, choć jej wypukłość zniekształcała moje odbicie.

-Jeżeli nie zdejmę butów - rzekłem - to może ujdę za człowieka.

Buty miałem przemysłowej roboty, starannie dopasowane, by moje nogi, zakończone jak u byka racicami, udawały zwykłe stopy. Jeżeli pójdę obuty, to może nikt nie pozna prawdy.

Buty obmyślił sam Jagon, a wykonano je ze skóry specjalnie przyslanej przez mojego ojca. Jagon przytaknął.

-O tak, pojedziesz ty w tych butach, wilcze, i udowodnisz wszystkim, co szeptają po 'dolinach, że twój ojciec splodził prawdziwego dziedzica, który złoży przysięgę władzy. Bronia robisz równie dobrze, o ile nie lepiej, od meżów zbrojnych, co stoją na straży zamku. A masz na tyle rozumu i sprytu, że będziesz ostrożny.

Nigdy przedtem nie usłyszałem od niego tylu pochwał. Oto dlaczego odziany w kolczugę, uzbrojony (i bardzo dobrze obuty) opuściłem to wygnanie, na które byłem skazany wraz z Jagonem i wyruszyłem do zamku mego ojca. Towarzyszyły mi obawy, ponieważ - jak zauważył Jagon - miałem nieco rozumu i zdawałem sobie sprawę, że nie wszyscy domownicy będą skłonni powitać mnie z otwartymi ramionami.

Nie miałem okazji przed wyjazdem pomówić jeszcze z Riwałem. Pragnąłem, by zaofiarował się iść ze mną, a jednocześnie wiedziałem, że to nigdy nie nastąpi. Podczas naszego ostatniego spotkania patrzył na mnie tak, aż poczułem, że widzi moje myśli i potrafi odczytać wszystkie moje niepewności i lęki.

-Masz długą drogę przed sobą, Kerovanie - rzekł.

-Tylko dwa dni jazdy - poprawiłem go. - Jedziemy tylko do Ulmskeep.

Riwał potrząsnął głową.

-Ty, który niesiesz Gryfa, jedziesz dalej w niebezpieczeństwo. Tropi cię śmierć. Dasz, a w zamian otrzymasz. I dawanie, i wzięcie splami krew i ogień...

Pojąłem, że dalekowidzi i zapragnąłem zasłonić sobie uszy, ponieważ zdawało mi się, że jego słowa sprowadza na mnie tę ponurą przyszłość, która mu się objawiła.

-Śmierć czyha u stóp każdego narodzonego człowieka - zebrałem odwagę, by mu odpowiedzieć. - Jeżeli potrafisz dalekowidzieć, powiedz mi, jaka tarcza mam się obronić?

-Jak? - odrzekł. - Każda przyszłość jest jak wachlarz, rozłożona na wiele dróg, które mają swój początek w danej chwili. Wybierzesz, to pojedziesz jedną drogą, wybierzesz inaczej, podasz inną, trzecią czy czwartą... Lecz w końcu żaden człowiek nie ucieknie od nakreślonego wzoru ani nie pojedzie mu wbrew. Przed tobą leży twój. Idź ostrożnie jak lesnik, Kerovanie. I pamiętaj: masz w sobie glebę, a jeżeli nauczysz się z niej czerpać, będzie ci ona lepiej służyć niż jakakolwiek tarcza lub miecz wykuty przez najzręczniejszego z kowali.

-Powiedz mi... - zacząłem.

-Nie! - Odwrócił się nieco ode mnie. - Tyle mogę powiedzieć, ale nie więcej. Nie



przewidze, jakiego dokonasz wyboru, i zadne z moich slow nie moze na ten wybor wplynac. Idz w pokoju. - Uniosl dlon i nakreslil miedzy nami znak. O malo co sie nie cofnalem, bowiem jego palec pozostawil w powietrzu blada swiatlosc, ktora rozwiala sie prawie natychmiast. Zrozumialem wtedy, ze niektore wyprawy Riwala musialy go doprowadzic do odkryc, gdyz niewatpliwie znak ten byl znakiem Mocy.

-Do nastepnego spotkania, towarzyszu-pozegnalem przyjaciela.

Nie odwrocil twarzy, ale stal tak, z reka wzniesiona ku mnie. Teraz wiem, ze byl swiadom, iz to spotkanie bylo naszym ostatnim spotkaniem i byc moze ogarnal go zal. Lecz nade mna nie ciazylo przeklenstwo wzroku, ktory sprawia o wiele wiecej bolu nizeli przynosi korzysci. Ktory czlowiek chcialby spojrzec w przyszlosc wiedzac, ze czeka go tam tak wiele zlego?

Gdy zdazalismy do Ulmskeep, Jagon ciagle mowil i wkrótce przekonalem sie, ze nie bez powodu. Opisal mi domownikow mego ojca i charakter kazdego, tak jak on go postrzegal, roznych uzywajac tonow, abym bez slow mogl pojac, kto bedzie mi przychylny, a kto nie. Wydaje mi sie, ze uwazal mnie za dziecko gotowe popelnic jakis blad i sprowadzic na siebie kleske, wobec czego robil, co mogl, aby zabezpieczyc mnie przed palnieciem glupstwa.

Mojego starszego, przyrodniego brata, ktory mieszkal w Ulmskeep odkad byl malutkim dzieckiem, odeslano do krewnych matki, gdy osiagnal odpowiedni wiek, aby tam pobieral nauki zolnierskie. Zeszlego roku wlasnie powrocil ze swym towarzyszem broni, kuzynem Rogearem, narzeczonym mojej siostry. Nietrudno przyszlo mi zgadnac, ze on mi przyjacielem nie bedzie i ze przy nim nalezalo byc ostroznym.

Matka moja miala zwolennikow wsrod zalogi zamku i Jagon, uzywajac calej swojej dyplomacji, staral sie mi ich wszystkich wymienic, pokrotce kazdego opisujac i podajac jakie zajmowali stanowiska. Ale po stronie mego ojca stalo znacznie wiecej ludzi, wierni mu byli takze oficerowie, Dowodca Zbrojnych, Marszalek i inni.

Byl to wiec dom podzielony, a w takich pelno jest pulapek i latwo sie potknac, chociaz powierzchnia zdaje sie byc gladka. Sluchalem bacznie i zadawalem pytania. Moze te objasnienia byly pomyslem Jagona, a moze mego ojca, ktory w ten sposob chcial mnie przygotowac na spotkanie z przyjaciolmi i nieprzyjaciolmi i sprawic, abym umial rozroznic jednych od drugich.

Wjechalismy do zamku o zmierzchu. Jagon zagral na rogu, gdy podchodzilismy, totez przy wrotach witaly nas wystawione straze i czekaly honory. Zauwazylem wciagniete na maszt, pod naszym wlasnym Gryfem, sztandary Uppsdale i Flathingdale, stad wiedzialem, iz dwaj panowie z wezwanych przez mego ojca juz przybyli. Tak wiec od samego poczatku mialem byc wystawiony na ciekawskie - i wrogie - oczy.

Musialem dobrze odegrac swoja role, udawac nieswiadomego przeciwnych pradow, nosic sie skromnie jak przystalo na terminatora w sztuce wojennej, ale i nie byc glupcem. Czy

potrafie temu podolac? Nie wiedzialem.

Gdy zsiadalismy z koni, straznicy uderzyli mieczem o miecz. Moj ojciec, odziany w obszerny odswietny plaszcz, zarzucony na kaftan i spodnie, wylonil sie z ciemnej czelosci portalu prowadzacego do sali. Uklaklem na jedno kolano, podajac mu swoj miecz, ktory ujałem za koniec brzeszczota, a on lekko dotknal palcami jego rekojesci i tak przyjal moj hold.

Potem podniosl mnie na nogi i trzymajac dlon na mym ramieniu, poprowadzil z podworca do wielkiej sali, gdzie juz czekaly gotowe stoly, a sludzy rozkladali na nich tkane pasy jasnego lnu, rozstawiali talerze i rogowe kubki.

Bylo tam dwoch innych mezow w srednim wieku w zarzuconych przez ramie odswietnych plaszczach. Moj ojciec przedstawil mnie Savronowi, Panu na Uppsdale oraz Wintofowi z Flathingdale. Bylem swiadom, ze patrzyli na mnie uwaznie. Lecz wspierala mnie mysl, ze ubrany w kolczuge i skorzany kaftan nie roznilem sie wygladem od ich wlasnych synow. W owej chwili zaden z nich nie moglby krzyknac "potwor". Przyjeli moje poklony, jakby to bylo zwyczajne spotkanie i jakby mnie nie bylo na zamku godzinie lub dwie, a nie cale zycie.

Poniewaz bylem zaledwie chlopcem i wedlug zwyczaju uwazano mnie na razie za osobe malo znacząca, moglem szybko usunac sie z towarzystwa starszych i pojsc do tej czesci mieszkalnej, gdzie skoszarowano kawalerow. A poniewaz bylem dziedzicem wladzki, przydzielono mi osobna komnate - nieledwie pusta, o wiele mniej wygodna niz moj kat u lesnika, gdzie stalo zaledwie lozko, waskie i twarde, dwa stolki i niewielki stol.

Chlopiec sluzacy przyniosl mi moje torby podrozne. Zauwazylem, ze przyglada mi sie z ciekawoscia, gdy myslal, ze tego nie dostrzegam i ociagal sie z wyjsciem, ofiarujac sie przyniesc mi goracej wody do mycia. Kiedy na to przystalem, zdawalo mi sie, ze zamierza jak najdalej wykorzystac mozliwosc obejrzenia na wlasne oczy "potwora" z bliska i byc moze opowiedziec o swych odkryciach towarzyszom.

Zdazylem odlozyc na bok skorzana kamizele i kolczuge zanim wrocil i stalem w pikowanej spodniej kurcie, przerzucajac ubrania w poszukiwaniu mojej odswietnej kamizeli ozdobionej znakiem Gryfa. Przysunal sie z wrzatkiem, patrzac na mnie, gdy stawial dzban z woda i miske na stole, zsunal z ramienia recznik i polozyl go obok.

-Jesli potrzebujesz pomocy, paniczu Kerovanie...

Wygladzilem kaftan. Powoli odpialem haczyki i pozwolilem, by zsunal mi sie z plecow i obnazyl mnie do pasa. Niech widzi, ze nie jestem szpetny. Tak jak powiedzial byl Jagon: poki nie zzuje butow, poty nikt nie osmieli sie mnie zelzyc.

-Mozesz wyszukac mi koszule. - Wskazalem na moje torby i wtedy ujrzałem, jak wpatruje sie we mnie. Czego sie spodziewal? Ciala straszliwie zniekształconego? Spojrzałem na wlasna piers i ujrzałem cos, co tak zroslo sie ze mna, ze zapominalem, iz to nosze -

kryształowego Gryfa. Zsunalem lancuszek przez glowe i polozylem wisior obok na stole na czas mycia. Widzialem, jak na niego patrzyl. Dobrze, niech wie, ze nosze talizman. Nie bylo w tym nic nadzwyczajnego. A talizman w ksztalcie wlasnego znaku rodowego byl nader odpowiedni.

Znalazl koszule i podal mi ja, gdy ponownie wkladalem Gryfa. Zapial mi kaftan i wreczyl pas ze sztyletem, zanim odszedl, bez watpienia majac wiele do opowiadania towarzyszom. A gdy zamknal drzwi, wyjalem na wierzch mojego Gryfa i zacisnalem go w dloni.

Zwykle gdy go tak trzymalem, czulem jak bije od niego lagodne cieplo, a wraz z cieplem plynie uspokojenie i pociecha, jakby ta rzecz, stworzona na dlugo zanim moj dziad przemierzyl poludniowe doliny, czekala przez stulecia tylko na to, bym ja wzial w reke.

Do tego czasu wszystko szlo jak powinno, ale przed soba mialem jeszcze ciezsza probe. Odkad wiedzialem, ze przyjdzie mi pojechac do Ulmsdale, staralem sie unikac mysli o spotkaniu z matka. Coz mialem jej do powiedzenia, a co ona mnie? Miedzy nami lezala przepasc, nad ktora nikt nie przerzuci mostu... po tylu latach.

Stalem wiec, lekko sciskajac kulke krysztalowa i myslac o tym, co zrobie lub rzekne w chwili, ktorej juz nie moglem odkladac. Nagle wydalo mi sie, ze ktos odezwal sie glosno - ale byl to tylko glos, ktory zabrzmial w moich myslach. Czulem sie jakbym wyjrzal przez dopiero co odsloniete okno i ujrzal dotad przede mna zakryty widok.

Widok ten tonal w cieniach i wiedzialem, ze na zawsze bedzie dla mnie niedostepny, tak jak i matka, z ktora nigdy nie mielismy sie spotkac i prawdziwie sie do siebie zblizyc, na zawsze sobie obcy. Nie mialem poczucia straty, czulem jedynie, ze zdjeto ze mnie pewien ciezar, ze mnie uwolniono. Nie istnialy miedzy nami zadne wiezy, nie bylem jej dluzny nic ponad to, czego oczekiwala. Spotkam sie z nia jak z kazda inna wielka pania, zloze jej uprzejmy hold, nie zadajac niczego w zamian. W mojej dloni kula promieniala cieplem. Ale slyszac szmer u drzwi schowalem ja na piersiach, zanim obrocilem sie twarza do tego, ktory tam stal.

Mam wzrost tylko nieco wyzszy od sredniego i szczupla budowe ciala. Ten mlodzian byl na tyle wysoki, ze musialem podnosic oczy, by spotkac sie z nim wzrokiem. Mial szeroka szyje i ramiona, szeroka szczeke. Jego wlosy, koloru piaskowego, krecily sie w ciasne loki; musial stoczyc nie lada walke z nimi, zanim zaczesal je gladko grzebieniem. Na grubych wargach widnial polusmieszek podobny do tych, ktore widywalem u chelpliwych zolnierzy, kiedy znecali sie nad jakimis prostaczkiem, by pokazac swoja wyzsosc.

Jego odswietny kaftan byl przyozdobiony pieknym haftem i ciasno lezal na beczkowatej piersi. Przesuwal dlonmi w gore i w dol po sztywnym przedzie kaftana, jakby chcial zwrocic nan moja uwage.

Mimo iz taki wielki, nie calkiem soba wypelnial drzwi; bowiem obok niego stal ktos

mniejszy, drobniejszy kształtem. Drgnałem. Podłużna twarz podobna mojej świadczyła o naszym pokrewieństwie, tak samo ciemniejsze odcieniem włosy były podobne moim. Twarz była bez wyrazu, niemal pozbawiona jakichkolwiek cech charakteru, ale odgadłem, że za tą nijaką twarzą skrywa się bystry rozum. To jego uznałem za niebezpieczniejszego.

Od pierwszej chwili poznałem w nich nieprzyjaciół. Opis Jagona był dokładny. Olbrzym był mi bliższym krewnym - przyrodnim bratem Hlymerem. Jego towarzysz to był Rogear, narzeczony mojej siostry.

-Witajcie mi, kuzyni - odezwałem się pierwszy.

Z twarzy Hlymera nie miałem uśmiechu, przeciwnie, stał się jeszcze szerszy.

-Nie ma ani sierści, ani pazurów, w każdym razie nie tam, gdzie widac. Ciekawym, w jaki sposób jest naznaczony, Rogearze - powiedział, jakbym był rzeczczą, która nie słyszy ani go nie rozumie. Lecz jeśli miał zamiar wykrzesać ze mnie iskry gniewu, by ja potem rozdmuchać, to był głupcem. Od razu umiałem go ocenić.

Czy ciągnąłby na tę samą nutę, gdyby mu nie przeszkadzono, nie wiem, ponieważ odezwał się Rogear, nie w odpowiedzi na uwagę Hlymera, lecz na moje powitanie, i to podobnie uprzejmym tonem, jakby nigdy nie żywił innych zamiarów.

-I ty nam witaj, krewniaku.

Hlymer miał cieniutki głos, jak to czasem bywa u potężnych mężczyzn i wysławiał się z pewną ostrożnością. Ale głos Rogeara był ciepły i przekonujący. Gdybym nic o nim nie wiedział, mogłbym się być oszukac i uwierzyć, że w istocie przyszedł mnie powitać.

Szli ze mną do wielkiej sali. Nie wiedziałem, czy czuć ulgę, czy nie, gdy spostrzegłem, że nie ustawiono żadnych krzeseł dla kobiet. Ten posiłek był przeznaczony najwyraźniej tylko dla mężczyzn. Niewątpliwie moja matka wolała pozostać we własnych komnatach. Ponieważ sprawa wszystkim była znana, nikt nawet o niej nie wspominał.

Zauważyłem, jak ojciec raz po raz przenikliwie na mnie spoglądał z Wysokiego Stołca. Miałem miejsce przy końcu stołu, między Hlymerem a Rogearem (choć nie wiedziałem, czy to zamierzeli, czy nie). Jeśli ojciec był z tego niezadowolony, to nie mógł zrobić wiele nie ściągając na siebie uwagi, czego nie chciał.

Moi towarzysze wcześniej zaczęli podstępne podchody. Hlymer naciskał, bym do dna opróżniał swój róg wina, mówiąc, że wszelki umiar z mojej strony naznaczy mnie w tej kompanii. Gładka mowa Rogeara najwyraźniej miała na celu uwypuklić to, że trafiłem tu nieokrzesany, prosto z jakiejś zagrody, nie mając ani manier, ani rozumu. Musieli się zawiesić, bo nie dopięli swego. Hlymer zmarszczył czoło, spochmurniał i mruczał pod nosem słowa, których wolałem nie słyszeć. Ale po Rogearze nie było widac, aby żywił niechęć do mnie za zniweczenie planów, z którymi zasiadał do stołu. Wreszcie Hlymer wpadł w swoją

własna pulapke - o ile to była pulapka - zamroczył go napitek, zaczął mówić coraz głośniej, aż niektórzy z siedzących bliżej zaczęli go uciszać. Byli to młodszy krewni goszczących tutaj panów i, jak mi się zdawało, szczerze unikali zwady. I tak rozpoczęło się moje życie pod dachem ojca.

Szczęśliwie nie musiałem wiele czasu spędzić w pobliżu Hlymera i Rogeara. Ojciec korzystał z okazji, że przedstawia syna światu i wobec wszystkich uznaje za dziedzica, aby trzymać mnie przy sobie, zapoznawać z sąsiadami, uczyć szczegółów ceremoniału, który odbył się trzeciego dnia zgromadzenia.

Złożyłem przysięgę krwi przed oniesmielającym poważnym ciałem złożonym z panów dolin, przyjąłem miecz od ojca i tak oto z godziny na godzinę przeistoczyłem się z niewypróbowanego i pomijanego młodzieńca w mężczyznę i zastępcę ojca. Jako takiemu zezwolono mi na udział w naradzie dotyczącej Alizonczyków.

Chociaż wszyscy byli zgodni, że w nadejściu ludzi zza morza kryło się jakiegoś zagrożenie, wystąpiły ostre podziały co do sposobu postępowania wobec takiej sytuacji. Wreszcie rozmowy załamały się, tak jak to często w dolinach bywało, i nie osiągnięto żadnego planu działania, który połączyłby wszystkich.

Z uwagi na moją nową rangę na Ulmsdale odprowadzałem kawałek drogi w dół doliny Pana na Uppsdale. W drodze powrotnej moje życie jako dziedzica na Ulmsdale o mało co nie zakończyło się, zanim się na dobre rozpoczęło.

W dowód grzeczności wobec naszego gościa jechałem z pochwa miecza związana tasiemkami na znak pokoju. Byłem też bez kolczugi. W pewnej chwili coś mnie ostrzegło przed niebezpieczeństwem: ogarnęło mnie tak przemożne poczucie zagrożenia, że nie traciąc czasu na poluzowanie miecza, chwyciłem sztylet i jednocześnie pochyliłem w przód, aż poczułem na policzku i podbródku szorstką grzywę mojego rumaka. Zabrział suchy trzask wystrzału i o moje ramie otarł się, bolesny jak palący płomień, belt. Uszedłem z życiem.

Znałem sztuczki lesnych ludzi, do których uciekali się w czasach rozbojów. Rzuciłem nożem i w odezwie usłyszałem jęk mężczyzny, który tuż przedtem pojawił się za skałą ponownie we mnie celując. Prawie jednocześnie obrocilem się i obnażonym mieczem ciałem drugiego, który nacierał na mnie ze stąła w dłoni. Moją kon, szkolony do boju, uderzył go kopytem i napastnik znikł mi z oczu, z wrzaskiem tarzając się po ziemi. Obaj pojmani okazali się ważnymi wierzniakami, bowiem chociaż mieli na sobie ubiór wędrownych najemników, co chodzą z doliny w dolinę w czasie zniw, byli to właśnie ci najeźdźcy, o których tak długo rozprawialiśmy. Jeden umarł, drugi był ciężko ranny. Moją ojciec zawiązywał Madra z doliny i kazał jej zająć się nim. Mało czego świadomy, mówił w gorączce.

Nie dowiedzieliśmy się, jaki był cel ataku na mnie, lecz za to udzielił nam wielu innych cennych informacji, za których przyczyną obawy ogarnęły nas na kształt czarnych chmur.

Moj ojciec wezwał do siebie mnie, Jagona i zaufanych dowodców swojej straży. Mówił szczerze.

-Nie twierdź, że potrafisz dalekowidzieć, ale każdy, kto ma nieco rozumu w głowie, pojmie, że za tym kryją się wyraźne cele i plany. Jeżeli nie pomyślimy teraz o przyszłości, to może... - zawahał się. - Nie wiem. Nowe niebezpieczeństwa oznaczają nowe sposoby uporania się z nimi. Zawsze byliśmy wierni tradycjom naszych ojców, lecz czy teraz to, co im służyło, i nam będzie dobrze służyć? Być może nadejdzie dzień, kiedy będziemy potrzebowali przyjaciół, którzy chwycą za tarcze razem z nami. Chciałbym teraz od nich wszystkich uzyskać takie zapewnienie.

Dlatego też... - wyglądził dłoń leżącą przed nami na stole mapę dolin. - Tu mamy Uppsdale i pozostałe, tym już powiedzieliśmy, co nas może czekać. Teraz należałoby ostrzec Poludnie: najpierw Ithkrypt.

Ithkrypt, tam gdzie mieszkała lady Joisan. Na długo usunąłem ją ze swych myśli. Czyżby oto nadszedł dzień, kiedy mój ojciec każe, by ziszcilo się to małżeństwo? Oboje mieliśmy już zwyczajem przyjęte lata.

Pomyślałem o mojej matce i siostrze, które jakby zamurowały się we własnych komnatach, odkąd przebywałem w Ulmskeep. Nagle uswiadomiłem sobie, że nie chciałem, by lady Joisan dołączyła do nich, a byłaby zmuszona to uczynić, gdyby przyjechała teraz. Zapewne ich ślad o mnie miałby i na nią wpływ. O, nie! Musi przyjść do mnie z własnej woli - albo wcale.

Lecz co czynić, by istotnie tak się stało?

Odpowiedź pojawiła się tak nagle, jak owo błyskawiczne ostrzeżenie, któremu zawdzięczałem życie, i tak jasno i wyraźnie, jakby przemówił do mnie głos.

Dlatego po tym, jak mój ojciec wyłożył Jagonowi, co miał usłyszeć lord Cyart, gdy zawiezie do Ithkrypt dary imieninowe dla mojej małżonki, rozmówiłem się na osobności z moim dawnym nauczycielem. Nie wiedziałem, dlaczego to robię, ale ciążyło to na mnie niby geas nałożony na bohatera, który odtąd nie umie się od niego wyzwolic. Dalem mu kryształowego Gryfa, nakazując, by oddał go w ręce samej Joisan. Może to właśnie była właściwa zapłata za narzeczoną. Miałem się o tym przekonać, gdy wreszcie staniemy twarzą w twarz.

Joisan

Wiści, które przyniesiono mojemu stryjowi z Ulmsdale spowodowały pewną zmianę i w mojej własnej przyszłości. Zdecydowano, że tego roku nie pojedzie do mego małżonka, tak jak się wszyscy spodziewali, ale będzie musiała czekać spokojniejszych czasów. Gdyż uznano, że skoro tak bezczelnie nasłano na Ulmsdale szpiegów, to najazd mógł nastąpić już w każdej chwili. Mój stryj za pośrednictwem Jagona powiadomił Ulmsdale o zmianie swoich

planow. Nie bylo odzewu i sprzeciwu ani od Ulrica, ani od Kerovana, domyslil sie wiec, iz przyznano mu racje. Od tego czasu prowadzil powazne rozmowy ze swymi ludzmi oraz poslancami, ktorych wyslal do Trevamper, a takze do przyjaznych nam lub spokrewnionych dolin. Byl to czas, gdy niepokoj narastal. Tej jesieni przy zniwach pracowalismy pilniej niz kiedykolwiek za mej pamieci. Ograbilismy wszystkie krzaki na lakach z dzikich jagod, obieralismy drzewa z orzechow, gromadzilismy zapasy wszelkiego rodzaju, zupełnie jakby padl na nas cien nadchodzacych lat glodu.

Latem stryj kazal oczyszcic, zasiac i obsadzić więcej niż zazwyczaj pol. Pogoda byla tak niepewna jak i nasza przyszłosc. Często zdarzaly sie wielkie burze. Dwakroc rozmylo drogi i bylismy odcieci, poki mezczyzni ich nie odbudowali.

Docieraly do nas zaledwie strzepki wiadomosci, gdy przedarl sie do doliny poslaniec od tego czy innego pana. W Ulmsporcie nie bylo juz slychac o szpiegach. Z Poludnia dochodzily sluchy o dziwnych statkach, ktore otwarcie nie zarzucaly kotwicy w portach na redzie, ale patrolowaly wybrzeza. A potem i one znikly na pewien czas, co podnioslo nas na duchu.

Zdawalo sie, ze stryj obawia sie najgorszego, bowiem wyslal Marszalka do Trevamper, a ten powrocil, wiodac za soba dwa wozy tajemniczego metalu z Odlogow i kowala, ktory natychmiast zabral sie do kucia nowej broni i odnawiania starej. Ku memu zdumieniu, stryj kazal mu wziac ze mnie miare na kolczuge.

Gdy sprzeciwiła sie temu Dama Math, popatrzył na nia spode brwi, poniewaz dawno juz stracil byl swoj dobry humor.

-Siostro, uspokoij sie. Tobie kazalbym dac taka sama, ale wiem, ze nie nosilabys jej. Lecz posluchajcie dobrze, wy obie. Widze, ze stoimy wszyscy w obliczu najciemniejszych dni, jakie kiedykolwiek przyjdzie nam przezyc. Jezeli nadejdzie wieśc, ze ida sily najezdzcow, byc moze przyjdzie nam, pokonanym, wycofywac sie z doliny do doliny. Stad...

Dama Math gleboko wciagnela oddech, jej zlosc ustapila innemu uczuciu, a na jej twarzy zagoscil wyraz, ktorego nie pojmowalam.

-Cyart... Czyzbys...? - Nie dokonczyla, ale jej strach byl tak wielki, ze udzielil sie i mnie.

-Czy snilem? Tak, Math - raz!

-Duchu Plomienia, ochron nas! - Chwycila w dlonie pek srebrnych kolek, ktore nosila zawieszona u paska. Szybko okrecala je w palcach, bezglosnie odmawiajac wiersze modlitwy, wsparcia Dam.

-Stalo sie tak jak rzekl - spojrzal na nia. - Snilem... raz.

-Jeszcze dwakroc... - Uniosla zakwefiona glowe, zaciskajac wargi. - Szkoda, ze

Ostrzezenie nie zna miary czasu.

-Mamy to szczescie, lecz jednocześnie przekleci jestesmy, ze jest nam dane - odparl. - Czy lepiej wiedziec, ze przed toba lezy ciemnosc i zyc w jej cieniu? Czy trwac w nieswiadomosci i spotkac sie z tym, co nas czeka bez uprzedniego ostrzezenia? Z dwojga wole ostrzezenie. Uda nam sie utrzymac lthkrypt, jesli przyjda od strony rzeki lub wzgorz... byc moze. - Wzruszyl ramionami. - Musicie byc przygotowane w najgorszym przypadku uciekac konno - nie na wybrzeze ani na poludnie, ale do Norsdale lub nawet na Odlogi.

-Lecz jak dotad nie pojawil sie nikt procz szpiegow.

-Nadejda, Math. Nie watp w to. Nadejda!

Gdy powrocilysmy do komnat, osmielilam sie zadac jej pytanie:

-O jakim snie mowil pan moj, stryj?

Stala przy oknie, patrzac i nie widzac, jak ci, ktorych zaprzataja ich wlasne mysli, a nie swiat naokol. Na dzwiek mojego glosu zwrocila ku mnie glowe.

-Snie? - Przez chwile wydawalo mi sie, ze nie odpowie. Potem odstepila od okna, a jej palce wciaz byly zajete modlitewnymi kolkami, jakby z nich czerpala pocieche. - To ostrzezenie dla nas - najwyrazniej mowila z niechecia. - Dla tych, ktorzy przysiegali Plomieniowi, takie sprawy to... Ach, nie powiem na pewno, ze to sie zdarza, a my nie mamy w tym swego udzialu. Wiele lat temu Randor, nasz ojciec, wzial pod swoja opieke Madra, ktora oskarzono o konszachty z Dawnymi. Byla to spokojna kobieta, zyjaca w samotnosc, nie szukala niczyjzego towarzystwa. Miala zas dar do zwierzat, a jej owce byly najwspanialsze w calej dolinie. Znalezli sie zawistni ludzie. I, tak jak mowil moj pan, bywa, ze w przypadku wstretnych plotek zawisc udaje sie rozplenic za pomoca jedynie jezyka i warg.

Miala w zwyczaju chodzic samotnie w glusz, by szukac ziol i tajemnic. Lecz chociaz wiedziala o wiele wiecej niz inni, nie chelpila sie tym, ani nie uzyla swej wiedzy, by komukolwiek zaszkodziec. Natomiast zatrute slowa obrocily mieszkancow doliny przeciw niej. Pewnej nocy zebrali sie, by zabrac jej owce, a ja sama przegnac precz. Randor przebywal wowczas w Trevamper i gdyby sadzili, iz nadal tam jest, nie odwazyliby sie na to. Rzucali wlasnie plonaca zagiew na jej strzeche, gdy nadjechal z towarzyszami. Wlasnym batem ukaral tych, ktorzy zywili wobec niej zle zamiary i na oczach wszystkich wzial ja pod wlasna tarcze. Powiedziala, ze zostac nie moze, poniewaz bezpowrotnie zniszczono jej spokoj. Zyczyla sobie widziec nasza matke, ktora wowczas byla brzemienna. Polozyla dlonie na ciezkiem brzuchu lady Alys, mowiac, ze porod bedzie miala lekki, z czego ucieszyli sie, bowiem zle zniosla pierwsze rozwiazanie, a dziecko na domiar nieszczescia urodzilo sie martwe. Madra dodala, iz bedzie to syn i ze posiadzie pewien dar. W czasie wielkiego niebezpieczenstwa w snach ujrzy przyszlosc. Dzieki dwom pierwszym snom bedzie mogli



zabezpieczyc sie przed przepowiedziana przyszloscia, ale trzeci bedzie zlym zwiastunem.

Potem zniknela z Ithkrypt i z doliny i nikt nie widzial, jak odeszla. Lecz to, co przepowiedziala spelnilo sie, bowiem w miesiac potem nasza matka powila syna, twojego stryja Cyarta. A on miewal sny. Ostatnio sen przepowiedzial mu smierc malzonki, gdy bawil w poludniowych stronach. I nie mogl byc przy niej, chociaz zajechal konia na smierc. Wiec - kiedy on sni, mozemy w jego sny wierzyc.

I tak nauczylam sie nosic kolczuge, poniewaz moj stryj miewal sny. Nauczyl mnie tez posluziwac sie lekkim mieczem, jego wlasnym z chlopiecych czasow. Chociaz uczennica byla ze mnie nieszczegolna, nauczylam sie jednak zrecznie wladac lukiem i nawet zyskalam tytul strzelca. W przyszlosci mialam wielokroc byc wdzieczna stryjowi za te umiejetnosci, choc juz bylo za pozno, by mogl sie dowiedziec, iz ratowal mi zycie swoja przezornoscia.

Minal Rok Wiedzmy Mchowej, w ktorym mialam dolaczyc do Kerovana w Ulmsdale. Czasami bralam w dlonie krysztalowego Gryfa i trzymalam go, myslac o moim malzonku i zastanawiajac sie, jakim byl mezczyzna. Na przekor wszystkim moim nadziejom zaden z poslancow, ktorzy kursowali miedzy Ulmsdale i Ithkrypt, nie przywiozl mi oczekiwanego konterfektu. Na poczatku zloscilo mnie to, potem wymyslalam rozne usprawiedliwienia, na przyklad, ze moze w Ulmsdale nie bylo nikogo, kto znal sztuke malowania podobizn, poniewaz nie jest to powszechnie spotykana umiejetnosc. A w obecnych niepewnych czasach trudno bylo szukac daleko czegos, co bylo tak malo wazne.

Chociaz mielismy nadmiar zapasow, oszczednie z nich korzystalismy, nawet podczas swiat zimowych, jak nigdy przedtem, a pilnowal nas moj stryj. Jego zwiadowcy objeżdżali nasza doline, a on sam niecierpliwie wyczekiwal poslancow.

Minal Miesiac Lodowego Smoka i minelo wiele dni w Miesiacu Snieznego Ptaka w nowym roku, kiedy nadeszla spodziewana wieśc. Przywiozl ja maz, który przedarł się przez sniegowe zaspy i dotarł do zamku tak zziębnięty, iż trzeba go było zdejmować z konia, a ten zaraz upadł i już nie wstał.

Na Poludniu gorzala wojna. Rozpoczely sie najazdy, ktore zdumialy nawet tych panow, ktorzy przewidujaco starali sie do obrony przygotowac. Zamorskie diably nie walczyly mieczem ni lukiem, tak jak to bylo w zwyczaj u nas w dolinach. Oni sprowadzali ze statkow na lad wielkie zelazne potwory, w brzuchach tych potworow kryli sie zbrojni, a czolgaly sie one naprzod, rzygajac z nosow wielkimi plomieniami.

Ludzie gineli albo w plomieniach, albo zgnieceni pod ciezarem niezgrabnych tulowi. Gdy mieszkancy dolin skryli sie po zamkach, potwory napieraly ciezarem na mury i burzily je. Nie znalismy takiej wojny, a ludzie z ciala, krwi i kosci nie mogli sie z nia mierzyc.

Teraz, gdy juz bylo za pozno, rozeslano wici. Tylko glupcy pozostawali w swych zamkach, czekajac az zostana pozarci jeden po drugim. Inni zgromadzili swe sily w jedna armie

dowodzona przez czterech panów z Poludnia. Tym udało się odciąć dostęp do trzech potworów, którym potrzebna była jakaś strawa nieznanego, by mogły działać, i tak zniszczyli je. Ale utraciliśmy wybrzeże. Stamtąd napływało coraz więcej najeźdźców, chociaż zdawało się, że nie mieli już tak wielu pelzających potworów.

Nadeszło wezwanie do dolin północnych, aby mezwowie zgromadzili tu siłę zdolną zatrzymać najeźdźców i nie pozwolić im, by zagarniali dolinę po dolinie, tak jak się zrywa dojrzałe śliwki z drzewa.

W ślad za posłancem zaczęli ścigać pierwsi uchodźcy, ci którzy mogli powołać się na wiezy krwi. Zbrojna drużyna towarzyszyła lektyce i dwóm kobietom, które przeprowadził przez góry jeden ze zwiadowców mojego stryja. Były to lady Islaugha, Yngilda, a w lektyce, mając w gorączce, leżał ranny Toross. Tak oto znaleźli się u nas, bez ziemi i domu, tylko z tym, co udało im się unieść ze sobą.

Yngilda, owdowiała po dwóch latach małżeństwa, gapiała się na mnie prawie bezrozumnie i trzeba jej było za rękę doprowadzić do kominka, włożyć w dłoń kubek i nakazać, by piła. Zdawała się nie wiedzieć, gdzie się znajduje ani co jej przydarzyło, oprócz tego, że znalazła się w samej głębi bezkresnego koszmaru. Nigdy nie wydobyliśmy z niej żadnej składnej opowieści o tym, w jaki sposób udało jej się uciec z mezwowskiego zamku, który był jednym z tych rozgniecionych przez potwory.

Prowadzona przez łucznika z drużyny małżonka przedarła się do obozu wojska w dolinie i tam spotkała Islaughe, która przybyła, by się opiekować synem rannym podczas ataku na potwory. Odcieci od Poludnia, musieli uciekać pod nasz dach. Dama Math natychmiast zajęła się pielęgnacją Torossa, a jego matka nie opuszczała go w dzień ani w noc.

Mój stryj znalazł się w rozterce i musiał wybierać między obowiązkiem wobec armii a przyrodzoną powinnością obrony własnego gniazda. Ponieważ od początku uważał, że jedyną nadzieją w połączeniu sił, wybrał armię. Zebrał tylu ludzi ile mógł, by dolinę całkowicie nie pozbawić obrońców, pozostawiając na miejscu jedynie niewielki, ale dobrze wyszkolony oddział pod dowództwem Marszałka Dagale. W pierwszych dniach Miesiąca Sokola nastąpiła odwilż; korzystając z niej, wyruszył. Z baszty nad bramą patrzyłam, jak odjeżdża, sama (Dama Math wezwano do Torossa, którego stan się pogorszył). Chwile wcześniej stałam na dziedzińcu, rozlewając z wojennego dzbanu strzemienny napitek przyprawiony korzeniami, na dobrą wroźbę. Nadal trzymałam ten dzban. Był misternie wykonany, miał kształt wojownika na koniu, a nalewano z niego przez otwór w pysku konia. Skapnęło na śnieg kilka kropel - czerwonych jak krew. Zadrzałam na ten widok i szybko zatarłam to miejsce, aby nie ujrzeć czegoś, co mogłoby być złym znakiem.

Łthkrypt trzymaliśmy stale w pogotowiu, bez wieści o tym - bo nie przybywali już posłancy - jak postępowała wojna. Wiedzieliśmy jedynie, że może nas ogarnąć niespodzianie. Zastanawiałam się, czy mój stryj snił znowu i jakie straszne przepowiednie czytał w tych snach. Może przyjdzie mi nigdy się nie dowiedzieć?

Ponownie sypnal snieg zamykajac przelec, co dalo nam poczucie bezpieczenstwa. Poki snieg lezal, grozby nie bylo, lecz tego roku wiosna przyszla wczesnie. Wraz z innymi roztopami przybyl poslaniec od stryja, glownie z radami, by pilnowac obwarowan doliny na ile to bylo w naszej mocy. Niewiele nam przekazal o dokonaniach wojsk na poludniu, a poslaniec opowiadal tylko przygnebiajace historie. Nie rozegrali prawdziwej bitwy. Nasze wojska musialy uciekac sie do taktyki banitow z Odlogow, przeprowadzajac blyskawiczne napady na tyly i obozy nieprzyjaciela i wyrzadzajac tam mozliwie jak najwiecej szkod.

Przywiozl jedna ciekawa wiadomosc: ze Ulric, Pan na Ulmsdale, wyslal oddzial na poludnie pod komenda Kerovana i ze sam zachorzal. Obecnie uwazano, iz byc moze Kerovan wroci, aby objac dowodztwo nad Ulmsdale, jezeli armia najezdzczy wyladuje w Ulmsporcie i wedrze sie na lad, tak jak to bylo w Jorby i innych miejscach na wybrzezu.

Tej nocy, gdy uwolnilam sie od wszystkich moich obowiazkow, wzielam krysztalowego Gryfa do reki. Od dawna juz tego nie robilam. Myslam o tym, ktory mi go przyslal. Gdzie spal tej nocy? Pod gwiazdami z mieczem w garsci, nie wiedzac, kiedy rog zagra wezwanie do broni? Zyczylam mu jak najlepiej z calego serca, chociaz tak niewiele o nim wiedzialam.

Czulam cieplo w dloni i kula jasniala w mrocznej komnacie. Nie wydawala mi sie wcale dziwna, niosla mi raczej pocieche, ulzyla na chwile mej doli. Patrzylam w nia.

Nie byla juz przezroczysta. Nie widzialam Gryfa, ale wirujaca mgle, w ktorej pojawialy sie cienie - cienie zmagajacych sie mezow. Otoczyli jednego i atakowali go. Krzyknelam na ten widok, chociaz nie dostrzegalam go wyraznie. Zleklam sie, ze talizman darowany mi przez malzonka pokazywal jego smierc. Chcialam zerwac lancuszek z szyi i odrzucic od siebie te rzecz, ale nie moglam. Kula przejasnila sie i Gryf znowu patrzyl na mnie czerwonymi slepiami. Z pewnoscia to wszystko bylo wytworem mojej wyobrazni.

-Tu jestes! - Glos Yngildy brzmial jak oskarzenie. - Toross jest bardzo niespokojny. Trzeba, abys poszla do niego.

Patrzyla na mnie, wydalo mi sie, z zazdroscia. Odkad wyszla z za zaslony wstrzasu, pod ktora kryla sie od dnia przyjazdu, znow byla soba, Yngilda z Trevamper. Czasem musialam wytezyc cala swa wole, aby nie odpowiedziec jej ostro, gdy odzywala sie tak, jakby to ona byla tu pania, a ja leniwa sluzka.

Toross powoli wracal do zdrowia. Jego goraczka poddala sie wiedzy Damy Math, lecz bardzo byl oslabiony. Wzywano mnie do niego, bo czasem tylko ja moglam go ublagac, by sie posilil albo uspokoic go. Dla jego dobra bylam gotowa wypelniac te zadania. Lecz ostatnimi czasy przestalo mi sie podobac to, jak trzymal sie mojej dloni, gdy przy nim siedzialam, i dziwny sposob w jaki na mnie patrzyl - jakby mial do mnie niezaprzeczalne prawo.

Tej nocy niechetnie szlam na wezwanie, wstrzasnieta tym, co widzialam w kuli lub co mi

sie przywidzialo. Nie dopuszczalam do siebie myśli, izby to mogly byc prawdziwe dalekowidzenia, chociaz w czasach gdy mezczyzni walczyli w rozpaczliwej wojnie, a z nimi moj malzonek, bylo calkiem prawdopodobne, ze zginal. Zapragnelam miec dar widzenia, albo Madra na dworze, ktora by go miala. Ale Dama Math nie scierpialaby wzywania takiej mocy.

Krewni, ktorzy zjechali do nas, stanowili dopiero pierwsza fale uchodzcow. Jezeli moj stryj przewidywal, iz bedziemy musieli im otworzyc nasze bramy i spichrze, to o niczym nas nie uprzedzil. Zastanawialam sie, wydzielajac kazdego ranka porcje zywnosci na dzien (odkad Dama Math zajela sie opieka nad rannymi i chorymi, byl to jeden z moich najwazniejszych obowiazkow), czy starczy nam nawet na skromne posilki do czasu zniw, o ile to tak dlugo potrwa.

Nowi przybysze byli to przewaznie wloscianie, kobiety i dzieci oraz kilku starych lub rannych mezczyzn. Niewieloma w razie koniecznosci mozna by obsadzić stanowiska obronne. Rozmawialam z Dama Math i Marszalkiem dzien wczesniej i zdecydowalismy, iz w chwili gdy pogoda sie poprawi, wysle sie ich dalej na zachod, w doliny jeszcze nie tkniete wojna, a nawet do Siedziby Dam w Norstead. Nie mogliśmy sie obarczac ciezarem bezuzytecznych rak.

Teraz, gdy weszlam do komnaty, gdzie lezal Toross, aby oderwac sie myslami od kuli, staralam sie obmyslic to wyjscie, na ktore nic nie moglam poradzić. Ale musialam rozwazyc, co robic.

Toross lezal wsparty na poduszkach i wydalo mi sie, ze wyglada lepiej niz wtedy, gdy go tu wniesiono. Wiec po co wzywano mnie? To pytanie cisnelo mi sie na wargi, kiedy Pani Islaugha podniosla sie ze stolka ustawionego kolo loza, a on wyciagnal do mnie reke na powitanie.

Ona nie spojrzala nawet w moim kierunku. Wziela tace i pomrukujac cos, wyszla pospiesznie.

-Joisan, chodz tu, abym mogl na ciebie patrzec! - Jego glos tez byl mocniejszy. - Masz since pod oczyma, za ciezko pracujesz, drogie serce!

Zmusil mnie do podejscia do stolka, ale zamiast usiasc przyjrzałam sie jego twarzy. Byla wychudzona, blada i naznaczona cierpieniem. Ale w jego oczach malowala sie przytomnosc, a nie zmaczone myśli goraczkujacego. Znow ogarnal mnie ten niepokoj, ktory czulam juz wczesniej w jego obecności.

-Wszyscy tu mamy duzo obowiazkow, Torossie. Nie robie mniej ani wiecej, niz powinnam.

Mowilam krotko, nie wiedzac, czy nalezalo zwrocic uwage, ze nie mial prawa uzywac tak czulych slow, gdy zwracal sie do mnie, kobiety zameznej.

-Wkrotce to sie skonczy - powiedzial. - W Norstead wojna, a jej brzydota ciebie splamic nie moze...

-Norstead? O czym ty mowisz, Torossie? Do Norstead pojedzie uciekac. Nie mozemy ich tutaj zatrzymac, nie mamy dosc zapasow. Ale my nie jedziemy. Moze natomiast zabierzecie sie wy...

Gdy to powiedzialam, poczulam, ze moje brzemie zelzalo. Zycie w Ithkrypt staloby sie latwiejsze, gdyby ci krewni nie stali wiecznie nade mna.

-Ale i ty pojedziesz - powiedzial tak spokojnie, jakby bylo to przesadzone. - Zamek, ktory wlasciwie mozna nazywac oblezonym, to nie miejsce dla dziewczecia.

Dama Math... czyzby ulozyla to za moimi plecami? Nie, dobrze ja znalazlam. Nagle przerazenie zniknelo, Toross nie mial zadnej wladzy nade mna. Opuścze zamek na rozkaz stryja lub Kerovana, i niczyj inny.

-Zapominasz, ze nie jestem dziewczeciem. Moj malzonek wie, zem w Ithkrypt. Przyjedzie po mnie. Do tego czasu tu pozostane.

Twarz Torossa oblal rumieniec.

-Joisan, czyzby nie wiedziala? Czemu wiernie stoisz przy nim? Nie przyjechal po ciebie w wyznaczonym czasie: juz dwa miesiace, jak minal termin ustalony przy zaslubinach, nieprawdaz? Mozesz mu teraz odmowic i nie bedzie to oznaczac, ze lamiesz jakakolwiek przysiege! Gdyby chcial ciebie, czy nie przyjechalby o czasie?

-Przez szranki nieprzyjaciol, nie watpie! - odparlam. - Pan Kerovan dowodzi druzynie swego ojca na poludniu. Nie jest to czas, aby domagac sie pilnego przestrzegania umowionych dat. Ani ja nie zerwe wiezi, poki moj malzonek sam nie oznajmi, ze mnie nie chce! Byc moze nie cala prawde mowilam. Jak kazda kobieta mialam swoja dume, ale pragnelam, by Toross mnie zrozumial i nie wyrazal tak bez oslonek czegos, o czym wolalam nie mowic. Jezeli zabrnie za daleko, skonczy sie nasza przyjazn, a lubilam go.

-Jezeli zechcesz, bedziesz wolna - powtorzyl uparcie. - A jesli prawda ci mila, to wiesz sama, czego pragniesz. Przeciez to, ze... To, co do ciebie czuje i czulem od chwili, gdy cie zobaczylem, jest jasne. I ty czujesz tak samo, jesli zechcesz szczerze sobie...

-O nie, Toross. Te -o ci teraz powiem, ma taka wage, jakbym przysiegala na Plomien, a bede to zmuszona zrobic, jezeli mi nie uwierzysz. Jestem zona Kerovana i nia pozostane jak dlugo bedziemy zyli, a on si; mnie nie wyprze. Bedac zamezna nie moze bez ujmy na honorze sluchac takich slow. Nie przystoi mi to i nie bede mogla wiecej do ciebie przyjsc!

Wybieglam, chociaz slyszalam, ze sie poruszyl i syknal z bolu, wolajac mnie po imieniu. Nie odwrocilam sie jednak, zbieglam do wielkiej sali. Byla tam Pani Islaugha i kladla lyzka

rosol z kociolka do miski. Podeszłam do niej szybkim krokiem.

-Twój syn cię potrzebuje - odezwałam się. - Nie prosz mnie więcej, bym do niego szła.

Spojrzała na mnie i .poznałam po jej twarzy, że domyśla się, co zaszło i nienawidzi mnie, ponieważ nie uległam. On zajmował najcenniejsze miejsce w jej sercu, jemu należało się wszystko.

-Ty głupia! - prychnęła.

-Byłabym jeszcze głupsza, gdybym uległa. - Na tyle sobie pozwoliłam i usunęłam się jej z drogi, gdy trzymając w dłoniach przelewającą się miskę, pośpieszyła do komnaty Torossa.

Zostałam przy ogniu, wyciągając don z zębami rece. A może istotnie byłam głupia? Co takiego miałam od Kerovana, co by mnie trzymało przy nim? Kryształowa zabawka - po osmiu latach małżeństwa, które nie było małżeństwem. Lecz nie miałam wyboru i nie żałowałam tego, co zrobiłam.

Kerovan

Wydaje mi się, że z trudnością przypominam sobie czasy, kiedy nie było wojny, tak szybko spowszedniał mi stan ciągłego pogotowia, zagrożenia i trudów. Gdy przyszła wieść o napadzie, mój ojciec przygotował się do marszu na południe na wezwanie tych, którzy największym wysiłkiem musieli się bronić. Lecz zanim wyruszył, zmienił zdanie, a były po temu dwie przyczyny. Nadal wierzył, że w chwili obecnej Ulmsport był jednym z celów floty nieprzyjaciela, a poza tym nie czuł się zdrow. Nie mógł wyleczyć się z przeziębienia i trapiły go napady gorączki i febry, co mu uniemożliwiło wyjście w pole. Dlatego to ja poprowadziłam zbrojnych pod sztandarem ze znakiem Gryfa, gdy spieszyliśmy na odsiecz naszemu krewniakowi. Jagon prosił, by pozwolono mu jechać ze mną, ale nie było to możliwe ze względu na jego stare rany. Pojechał ze mną Marszałek Yrugo.

Mój przyrodni brat i Rogear wrócili do doliny krewnych matki, gdyż podlegali panu z tamtych stron. Bez żalu patrzyłem, jak odjeżdżali. Chociaż nigdy między nami nie było otwartego starcia ani też Hlymer, poza pierwszymi dniami mojego pobytu w Ulmsdale, nie starał się mnie prowokować, zawsze w ich towarzystwie czułem się skrepowany wiedząc, że nie byli mi przyjaciółmi. W tamtych dniach rzadko kiedy sypiałem na zamku.

Zatrzymałem się tylko w Ulmsporcie i objeżdżałem dolinę, by zebrać wieści dla ojca, podczas gdy on leżał w lożu. Były z tego dwa pozytywne: nie tylko jako syn służyłem mu za oczy i uszy, ale zapoznawałem się z krainą i jej mieszkańcami, którymi - jeśli los zechce - miałem w przyszłości rządzić.

Najsamym pierwszym witano mnie ze skrywaną niechęcią, nawet z pewnymi obawami. Zrozumiałem, że ostrzeżenia Jagona miały głębokie korzenie: ktoś posłużył się plotkami o mojej inności i mocno namieszał. Lecz ci, którzy widywali mnie podczas moich wypraw w

gore i dol doliny, którzy meldowali sie u mnie lub brali ode mnie rozkazy, wkrótce zachowywali sie z taka sama smialoscia wobec mnie jak wobec Marszalka czy innego zwierzchnika. Po pewnym czasie Jagon powiedzial mi, iz ci, którzy sie ze mna stykali, sami uciszali wszelkie pogloski twierdzac, ze kazdy, kto ma oczy w glowie, moze zobaczyc: niczym nie roznie sie od dziedzica sasiadow.

Moj przyrodni brat zdazyl juz zle przysluzyc sie wlasnym interesom dzieki swoim wlasnym przywarom. Przy naszym pierwszym spotkaniu ocenilem, ze to zbir, który zneca sie nad slabszymi i niewiele sie mylilem. Uwazal, ze ludzie mniej szlachetnie urodzeni nie posiadaja ani rozumu, ani uczuc i mozna ich wykorzystywac jak narzedzia. Nie, niezupełnie, bowiem mistrz rzemieślnik ma respekt dla dobrych narzedzi i dobrze sie z nimi obchodzi.

Z drugiej strony, Hlymer swietnie wladal bronia i mimo swoich rozmiarow byl ogromnie wytrwaly, a mieczem robil znamienicie. Siegal nim daleko, co dawalo mu przewage nad przeciwnikami nizszego wzrostu, na przyklad mna. I, jak mi sie zdaje, w tamtych dniach nie mialbym ochoty spotkac sie z nim na ubitej ziemi.

Mial pewne poparcie wsrod domownikow i uwielbial od czasu do czasu paradowac ze swymi ludzmi przede mna. Nigdy nie czynilem staran, aby kogokolwiek do siebie zwerbować. Trzymalem sie na uboczu, pomny slow Jagona. Poniewaz roslem glownie w swoim wlasnym towarzystwie, nie znalem tych drobnych sposobow, dzieki którym mozna poznac czlowieka, zaprzyjaznic sie i zyskac stronnikow. Nie obawiano sie mnie ani tez mnie nie kochano. Zawsze bylem obcy.

Wtedy czasami myslalem, czym byloby moje zycie gdyby nie inwazja. Jagon, powrociwszy z wycieczki do Ithkrypt, spotkal sie ze mna na osobnosc i wlozil mi w reke haftowany futeral, nie dluzszy od mej dloni, uszyty na miare konterfektu. Powiedzial, ze moja pani prosila o moja wlasna podobizne w zamian.

Dziekujac mu czekalem az odejdzie, zanim wyjalem obrazek naklejony na kawalek drewna i w swietle przyjrzałem sie namalowanej twarzy. Nie wiem, czego sie spodziewalem, ale niczego nie pragnalem, procz jednego - moze to dziwne: zeby Joisan nie byla piekna. Z gladka twarza bylaby tym bardziej nieszczesliwa laczac sie z takim jak ja, zwlaszcza gdy wczesniej schlebiano jej i zabiegano o jej wzgledy. Sa urodziwe kobiety, ktore pociagaja mezczyzn nawet nie chcac tego.

Spogladałem na twarz dziewczyny, jak dotad - zdalo mi sie - nie naznaczona zadnym smutkiem ani wielkim uczuciem. Byla to szczupla twarz, a w niej nadzwyczaj duze oczy. Oczy te mialy odcien ni to zielony, ni niebieski, byly zarazem i takie, i takie, albo tez malarz barwy nie utrafil. Pomyslalem, ze jednak utrafil, bowiem nie wyladnil jej. Musiala w rzeczywistosci wygladac tak, jak na tym obrazku. Nie, nie byla piekna, ale jej twarz mialem w pamieci, nawet gdy odwrocilem wzrok. Jej wlosy, jak moje, byly ciemniejsze niz tu zwykle spotykano, gdyz ludzie z doliny zazwyczaj sa jasnowlosi i rumiani. Mialy kolor niektórych jesiennych lisci - brazowy z rudawym polyskiem. Jej twarz byla szersza u skroni niz u

podbrodka i zwezala sie ostro. Namalowano ja nie usmiechnieta, ale z wyrazem trzezwego zaciekawienia.

Wiec to byla Joisan. Gdy tak trzymalem jej portret i patrzyłem na nia uwaznie, po raz pierwszy uswiadomilem sobie prawde: oto byl ktos, z kim byłem związany i od kogo nie mogłem uciec. Mimo wszystko dziwne to bylo, aby ta szczupla, nie usmiechnieta dziewczyna w jakis sposob miala mi ograniczyc wolnosc. Ta mysl zawstydzila mnie, czym predzej wiec wsunalem portret z powrotem do futeralu i wepchnalem do sakiewki u pasa, aby go usunac z oczu i z mysli.

Jagon powiedzial mi, ze prosila o podobny w zamian. Oczywiscie. Lecz nawet gdybym chcial spelnic jej prosbe - a jakos wcale nie mialem na to ochoty - bylo to niemożliwe. Nie znalazem nikogo, kto umialby malowac, i nie zamierzalem sie o takowego wypytywac. Wiec nie spelnilem pierwszego zyczenia mojej pani. A ze kazdy nastepny mijajacy dzien przynosil nowe wieści albo nowe zagrozenie - zapomnialem o prosbie - lub tez wygodniej mi bylo o niej zapomniec.

Lecz portrecik pozostal w sakiewce. Od czasu do czasu zerkalem na futeral, nawet mialem ochote go wyjac, ale wnet rozmyslam sie. Zupelnie jak gdyby patwienie moglo spowodowac, bym zrobil cos, czego moglbym pozniej zalowac.

Wedlug wszelkich zwyczajow Joisan powinna dolaczyc do mnie przed uplywem roku. Ale zwyczaj ustepowal wojennym prawom. A w roku nastepnym walczyłem w poludniowych stronach.

Walczyłem? Nie, za wiele powiedziane. Nie zostalem bohaterem na polu bitwy, ale z racji mojego lesnego wychowania byłem jednym z tych, co w ukryciu weszyli wzdluz linii marszu wroga, zbierajac strzepki wiedzy o jego poczynaniach, ktore znosilismy do wlasnego obozu.

Początkowe kleski, kiedy zamek po zamku na wybrzezu padal ofiara metalowych potworow z Alizonu, nareszcie wymusily na nas polaczenie sil. To przymierze przyszlo jednak bardzo pozno. Nieprzyjaciel, wykazujac sie zdolnoscia przewidywania i czytania zamiarow na tyle lepsza; od naszej, na ile ich uzbrojenie roznilo sie od naszego, zdolal zamordowac kilku wielkich panow z Poludnia, a byli powazani i na ich wici zebralyby sie wojska. Pozostalo trzech, ktorzy mieli szczescie lub byli ostrozni i tak uszli z zyciem. Razem tworzyli rade cieszaca sie pewnym posluchem. W ten sposob mogliśmy isc bardziej zwartym szykiem i nie ponosilismy juz kleski po klesce. Wykorzystywalismy znajomosc wlasnego kraju, w walce uciekajac sie do sposobow banitow z Odlogow, ktorzy stosuja gwałtowne napasci i szybkie odwroty, zanim zagrozi im utrata wielu ludzi.

W Roku Ognistego Trolla nastapil poczatek najazdu. Rok Geparda zaczal sie na dobre, zanim odnieslismy pierwsze male zwyciestwa. Ale trudno sie bylo nimi szczycic. Nasze straty znacznie przewyzszaly zyski, a zadowoliliby nas jedynie wepchniecie wroga z powrotem do morza. Najezdzczy zagarneli cale poludniowe wybrzeze, a do trzech portow



nadal napływały fale ich ludzi. Lecz chyba ich zapasy strasznych metalowych potworów, które rzucili do pierwszego ataku, były na wyczerpaniu. Inaczej nie powstrzymalibyśmy ich tak długo i uciekalibyśmy w popłochu na północ i na zachód nie składniej niż przerażony tłum.

Braliśmy jenców i niektórzy mówili, iż ta straszna broń nie pochodziła z Alizonu, ale dostarczana im była przez inny kraj, teraz uwikłany w wojnę na kontynencie wschodnim, gdzie leżał Alizon. Mówili także, że najazd miał przetrzeć szlaki dla tych potężniejszych nieznanym.

Alizonczycy mimo całej swej buty zdawali się lekce traktować tych, których bronią się posługiwali, i grozili nam, że gdy tamci uporają się z własną wojną, zwróci się ku nam ze swoją straszliwą zemstą.

Lecz nasi panowie zdecydowali, że w tej chwili można nie myśleć o strachach odległej przyszłości. Naszą powinnością było bronić dolin wszystkimi dostępnymi środkami i mieć nadzieję, że istotnie uda nam się wypchnąć najazdców z powrotem do morza. Ja sam myślałem, że żaden z nas w tamtych dniach nie był pewien, czy oto nie nadeszły ostatnie godziny naszego ludu. Lecz nikt nie wspominał o poddaniu się. Bowiem wrogowie tak obchodzili się z wziętymi do niewoli, że śmierć zdawała się miłszą.

Wrocilem ze zwiadu i zastałem czekającego na mnie posłanca z pilnym wezwaniem do naczelnego dowódcy na tę część kraju - lorda Imgry. Umęczony do szpiku kości i głodny wziąłem świeżego wierzchowca i chwyciłem okragły suchar, nie zdążywszy go posmarować serem, by zmieść. Myślałem, że będę go zjadał podczas jazdy.

Posłaniec oznajmił mi, że nadeszło ładem ważne ostrzeżenie przekazane pochodnią i tarczą oraz że natychmiast potem rozkazano mnie sprowadzić.

Przynajmniej nasz zwyczaj stawiania ludzi na wzgórzach, aby dawali znaki odbijając jasne światło pochodni w wypolerowanej tarczy, okazał się bardzo skuteczny w przekazywaniu nagłych wiadomości. Lecz jakie ostrzeżenie mogło dotyczyć mnie, nie wiedziałem. Byłem tak zmęczony, że moje myśli były równie ociężałe jak członki.

Między lordami, którzy tworzyli naszą radę wojenną, Imgry był najmniej przystępny. Był od niego chłodny. Lecz jego plany były przemyślane i sprytne i to jemu zawdzięczaliśmy większość naszych drobnych zwycięstw. Jego wygląd obrazował to, czym zapewne było jego wnętrze: miał zimne spojrzenie i nie wiem, czy kiedykolwiek oglądałem jego uśmiech. Używał ludzi jak narzędzi, ale nie marnował ich i powszechnie było wiadome, że dobrze opiekował się swoimi (poki mu byli potrzebni).

Szanowano go, obawiano się go i wielu miał zwolenników. Lecz trudno mi było uwierzyć, by był to pan milowany.

Teraz, gdy wjeżdżałem do jego obozu, z lekka kreciło mi się w głowie od długich godzin w

siodle, z braku snu i z głodu. Staralem się nie potknąć przy zsiadaniu z konia. Uważano za punkt honoru stanąć przed Imgrym z twarzą nieruchoma, taka jaka on pokazywał w najtrudniejszych okolicznościach.

Prawdopodobnie był to mąż młodszy od mojego ojca, lecz można by sądzić, iż nigdy nie był młody. Od kolyski widać obmyślał intrygi i plany, albo związane z własną karierą (o co ja go podejrzewałem), albo by przyspieszyć bieg jakiejś interesującej go sprawy. W chacie, gdzie umieścił swój sztab, płonął ogień, a on stał twarzą do ognia, patrząc w płomienie, jakby widział tam zwoj papieru, z którego czytał.

Na zewnątrz leżeli obozem jego ludzie. W izbie giermek siedział na niskim stolku, polerując hełm brudnym lachmanem. Nad płomieniem wisiał na lancuchu kociołek, a z niego rozchodziły się zapachy, od których ślina napłynęła mi do ust, choć kiedyś taka zupa byłaby dla mnie niedźna strawa.

Zwrócił ku mnie głowę, gdy zamknąłem za sobą drzwi i zmierzył mnie tym swoim surowym, taksującym spojrzeniem, którego używał jak broni przeciw własnym podwładnym. Byłem zmęczony i znudzony drogą, wysiłkiem woli zmusiłem się, by wytrzymać to spojrzenie.

-Kerovan z Ulmsdale. - Nie było to pytanie, raczej stwierdzenie faktu.

Uniosłem dłoń w rękawicy na znak powitania. Tak samo oddałbym honor któremukolwiek z wyższych dowodzących.

-Oto jestem.

-Spóźniłeś się.

-Byłem na zwiadach. Wyjechałem z obozu natychmiast, gdy przekazano mi wasze wezwanie - odparłem zwykłym głosem.

-Rozumiem. I jak minal zwiad?

Najkrócej jak umiałem złożyłem mu sprawozdanie z tego, co widziałem ja i garść moich ludzi.

-Więc idą wzdłuż rzeki Calder? Tak, rzeki są dla nich drogami. Lecz ja chcę mówić o Ulmsdale. Dotychczas wrog ładował tylko na południu. Teraz, gdy padło Jorby...

Staralem przypomnieć sobie, gdzie leżało Jorby, ale zmęczony, z trudem odtwarzałem w myślach mapę. Jorby to port Vastdale.

-Vastdale?

Imgry wzruszył ramionami.

-Jezeli jeszcze nie padlo, to dlugo nie wytrzyma. Majac Jorby beda mogli posuwac sie krok za krokiem na polnoc. Ulmsport lezy tuz za Przyladkiem Czarnych Wiatrow. Jezeli uderza tam i wyladuja dostatecznie wielka sila, to atakiem z poludnia i polnocy zostaniemy zgnieceni niby skorupa maraksa pod kuchennym tasakiem!

To wystarczylo, by ulecialo precz moje zmeczenie. Wojsko, ktore przyprowadzilem ze soba na poludnie, bylo niewielkie, ale kazdy zolnierz z tej druzyny byl potrzebny Ulmsdale. Od czasu wyjscia zginelo ich pieciu, trzech zostalo rannych i teraz nie uniosa broni, o ile w ogole jeszcze kiedyys beda nosic bron. Wiedzialem, ze jezeli nieprzyjaciel napadnie na Ulmsport, to moj ojciec i jego ludzie nie wycofaja sie, ale tez mala nadzieja, ze wytrzymaja dlugo napor Alizonczykow. Oznaczaloby to kres i zniszczenie wszystkiego, co znanem.

Rozmawiajac ze mna, Imgry wzial ze stolu miske, zanurzyl warzachew o dlugim trzonku w bulgoczonej zupie i nalal jej. Parujaca miske odstawil z powrotem na stol i ruchem reki wskazal mi ja.

-Zjedz. Widze, ze ci sie to przyda.

Nie byly to mile zaprosiny, ale mnie nie trzeba bylo namawiac. Jego giermek wstal i popchnal stolec w moim kierunku. Upadlem prawie na ten stolec i siegnalem po miske, ktora na razie byla zbyt goraca, by z niej jesc, ale za to - sciagnawszy skorzane rekawiczki - grzalem na niej zziebniete dlonie.

-- Nie mialem wieści z Ulmsdale odkad... - Jak dawno temu? Dni zlewaly sie w jedno. Wydalo mi sie, ze zawsze bylem zmeczony, glodny, zziebniety, w cieniu strachu i ze trwa to cala wiecznosc.

-Byloby wskazane, abys udal sie na polnoc. - Imgry wrocil do ognia i nie odwracal ku mnie glowy, gdy mowil. - Nie moge dac ci wiecej ludzi niz jednego giermka...

Urazilo to moja dume. A wiec uwaza, iz obawiam sie samotnego podrozowania! Pomyslalem, ze moja sluzba na zwiadzie powinna byla wykazac, co potrafie. Nie zabiore z jego druzyny nikogo, pojde sam.

-Moge jechac sam - powiedzialem krotko. I zaczalem saczyc moja zupe prosto z miski, bo lyzki nie dostalem. Smakowala wybornie i czulem, jak mnie pokrzepia.

Nie zaprotestowal.

-Dobrze. Powinienes ruszyc rano. Wysle poslanca do twych ludzi, a ty mozesz zostac tutaj.

Reszte nocy spedzilem owiniety we wlasna burke, skulony na podlodze chaty. Rzeczywiscie ruszylem ze switaniem, wpychajac do sakwy podroznej dwa suchary. Mialem swiezego konia, przyprowadzil mi go giermek lorda Imgry. Jego wladyka nie pozegnal mnie

ani nie kazal mi przekazac zyczen na droge.

Trakt na polnoc nie byl prosty, nie zawsze moglem korzystac z drogi, kon moj szedl glownie wedlug szlakow owczych i bydlecych. Czasem zsiadalem z konia i prowadzac go szedlem stromymi stokami.

Mialem ze soba krzesiwo i moglbym rozniecic ogien, by sie ogrzac i rozjasnic noc, gdy zatrzymywalem sie pod dachem szalasu pasterskiego, ale wolalem nie rozpalac ognisk. Znajdowalem sie na dzikiej ziemi, a juz wczesniej zdazyly dojsc mnie sluchy, ze wilcy z Odlogow zapuszczaja sie w glab kraju i znajduja bogate lupy tam, skad uciekli obroncy. Moja kolczuga, bron, rumak - ktos moglby polakomic sie na to wszystko i mnie wziac na cel.

Na ogol noce spedzalem w dolinach, w zamkach, gdzie do pozna rozmawiac musialem z dowodcami zalosnie malych zalog, spragnionych wiadomosci, albo w gospodach, gdzie wiesniacy nie domagali sie tego ode mnie tak otwarcie, ale sluchali nie mniej lapczywie:

Piatego dnia dobrze po poludniu ujrzałem Piesc Olbrzyna, widoczny z daleka glaz, szczegolny znak mojej ojczystej doliny. Bylo chmurno, a wiatr dal zimny. Pomyslalem, ze lepiej bedzie przyspieszyc kroku. Nielatwa droga dala sie we znaki i mojemu koniowi, wiec staralem sie nie zmuszac go do nadmiernego wysilku. Moglem teraz zejsc na trakt handlowy, ale tylko stracilbym czas, totez trzymalem sie drog pasterskich. Nie uratowalo mnie to. Musieli wystawic szpiegow, ktorzy czekali wsrod glazow i zgotowali mi pulapke. Prowadzac za soba czlapiacego konia, wpadlem w nia u samych granic Ulmsdale.

Nic mnie nie ostrzeglo jak poprzednim razem, gdy czyhala na mnie smierc w zasadzce. Szedlem nieswiadomy niby owca na rzez.

Miejsce bylo dobrze wybrane, wspinalam sie bowiem waska sciezka nad przepascia. Nagle moj kon rzucil lbem i zarzal cicho. Ale ostrzezenie przyszlo za pozno. Cios wymierzony miedzy lopatki powalil mnie na konski kark, wypuscilem z rak wodze. W chwili bezgranicznego przerazenia uzmyslowilem sobie, ze spadam - i lece w dol.

Ciemnosc. Ciemnosc i bol, ktory nadplywal i odplywal przy kazdym oddechu. Nie moglem myslec, jedynie czulem. A jednak instynkt, a moze wola przezycia, wykrzesala ze mnie sily i zaczalem slabo bladzc dlonmi. Wiedzialem tylko to jedno, choc ogluszony nie moglem skladnie rozumowac: bylem swiadom, ze leze twarza do ziemi, majac glowe i ramiona nizej niz reszte ciala, zaklinowany wsrod krzakow.

Zrozumialem, ze upadlszy, zaczalem sie zsuwac i te krzewy uratowaly mi zycie, bo runalbym na skaly widniejace na dnie przepasci. Jezeli napastnicy patrzyli na mnie z gory, to sadzili zapewne, ze zginalem. Inaczej bez watpienia zeszliby i dokonczyli dzieła kamieniem. Pelno ich tu bylo pod reka.

W tamtej chwili nie ogarnialem tego wszystkiego, swiadom jedynie bolu. W niejasnym

przekonaniu, że niewygodnie leże i trzeba to zmienić, zacząłem się człgać - zanim mogłem poprawnie myśleć i rozumować, co zrobić. Moja samotność skończyła się ponownym zsunieciem i ponowną ciemnością.

Gdy po raz wtóry odzyskałem zmysły, poczułem, że otępiła mnie lodowata woda źródełka górskiego, która płynęła po moim policzku. Prychając i dusząc się poderwałem głowę, usiłując uciec od tej powodzi. Ale za chwilę znowu ją pochyliłem i chleptałem wodę jak pies, dygocąc z zimna, ale czując, że dzięki niej przeясnia mi się w głowie i porządkują myśli.

Nie wiem, jak długo leżałem po pierwszym upadku. Teraz było już ciemno, a mrok z pewnością prawdziwy nie był wynikiem mojego skolatanego mózgu. Wschodził księżyc nadzwyczaj czysty i jasny. Podciągnąłem się i usiadłem.

To nie banicy z Odlogów napadli na mnie. Oni obraliby mnie z mojej kolczugi i broni i skończyli ze mną. Ogarnęło mnie przerażenie. Czyżby to, co dał mi do zrozumienia lord Imgry, już się dokonało? Czyżby najezdźcy zajęli Ulmsdale, a ja natknąłem się na jedną z ich grup zwiadowczych?

Lecz atak na mnie raczej wyglądał na zasadzkę, dokonano go bezgłośnie i podstępnie i trudno mi było uwierzyć, że był dziełem tych wrogów, z którymi walczyłem na południu. Nie, był za bardzo skryty.

Zacząłem palcami badać swe ciało, szukając ran. Poszczęściło mi się, bowiem - jak mi się zdawało - nie złamałem żadnej kości. Natomiast byłem ogromnie poturbowany i posiniaczony, a na głowie znalazłem bolesnego guza. Prawdopodobnie kolczuga i krzewy, na które spadłem, nie dały mi zrobić większej krzywdy. Ale dygotałem cały z zimna i strachu i okazało się, że nie dam rady stanąć na nogi. Upadłem znowu. Chwyciłem się kamiennego występu, by się oprzeć.

Nie było śladu po moim koniu. Czy zabrali go ci, którzy zrzucili mnie w przepaść? Gdzie znajdowali się teraz? Myśl, że mogą mnie szukać, zmusiła mnie do wyjęcia miecza z pochwy; położyłem go sobie na kolanach. Stąd było niedaleko do zamku. Gdyby udało mi się wstać, dowlokłbym się do pierwszych pastwisk. Lecz każdy ruch sprawiał mi taki ból, że z sykiem przygryzałem wargi aż do krwi z wysiłku, by nie upaść znowu.

Los mi sprzyjał i oto zylem. Ale nie mogłbym się teraz bronić. Dlatego póki nie odzyskam nieco sił, muszę poruszać się wolno i ostrożnie.

Słyszałem wokół zwyczajne odgłosy nocy - ptaki, zwierzęta, które wychodziły na zero po zmroku. Nie było wiatru, a noc zdawała się nienaturalnie spokojna jakby w oczekiwaniu na coś. Na co - na kogo?

Od czasu do czasu zmieniałem ułożenie ciała, za każdym razem próbując mieszać i członków. Wreszcie stanąłem na nogi, aczkolwiek z wysiłkiem, i utrzymałem się stojąc,

mimo że ziemia tancyła mi pod stopami. Ciszamacona jedynie nieustannym mruzeniem strumyka, trwała. Z pewnością nikt nie mógłby podejść do mnie blisko nie spostrzeżony.

Spróbowałem zrobić krok, dwa, stawiając buty mocno na kolyszającej się ziemi i rozglądając się za oparciem dla rąk, aby nie upaść. Zobaczyłem kamienny mur osrebrzony poświęca księżycu. Dowlokłem się do niego, a potem szedłem przy nim, zatrzymując się co chwila i nasłuchując.

Krzewy się skończyły. Wyszedłem na otwartą przestrzeń. Teraz poruszałem się na czworakach, pelznąc wzdłuż muru czujny na wszystko wokół.

Nie opodal pasły się owce i ten widok był pocieszający. Gdyby w dolinie byli najeźdźcy, z pewnością pastwisko świeciłoby pustkami. Lecz czy były to prawdziwe owce? Przypomniały mi się zimowe opowieści chłopów o zjawach owiec i bydła, które dołączały do rzeczywistych. I o tym, jak noca lub mglistym porankiem pasterz nie mógł doliczyć się stada, bo za każdym razem wychodziło coś innego. Wtedy nie wolno było zapędzać zwierząt do zagrody, ponieważ jeśli zamknąć razem to, co prawdziwe z tym, co jest zjawą tylko, oddaje się zjawie władze nad rzeczywistym.

Odpędziłem od siebie te myśli i skupiłem się na zadaniu: dotrzeć do końca pastwiska i muru. A potem iść na zamek.

Kiedy doszedłem do końca muru, ujrzałem cały zamek, który stał jakby na ostrodze, co wrzynała się w trakt do Ulmsportu. Widniał na tle księżycu i mogłem dostrzec sztandar Pana na Ulmsdale wciągnięty na basztę.

Coś było nie w porządku. Kiedy zastanawiałem się co, zadał wiatr ze wschodu i lekko unosił brzeg tego, co zwisało z maszty i co rozwinęło się, rozposcierając szeroko na chwilę. Ta chwila starczyła, bym ujrzał...

Nie wiem, czy wydałem z siebie jakiś dźwięk, czy nie. Lecz wszystko we mnie krzyczało. Tylko z jednej przyczyny sztandar władcy mógł wisieć noca, porznięty na strzępy. Znaczyło to śmierć!

Poszarpany sztandar Pana na Ulmsdale! Moj ojciec!

Chwyciłem się muru, słabnąć w kolanach. Ulric, Pan na Ulmsdale, nie żył. Teraz zgadłem, albo zdawało mi się, że zgadłem, dlaczego w gorach czekała na mnie zasadzka. Musieli się mnie spodziewać. Nawet jeżeli wysłano do mnie wieść o śmierci ojca, to widac minęła mnie w drodze. Ci, którzy chcieli mi przeszkodzić, musieli dla pewności postawić ludzi przy każdym południowym wejściu.

Gdybym teraz poszedł dalej, na pewno trafiłbym prosto w niebezpieczeństwo, a jeszcze nie byłem gotów stawić mu czoła. Musiałem znać drogę, zanim zaczęła kroczyć.

Chociaz bardzo pragnelam, by Toross, jego matka i siostra opuscili Ithkrypt, nie bylo to takie proste, poniewaz Toross nadal lezal. Nie moglam nalegac, by zabrano go w lektyce. Lecz omijalam jego komnate i przez to oczywiscie wzbudzilam nienawisc lady Islaughy i Yngildy. Na szczescie mialam wystarczajaco duzo obowiazkow, aby nie wchodzic im w droge. Ubrana w spodnice do jazdy konnej, niosac zawiniatko z chlebem i serem na drugie sniadanie, wyjechalam rankiem w towarzystwie giermka na objazd pol i naszych stanowisk strazniczych w gorach. Teraz przywdziewalam kolczuge i maly mieczyk, ktory dal mi stryj, i nikt nie osmielil sie mowic, ze ten ubior mi nie przystoi, poniewaz w takich czasach kazdy pilnowal swych wlasnych zajec.

Niespodziewanie na doline zesla choroba, z febra, dreszczami i glebokim, meczacym kaszlem. Zrzadzeniem Plomienia mnie oszczedzono najgorszego, dlatego na mojej glowie ciazylo coraz wiecej obowiazkow, zwlaszcza ze Dama Math byla jedna z pierwszych ofiar choroby. Byla tez jedna z pierwszych osob, ktore podniosly sie z loza, i chociaz wyraznie oslabiona, wypelniala swoje zadania, niewiele czasu poswiecajac wlasnej osobie.

Chorowal rowniez Marszalek Dagale, wobec czego zbrojni zwracali sie do mnie o rozkazy. Wystawialismy tyle strazy, ile bylo w naszej mocy, a jednoczesnie staralismy sie uprawiac pola. Rok byl trudny i wiele musielismy zrobic, a niewielu bylo zdolnych do pracy. Moje noce i dni utonely w morzu zmeczenia, nie mialam chwili odpoczynku.

Pracowali wszyscy, ktorzy tylko dawali rade pracowac. Matki oraly, a male dzieci szly za plugami i wrzucaly ziarno w ziemie. Ale mogliśmy zrobic tylko tyle, nie wiecej. Zasiano mniej pol niz rok wczesniej. Na Przesilenie Letnie, miast ucztowac, zebralam tych, ktorzy musieli odejsc do Norsdale i pozegnalam ich. Wiekszosc szla pieszo, poniewaz nie stac nas bylo na konie dla wszystkich.

Toross nie pojechal z nimi. Wyleczyl sie juz z rany i wstal z loza, mialam wiec nadzieje, ze bedzie uprzejmy wyjechac. Jednak nie zrobil tego. Natomiast zaprzyjaznil sie z Dagalem i zastepowal go, gdy Marszalek powrocil do swoich obowiazkow.

Podczas tych tygodni wiecznie sie czulam nieswojo. Chociaz Toross mnie nie szukal, wciaz czulam, ze jego oczy mnie sledza, a jego wola, aby zawiesc mnie tam, gdzie on zechce, oplatywala mnie jak niewidzialna siec. Zywilam tylko nadzieje, ze moj opor bedzie rownie silny. Lubilam Torossa takim, jakim byl, lubilam go od pierwszego naszego spotkania. Jego wesolosc w tamtych czasach byla przeciwienstwem powaznego zycia, ktore prowadzilam. Byl lagodny i uwazny i rozmowa z nim bawila mnie. Mial przystojna twarz i dobrze wiedzial, jak zachowac sie w towarzystwie. Widzialam, jak dziewczeta wodza za nim wzrokiem i sama przekonalam sie, jaki jest ujmujący.

Odniesiona rana spowodowala, ze spowaznial, choc nadal umial nas rozweselic. Nie przecze, ze wielkie byly jego zalety. Lecz skad ta niezachwiana wiara, ze pojde do niego,

ze mu ulegne? Tego nie potrafilam zrozumiec.

Wiem, ze mezczyzni z dolin uwazaja kobiety za swoja wlasnosc. O kobiecie mozna ubiegac sie i rozpieszczac ja chocby przez rok, by potem zdobytą włączyc do inwentarza jak sokola, psa albo konia. Nasi najblizsi wymieniaja nas za wartosc naszego posagu, by umocnic wiezy miedzy dolinami. W tych sprawach nie mamy glosu i nie mozemy sprzeciwic sie temu, co nam straszne lub nienawistne.

Dotad moja droga byla latwa i prosta. Po pierwsze, Dama Math byla kobieta wielkiego ducha i powagi, jedna z tych, ktore mezczyzni szanowali i ktore mialy wlasna pozycje w dolinach. Jej brat uczynil ja glowa swojego domu i ustepowal miejsca, zasiegajac jej rady w wielu rzeczach.

Prostolinijna i cicha, poruszala sie w ramach nakreslonych zwyczajem, nie starajac sie im otwarcie sprzeciwic. Dopilnowala, abym nauczyla sie wielu rzeczy w wiekszosci zabronionych lub uwazanych za zbedne dla dziewczat. Szkolona w Siedzibie Dam umialam czytac i pisac. Nie odsylano mnie do drobnych zajec, gdy ona i stryj Cyart rozmawiali ze soba na wazne tematy, wrecz zachecajac, bym sluchala. Potem Dama Math pytala mnie, jaka bym podjela decyzje w takiej czy innej sprawie, zawsze podkreslajac, ze umiejtnosc taka jest konieczna dla pani na zamku.

Moj stryj uwazal, ze ma prawo do tego, abym byla posluszna jego woli, ale czesto wyjasnial mi przyczyny, dla ktorych tak postepowal, nie ograniczajac sie jedynie do wydawania mi polecen, choc byl raptusem i potrafil traktowac nas ostro. W miare gdy dorastalam, pytal mnie o zdanie w mniej waznych sprawach i pozwalal, abym postepowala wedlug wlasnego uznania.

Wiedzialam, ze w dolinach bylam przedmiotem pewnych przetargow. Mialam spuszczne po ojcu, ale nie ziemie, bowiem byl drugim synem i przyrodnim bratem Cyarta. Wedlug zwyczaju lord Cyart mogl oglosic mnie swa spadkobierczynia mimo mojej plci, ale rownie dobrze mogl wybrac Torossa, mezczyzne.

Do czasu najazdu Toross byl w bezposredniej linii dziedzicem swego ojca. Teraz, gdy jego tytul przepadl, byl nie lepszy niz drugi lub trzeci syn. A jego niezmiennie przekonanie, ze mu ulegne, moglo wynikac - czego sie obawialam - nie z zauroczenia moja osoba (nie bylam tak prozna), ale z przekonania, ze przez zwiazek ze mna moglby roscic podwojne prawo do dziedzictwa po Cyarcie.

Jego samego moze krzywdzilam, lecz z pewnoscia mysl ta powodowala Islaugha. Dlatego starala sie ukryc swoja niechec do mnie i czynila wysilki, abysmy sie spotykali i zblizyli. Tego lata czulam sie jak zajac scigany przez dwa psy goncze i moglam sie chronic tylko coraz bardziej pograzajac sie w swoich obowiazkach.

Ulge sprawil mi odjazd pierwszej grupy uchodzcow w dzien Przesilenia Letniego, chociaz



nie tak wielka jak sie tego spodziewalam. Dodatkowo martwila mnie Dama Math. Chociaz robila co do niej nalezalo, dobrze wiedzialam, ze latwo sie meczy, jej twarz chudla pod kwefem, a jej skora stawala sie coraz bardziej przezroczyta. Czesto teraz sciskala w palcach kolka modlitewne, a mimo ze trzymala je mocno, nie umiala powstrzymac drzenia rak.

Poswiecalam jej tyle czasu, ile tylko moglam, i zadna z nas, jak mi sie wydaje, nie miala ochoty zapytac druga, dlaczego tak jest, ani byc zmuszona na takie pytanie odpowiedziec. Natomiast ona mowila o wiele wiecej niz kiedykolwiek, jakby pozostalo jej niewiele czasu na przekazanie mi ogromnej wiedzy. O leczeniu i o ziolach juz wszystko wiedzialam, bo uczyla mnie tego od dziecka. Teraz opowiadala tez o innych rzeczach i o niktorzych dziwno mi bylo sluchac: uslyszalam o licznych sprawach, ktorymi rzadko kiedy dzieli sie jedno pokolenie z nastepnym.

To, ze mieszkalismy w krainie pelnej duchow i wystarczylo obrocic glowe, by ujrzec jakis slad po Starej Rasie, bylo oczywiste. Wszedzie czyhaly niebezpieczenstwa, ktore niebaczni mogli zbudzic - i o tym powszechnie wiedziano. Ostrzegano dzieci przed chodzeniem do miejsc, gdzie panowal dziwny bezruch, podobny bardziej nastrojowi oczekiwania niz opuszczenia.

Dopuszczono mnie na obrzeza tajemnicy, mimo iz sie o to nie staralam ani Dama Math tego nie zamierzala, dopoki nie zmusil jej obowiazek. Plomien, ktoremu oddawaly czesc Damy, nie zywil sie Moca znana Dawnym. Zazwyczaj wyznawczynie Plomienia wyrzekaly sie tego, co mialo swa siedzibe na wzgorzach, wzywajac swoja wlasna Moc przeciw Mocy obcej. Lecz zdaje sie, iz nawet one w chwilach wielkiej potrzeby szukaly ratunku gdzie indziej.

Pewnego ranka Dama Math zawitala do mnie, a jej twarz byla jeszcze bardziej wynedzniala i blada niz zwykle. Stanela skubiac nerwowo kolka modlitewne i patrzac ponad moja glowa na sciane, jakby unikala mojego wzroku.

-Joisan, cos zlego dzieje sie z Cyartem...

-Mialas wiesci, pani? - zdziwilam sie, gdyz nie slyszalam, by zadeto w rog. W owych czasach zawsze oznajmialismy w ten sposob przyjaciolom podejscie do zamku.

-Z niczych ust ani na pismie - odparla z wolna. - Tutaj. - Puscila kolka i podniosla szczuple palce, by nimi przesunac po opasce nad czolem.

-Sen? - Czyzby i Math przypadlo w udziale tajemnicze dziedzictwo?

-Nie takie to wyrazne jak sen. Lecz wiem, ze przytrafilo sie mu cos zlego, choc nie wiem co ani gdzie. Poszlabym do ksiezycowej studni...

-To nie noc ani nie czas pelni - przypomniałam.

-Lecz można by użyć tej wody... Joisan, muszę to zrobić. Ale... chyba sama nie dojdę... tak to daleko...

Zachwiała się i oparła dłoń o ścianę, aby nie upaść. Pospieszyłam, by ją podtrzymać i wsparła się na mnie. Z trudem doprowadziłam ją do studni.

-Muszę iść, muszę! - Podniosła głos i przestroch, który w nim usłyszałam, przeraził mnie. Kiedy ktoś, kto zawsze trwał jak skała, zachwieje się, to jakby ziemia usuwała się spod stóp.

-Pojdziesz, pani. Czy dasz radę jechać konno?

Nad jej wargi pojawiły się kropelki potu. Patrząc na nią z bliska zobaczyłam, że Dama Math stała się staruszką, jakby z dnia na dzień przygniotło ją brzemie lat. Było to równie straszne, jak jej niepokój. Ale wyprostowała ramiona i uniosła głowę, jakby pełną niegdysiejszej pewności siebie.

-Muszę. Przyrowadź mi konia, Joisan.

Wspierając się ciężko na mnie, wyszła na dziedziniec. Posłałam chłopca stajennego biegiem do kuca, jedno z tych łagodnych, spokojnie klusujących stworzeń, które trzymaliśmy głównie do noszenia juków. Gdy chłopiec wrócił, Dama Math ożyła jak ktoś, kto wypił pokrzepiający kordial. Wsiadła bez trudu i poprowadziłam kuca przez pola do tej samej studni, dokąd wykradłam się pewnej nocy, aby postawić jej moje własne pytanie.

Jeżeli ktokolwiek zauważył nasze wyjście, nie przeszkodził nam. Godzina była wczesna, więc zapewne większość naszych siedziała jeszcze przy śniadaniu. Gdy tak szłam obok kuca, sama poczułam ssanie głodu.

-Cyart! - Głos Damy Math był zaledwie szeptem, ale odezwiała się tak, jakby go wolała i miała nadzieję usłyszeć odpowiedź na wołanie. W przeszłości mało myślałam o łączącej ich więzi, lecz dźwięk jego imienia wymówionego w tej godzinie wiele mi uświadomił. Mimo oschłości, z jaką się do siebie zwracali, byli sobie bardzo bliscy.

Dotarliśmy do studni. Gdy byłam tu sama owej nocy, nie spostrzegłam tych wszystkich śladów obecności innych, często szukających oznak Mocy, która tu miała mieszkać. Studnia była ocembrowana mocno wylobionymi kamieniami, a wokół rosły krzewy. Na ich gałęziach wisiały przywiązane najprzeróżniejsze rzeczy: skrawki wstążek wyblakłe od wiatru i pogody, plecione ze słomy lub cienkich gałązek figurki ludzi, owiec, koni - a wszystko to kreciło się i kołysało nad wodą, zawieszane zapewne na znak potrzeby proszających.

Pomogłam Damie Math zejść z kuca i doprowadziłam ją krok czy dwa, aż uwolniła się od mojej pomocy i szła jak ktoś, kto jej nie potrzebuje. Mając przed oczyma cel, poczuła przypływ czegoś w rodzaju siły. Siegnęła głęboko do kieszeni spodnicy i wyjęła z niej czarnekę akurat mieszczącą się w jej dłoni, zrobioną ze srebra, pięknie polerowaną. Przypomniało mi

się, jak mówiono, iż srebro było ulubionym metalem Dawnych, tak jak od innych kamieni woleli opale, perły, jaspis i jantar.

Gestem przywołała mnie do swego boku i wskazała na ziele rosnące u studni. Miało szerokie ciemnozielone liście, zylkowane białym. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek podobne oglądała.

-Urywaj liść - kazała - i napełnij nim czarke.

Od liścia, gdy go uszczknęłam, rozszedł się przyjemny zapach i zdawało się, że sam zwinął się tak, bym nim mogła jak łyżka nosić wodę. Tafla w studni stała bardzo wysoko, prawie równo z kamienną cembrowiną. Trzy razy zanurzyłam liść i wlewałam wodę, aż Dama Math rzekła:

-Starczy!

Wzięła czarke w obie dłonie i uniosła ją, z lekką dmuchając na wodę, aż się zmarszczyła.

-Nie jest to woda Dziewiatej Fali, która po temu jest najlepsza, ale wystarczy.

Przestała dmuchać i woda ustalała się. Spojrzała znad niej na mnie, rzucając mi jedno z tych spojrzeń, które zawsze wymuszało na mnie posłuszeństwo.

-Myśl o Cyarcie! Niech stanie jak żywy w twojej myśli!

Staralam się stworzyć w myślach obraz mego stryja takiego, jakim ostatnio go widziałam, gdy nalewałam mu strzemiennego przed odjazdem na południe. Zdziwiło mnie, że zaledwie kilka miesięcy stepiło moja pamięć i z trudem przywoływałam rysy jego twarzy. A znalazłam go przecież całe życie!

-To ty mi przeszkadzasz! - Dama Math przyjrzała mi się bacznie. - Co masz przy sobie, Joisan, co maci Moc?

Co miałam przy sobie? Dłonią chwyciłam kryształowego Gryfa ukrytego na piersi. Ociągając się, ponaglana surowym spojrzeniem Damy Math wyjęłam go.

-Powies to tam!

Rzekła to tak władczo, że posłusznie wykonałam polecenie i zawiesiłam lancuszek na galezi jednego z krzewów obok słomianego ludzika. Patrzyła jak to robię, następnie zwróciła wzrok ku swej czarce.

-Myśl o Cyarcie! - powtórzyła rozkaz.

Zupełnie jakby otworzyły się przede mną drzwi - widziałam go teraz wyraźnie.

-Bracie! - usłyszałam krzyk Damy Math. Potem już nie było słów, tylko żalostny szloch. Patrzyła w miseczkę, a jej twarz była pełna smutku i chłodu zarazem.

-Niech tak będzie. - Postąpiła krok naprzód, przechyliła czarke i pozwoliła, by woda wyciekła z niej z powrotem do studni. - Niech tak będzie!

Przenikliwie ostry i czysty dźwięk przeciał ranne powietrze: gong na trwogę z baszty zamkowej! To, czego obawialiśmy się tak długo, nadeszło: nieprzyjaciół musiał być w zasięgu wzroku!

Kuc zarżał cicho i rzucił łbem, szarpiąc wędzidło, chwyciłam więc za cugle. Gdy wysiłkiem ujarzmiłam wystraszone zwierzę, nadal biło w gong. Jego ciemny głos uderzał echem o góry jak grzmot przed burzą. Zobaczyłam, że Dama Math wyciągnęła przed siebie czarke, jakby chciała ją ofiarować jakiejś niewidzialnej istocie i upuściła ją do studni. Potem podeszła do mnie.

Potrzeba działania ożywiła ją, jakby ktoś napelnił jej szczupłe ciało młodością. Lecz jej twarz była twarzą człowieka, który stracił już wszelką nadzieję i spoglądał w bezkresną noc.

-Cyart przesnił swój ostatni sen - powiedziała, wsiadając na spoconego konia. Więcej już o nim nie mówiła, może nie mogła. Przez kilka chwil ciekawiło mnie, co ujrzała w czarce. Ale larum wstrząsnęło wszystkim i z moich myśli pozostała tylko jedna: dowiedzieć się, co zaszło na zamku.

Istotnie były to złe wiadomości i mówił nam o nich Dagale, gdy rozstawiał ludzi, by gotować ich do obrony, która - czego byliśmy świadkami - nie mogła być obroną, ale rozpaczliwa próba zyskania na czasie. Najeźdźcy szli w górę rzeki najłatwiejszą drogą wiodącą od morza do Ithkrypt. Nasi zwiadowcy donieśli, iż mieli łodzie bez zagłi i bez wiosel, które mimo to płynęły pod prąd. A nam zostało niewiele czasu.

Dawno uradziliśmy, że śmiertelna głupota byłoby pozostać na zamku i czekać, aż wrog zmusi nas do ucieczki z ruin. Lepiej więc tym, którzy nie będa walczyć, uciec w górę i starać się przedrzeć na zachód. Nawet kilka razy robiliśmy próby takiej ucieczki.

Na bicie gongu pierwsi ruszyli pasterze, z nimi kobiety i dzieci, na kucykach lub pieszo, obciążeni swymi tobołami, kierując na zachód. Pobiegłam szybko do swojej komnaty, włożyłam w pośpiechu kolczugę, przypasałam miecz i chwyciłam grubą oponczę i przygotowane wcześniej torby podróżne. Yngildy już nie było, a na podłodze komnaty leżały porzucane ubrania, jakby już była splądrowana.

Biegiem przemierzyłam salę i wbiegłam po kilku schodkach prowadzących do komnat Damy Math. Siedziała na swoim krześle o wysokim oparciu, położywszy na kolanach coś, czego dotąd w jej dłoniach nie widziałam: bulawę albo laskę białą jak kosa. Widniały na niej wyrzeźbione runy.

-Pani, twój płaszcz... sakwa... - Obejrzałam się wokół, szukając tego wszystkiego, co musieliśmy mieć zawsze w pogotowiu. Lecz w jej komnacie nic się nie zmieniło, nie było żadnej oznaki, iż zamierza ją opuścić.

-Musimy iść! - Miałam nadzieję, że mimo słabości będzie mogła wstać i pójść. Mogłam jej pomóc, lecz nie miałam dość siły, aby ją nieść. Wolno pokręciła głowę. Widziałam teraz, że oddycha krótko, jakby z trudem nabierała powietrza do płuc.

-Idź... - Z wysiłkiem wydobyła z siebie szept. - Idź... natychmiast... Joisan!

-Nie mogę cię tutaj zostawić, pani. Dagale gotuje się do walki, by osłonić naszą ucieczkę. Ale zamku nie utrzyma. Wiesz, co ustalono.

-Wiem i... - Uniosła rękę. - Długi czas szłam drogą Plomienia, nie korzystając z niczego, co wiedziałam. Lecz gdy się już nie ma nadziei, gdy zamarło serce, wtedy należy tak walczyć, jak się umie. Uczynie teraz to, co powinnam uczynić i może pomścze tym Cyarta i tych, których wiodł ze sobą. - W miarę jak mówiła, jej głos stawał się coraz silniejszy i wyprostowała się na swym krześle, chociaż nie próbowała wstać.

-Musimy iść. - Położyłam dłoń na jej ramieniu.

Czułam, że jest sztywna i nieporuszona i że nie zmuszę jej, by wstała.

-To ty musisz iść, Joisan. Jesteś młoda i być może masz przed sobą przyszłość. Zostaw mnie moim porachunkom z tymi, którzy przyjdą - na swą zgubę!

Zamknęła oczy, a jej wargi poruszały się, kształtując słowa, których nie dane mi było usłyszeć, jakby się modliła.

Nie miała jednak w dłoniach kulek modlitewnych, ścisnęła jedynie rękę. A ręka ta drgała, jakby kierowana własną wolą. Jej koniec przesuwiał się w tę i z powrotem po podłodze, jakby zapisywał runy, chociaż nie pozostawiał żadnych widocznych znaków.

Znając siłę woli Damy Math wiedziałam, że nic jej teraz nie ruszy. Nawet nie spojrzała, by odpowiedzieć na moje pożegnanie. Zdawało się, że odeszła gdzieś daleko i zapomniała o moim istnieniu.

Ociagałam się z odejściem i stałam ciągle w drzwiach: czy wezwać ludzi, kazać wynieść ją wbrew niej samej? Byłam pewna, że nie odpowiada teraz za swe słowa ani czyny. Może wyczytała te myśli z mojej twarzy, gdyż ponownie szeroko otworzyła oczy, a ręka, choć trzymała ją luźno, obróciła się i wycelowała we mnie niby łancę.

-Glupia... w tej godzinie zginę... wiem to. Zostaw mi dumę mojego Rodu, dziewczyno, i pozwól uczynić, co mogę, by wrogę pozabawiał, że wszedł do Ithkrypt. Już jest mi winien krew i upomnie się o nią! Nie będzie to niegodny koniec dla kogos, czyj Rod pieczętuje się

Złamanym Mieczem. Obys ty postapila tak samo, gdy nadejdzie twój czas, Joisan.

Laska zawirowala, wycelowana we mnie. I odeszlam, nie moglam inaczej uczynic, poniewaz bylo to jak nalozone na mnie g e a s. Wola i moc silniejsza ode mnie zawladnela mna cala.

-Joisan! - Gong na wiezy zamkowej zamilkl, wiec uslyszalam wolanie. - Joisan, gdzie jestes!

Zbieglam, potykajac sie po schodach i zobaczylam Torossa w naciagnietym na glowe kapturze, zasznurowanym tak, ze widoczna byla tylko czesc jego twarzy.

-Na co czekasz? - w jego glosie brzmiala zlosc. Podeszedl do mnie, chwycil za ramie i pociagnal ku drzwiom. - Na kon i musisz uciekac, jakby scigali cie kamraci Nocy, co moze okazac sie calkiem mozliwe!

-Dama Math... ona nie chce isc!

Spojrzal na schody, potem na mnie, potraszajac glowa.

-To niech zostanie! Nie mamy czasu. Dagale juz walczy nad rzeka. Oni... oni sami sa jak wezbrana powodzina rzeka! I maja bron, ktora zabija z dalszej odleglosci, niz doleci belt czy strzala. Chodz!

Pociagnal mnie za soba przez prog wielkiej sali i na dziedziniec. Stal tam kon, drugi przy bramie.

-Jedz!

-A ty?

-Nad rzeke, gdziezby indziej? Wycofamy sie, gdy otrzymamy znak tarcza, ze nasi weszli na gorna przelecz. Tak jak bylo ustalone.

Uderzyl mojego konia dlonia w bok i niespokojne zwierz rzucilo sie naprzod wielkim susem, wiec cala uwage musialam skupic na ujarzmieniu go.

Z oddali dochodzily krzyki i jakies inne odglosy, jakby trzaskanie. Nie wyobrazalam sobie broni, ktora je mogla wydawac. Gdy opanowalam konia, zobaczylam, ze Toross jedzie w przeciwnym kierunku, ku rzece. Ogarnela mnie pokusa, by jechac za nim, lecz bylaby mu raczej przeszkoda niz pomoc. Moje zadanie wojenne to podtrzymywac na duchu uciekinierow w drodze.

Po wejsci na gorsze drogi w wyzszych partiach gor mielismy sie rozdzielic na mniejsze grupy, kazda z nich miala byc prowadzona przez pasterza lub lesnika. W taki sposob

chcieliśmy przedrzeć się na zachód, w bezpieczne miejsce - o ile w High Hallack było jeszcze jakies bezpieczne miejsce.

Zanim dojechałam do podnoża góry, gdzie szlak zaczynał wznosić się nad doliną, nagle z bólem przypomniałam sobie: mój Gryf! Zostawiłam go wplatanego w krzak przy studni! Musiałam go odzyskać! Zawrociłam konia i popędziłam go przez pole dojrzałej pszenicy, nie bacząc, że depta kłosy. Oto ciemniejszy krąg drzew, który oznaczał miejsce studni. Wezmę tylko Gryfa, potem skieruję konia na niżej biegnącą drogę, stracę więc niewiele czasu.

Nie myślać o niczym innym jak o tych drzewach wokół studni i tym, co muszę tam odnaleźć, jechałam ostro. Zeskoczyłam z siodła, zanim jeszcze koń się całkiem zatrzymał. Miałam na tyle rozsądku, by zarzucić lejce na gałąź.

Przedarłam się przez pas krzewów, rozkolysując zawieszony tam wota. Gryf... jest! Chwile później trzymałam go bezpiecznie w dłoni. Jakże mogłam być tak głupia i z nim się rozdzielić! Nie mogłam założyć lancuszka na kolczugę, ale rozwiązałam sznurowki u szyi i wepchnęłam mój skarb głęboko za pazuchę.

Zaciągając sznurowki zaczęłam biec z powrotem do konia. Zarżał głośno, lecz ja, z ulgi, że odnalazłam Gryfa, nie słuchałam tego rżenia dość uważnie. Weszłam prosto w niebezpieczeństwo, niby ktoś niespełna rozumu.

Musieli widzieć, jak podjechałam, a przygotowanie zasadzki przyszło im tym łatwiej, że myślałam tylko o błyskotce, która mnie tu sprowadziła. Gdy sięgnęłam po lejce, zaczęli działać z wprawą świadcząca, że to dla nich nie pierwszozna. Znikąd opadła na mnie petla, która zsunęła mi się na ramiona i która sprawnie zacisnęła, unieruchamiając mi ręce. Dzięki swej głupocie wpadłam w niewolę Alizonu.

Kerovan

Więc mój ojciec umarł, a mnie wrog uznał za leżące bez życia na dnie przepaści. Kto teraz panował na Ulmskeep? Jagon - uczepliłem się myśli o jedynym przyjacielu, którego może znaleźć w murach, które widniały przede mną. W czasie miesięcy spędzonych tutaj miejscowi uznali mnie, ale nie zdobyłem sobie stronników, u których teraz mogłbym szukać wsparcia. Lecz muszę w jakiś sposób dowiedzieć się, co zaszło. Wycofałem się za platanine krzewów rosnących u rogu plotu. Nocny wiatr był chłodny. Drzałem na całym ciele i żadnym wysiłkiem nie mogłem powstrzymać tego drżenia. Wszystkie wejścia do zamku były o tej godzinie zawarte, oprócz...

Teraz myślało mi się jasniej. Może wstrząs wywołany widokiem starganego proporca otrzeźwił mnie. Istniało Wyjście Sekretne...

Nie wiem, co sprowadziło tu naszych dziadów z południa. Nie pozostawili kronik i przyczyny ich wędrowki spowite były tajemnicą milczenia. Lecz zbudowana tutaj warownia ich sposób życia dawała powod sadzić, że żyli w ciągłym strachu. Drobne utarczki z

miejscowymi nie mogly nigdy byc az tak powazne, by zmusic przybyszow do takiej przezornosci.

Nie musieli walczyć z Dawnymi o doliny. Po co więc po dolinach te zamki - grody warowne, a w zamkach tajemne przejścia znane tylko panu i jego dziedzicowi w prostej linii? Zupełnie jakby trwały w pogotowiu na czas szczególnie niebezpieczny, gdy taka droga ucieczki jest absolutnie konieczna.

Ulmskeep stał dla mnie otworem, ponieważ mój ojciec w sekrecie pokazał mi takie wyjście pewnej nocy. Znałem drogę do samego serca zamku, który teraz prawdopodobnie był obozem wroga. Jeżeli chce się czegokolwiek dowiedzieć, tedy muszę iść. A w dodatku - oblizalem wargi, czując na nich przykry smak własnej krwi - może ta mroczna budowla ozdobiona podartym i smutno zwisającym sztandarem była ostatnim miejscem, gdzie mnie będą szukać.

Rozeznałem swoje miejsce podług zamku, teraz gdy miałem cel przed sobą i zacząłem iść pewniej, jednak nadal bardzo ostrożnie i chylkiem. Miałem do przebycia trudny odcinek drogi. Skradalem się od muru do muru, szukając ukrycia. W oknach zamku paliły się światła, w wiosce także. Widziałem jak gasły jedno po drugim, a ja posuwałem się w ślimaczym tempie, zmuszając się do cierpliwości i świadom, że pośpiech może mnie zgubić.

Znieruchomiałem z bijącym mocno sercem, gdy przy chacie wyżej na stoku zaczął szczekać pies. Jakis mężczyzna wrzasnął ze złością i zwierzę zamilkło. Minęło sporo czasu, nim dotarłem na miejsce.

W Ulmsdale było mniej śladów po Dawnym niż w innych dolinach na północy. Prawde mówiąc, tylko tu, w cieniu Pięści Olbrzyma, niektóre znaki świadczyły, że znali te doliny, zanim przyszli tu moi dziadkowie. Takim pomnikiem przeszłości, raczej skromnym - był kamienny taras wysoko w skałach, wycięty dla nie wiadomo jakiego celu.

Jedyną niezwykłością tej gładkiej płaszczyzny skalnej były głęboko w niej wryte kształty stworza, którego przyjął za swój znak pierwszy pan na Ulmsdale: Gryfa. Nawet przy marnym świetle jego zarys był wyraźny i mógł mi teraz służyć jako drogowskaz.

Mając Gryfa za przewodnika drapałem się po stoku, z trudem zmuszając do ruchu moje poturbowane i zeszywniałe członki. Wreszcie odnalazłem miejsce na krancu doliny, gdzie pokolenia temu ustawiono sprytnie glazy, by strzegły wąskiego jak szczelina wejścia.

Przecisnałem się między nimi - w ciemność. Dopiero pozbawiony światła pojąłem trudności tej drogi. Wyjałem miecz i nim namierzałem ściany i wyczuwałem, gdzie postawić stopę, jednocześnie odtwarzając w pamięci dalszy bieg trasy.

Wnet ostrze trafiło w próżnię - znalazłem cel. Schowałem miecz do pochwy i przykucnąłem, błaząc rekoma. Tak, oto ta szczelina, która muszę zejść. Obmyślałem to zejście. Po pierwsze, buty uszyte na moje nogi były przeznaczone do zwykłego chodzenia.



Nie czulem sie w nich pewnie, tym bardziej teraz, gdy mialem po ciemku szukac oparcia dla stop. Po prawdzie nie bylem tez pewien, jak mi posluzą w szczelinię moje racice, lepiej jednak będzie, gdy uwolnie je od butow. Zzulem je i przytroczylem do pasa.

Dzięki racicom nie czulem zimna ciagnacego od kamieni. Nie byly tak wzraliwe jak cialo, a uwolniony od obuwia czulem sie na tyle pewnie, ze przerzucilem nogi nad szczelina i zaczalem szukac w dole stopni. Niepotrzebnie sie obawialem - natychmiast natrafilem na nie i podniesiony na duchu zaczalem schodzic. Nie mialem pojecia jak dlugo to będzie trwac. Mowiac szczerze, ojciec nie wszedl na gore, gdy mnie tu przyprowadzil, pokazal tylko to wyjście z korytarza.

I tak pograzalem sie w ciemnosci, a droga zdawala sie trwac bez konca. Miala jednak kres.- Noga wyczulem plaski grunt i z wielka ostroznoscia dolaczylem druga. Teraz swiatlo...

Pogrzebalem w sakwie, szukajac krzesiwa i trzymalem je w pogotowiu w jednej rece, podczas gdy druga wodzilam po scianie, poki nie natrafilem na obly ksztalt drewna. Uderzylem krzesiwem i zaplonela pochodnia, razaco jasna. Nie przystanalem, by wlozyc buty, poniewaz z coraz wieksza ulga stapalem na dotad zawsze scisnietych racicach.

Zaczalem isc w dol podziemnym korytarzem, ktory prowadzil az do zamku. Droga to byla dluga i, jak mi sie zdawalo, w wiekszej czesci uksztaltowana przez przyrode: moze byla niegdys lozyskiem strumienia, ktory sam lub za sprawa ludzka skierowal sie w inna strone. Korytarz byl niski i w kilku miejscach musialem isc na czworakach.

Lecz tu nie obawialem sie, ze ktos mnie zauwazy, wiec mozliwie szybko posuwalem sie po piasku i zwirze. Przez dlugi czas droga wiodla ostro w dol, potem stala sie pozioma i wiedzialem, ze szedlem pod dolina. Zamek musial byc niedaleko.

Moja pochodnia rozjasnila nisze w scianie korytarza i grubo ciosane strome schody. Korytarz prowadzil do pieczary nad morzem, o ktorej mowil mi ojciec. Mialem tu wiec dwie drogi uciezki.

Zaczalem wdrapywac sie po schodach, wiedzac, ze sa dlugie. Wykuto je w skale, na ktorej stal zamek, i wewnatrz jego murow. Wiodly do komnaty mojego ojca. W polowie drogi przystanalem i zgasilem pochodnie pocierajac ja o sciane. Potrzebne mi byly obie rece do szukania oparcia, a poza tym swiatlo mogloby byc widoczne przez szpary, ktore mi pozwalaly obserwowac, co sie dzieje wewnatrz zamku.

Pierwsza szpara odslonila mi widok na jakas kwatere. Na przeciwleglej scianie pelgal ognek kaganka, wiekszosc sali tonela w mroku. Spalo tu kilku mezczyzn, zaledwie garstka.

Szedlem dalej i spojrzalem na wielka sale z gory, znad Wysokiego Stolca. Na kominku plonal ogien, ktoremu nigdy nie dawano zgasnac. Przy nim kiwal sie sennie na lawie sluzacy, a obok spaly zwinięte w klebek ogary - i to wszystko. O tej godzinie nie bylo w tym

nic nadzwyczajnego.

Przed sobą miałem jednak koniec korytarza. Nie mogłem dłużej zwlekać, chociaż przerazala mnie myśl o tym, co może mnie spotkać za tą ścianą.

Często używa się słowa "kochać", by wyrazić łagodniejsze uczucie, jak lubienie albo przyjaźń, czy też ciemniejsze, jak zadanie lub silne przywiązanie, co trwa całe życie. Ja sam wcale tego słowa nie używałem, ponieważ w młodości niewiele miałem do czynienia z uczuciami. Rzeczywiście były dla mnie lek, obawa, szacunek, ale nie "miłość". Nie "miłowałem" swego ojca. W tych dniach, kiedy byłem razem z nim, po tym jak nazwał mnie dziedzicem przy wszystkich, szanowałem go, byłem doń przywiązany i wiernie mu służyłem.

Lecz między nami zawsze istniał mur: moje chowanie i to, że ukryto mnie przed ludzkim wzrokiem. Chociaż przyjeżdżał, aby zobaczyć się ze mną i przywoził drobne podarki, jakie lubią mali chłopcy, chociaż zapewnił mi dobrą opiekę, zawsze wyczuwałem jego skrepowanie wobec mnie. Nie umiałem powiedzieć, czy wynikało ono z przykrości, jaką odczuwał na widok mojej szpetoty, czy może miał sobie za złe, iż tak mnie traktuje i nie potrafi sprzeciwić się mojej matce i otwarcie nazywać mnie synem. Wiedziałem jedynie od najwcześniejszych lat, że nie byliśmy podobni innym ojcom i synom. I długi czas uważałem, że ja sam jestem tego przyczyną, stąd czułem się zawstydzony i winny w jego obecności. Tak, kamień po kamieniu, zbudowaliśmy mur, każdy ze swojej strony, i nie potrafiliśmy go zburzyć. Wielka to szkoda, wiem, gdyż Ulric z Ulmsdale był człowiekiem, którego mogłem "pokochać", jeżeli to uczucie miałoby kiedykolwiek we mnie zakiełkować. Teraz, gdy stałem przed jego komnatą w ciemnościach tajemnego korytarza, ogarnęło mnie jak nigdy dotąd poczucie straty. Jakbym kiedyś stał u wrot miejsca wypełnionego wszystkim, co w świecie najwspanialsze, ale zabroniono mi tam wstępu.

Położyłem dłoń na klamce, która otwierała jedną z płyt drewnianych za wezglowiem łoża z kotarami. Powoli odsunąłem płytę, nasłuchując. Niemalże zatrzasnąłem ją na powrót, słysząc głosy i widząc światło kaganków. Ale przypomniałem sobie, że wyjście to było tak dobrze ukryte, iż rozmowcy nie będą świadomi mojej obecności, chyba że wyczołgam się spod łoża i stanę przed nimi. Miałem możliwość dowiedzieć się, co tu się stało. Przepchnąłem się przez otwór i przesliznąłem mimo wezglowia, całkiem ukryty za sztywno haftowanymi fałdami kotary. Wyszukałem szparę, przez którą mogłem widzieć i słyszeć.

W komnacie znajdowały się cztery osoby. Dwie siedziały na długiej skrzyni przy ścianie, jedna na stolku, a ostatnia zajmowała krzesło z wysokim oparciem, na którym siedział mój ojciec, kiedy przyszedłem pożegnać się z nim.

Hlymer i Rogear. Na stolku dziewczyna. Złapałem oddech. Jej twarz - pominawszy różnice, które zawdzięczała swej płci, była odbiciem mojej! A na krzesle... bez wątpienia, po raz pierwszy w swoim życiu spoglądałem na lady Tephane.

Miała na sobie popielate szaty wdowy, lecz odrzuciła welon do tyłu, odsłaniając włosy. Jej

twarz była tak młoda, że zdawała się być siostrą swej córki, starsza od niej zaledwie o rok czy dwa. Żaden z rysów jej twarzy nie przypominał Hlymera. Natomiast moje oblicze świadczyło, iż rzeczywiście byłem jej synem.

Patrzac na nią, nie czułem nic prócz zaciekawienia. Odkąd dorosłem na tyle, by rozumieć, wiedziałem, że tak naprawdę nie mam matki i pogodziłem się z tym. Gdy przyglądałem się jej teraz, nie czułem nawet związku krwi.

Mówiła szybko. Jej dłonie, o długich palcach, tak piękne, że przyciągały wzrok, błyskały w raptownych gestach. Spostrzegłem, że na jej kciuku lśnił pierścien mego ojca i rozgniewało mnie to, bowiem nosić go miał prawo jedynie władca Ulmsdale i powinien był teraz ciążyć na moim palcu wskazującym.

-To głupcy! Ale jeżeli oni są głupcami, czyżbysmy my też mieli nimi być? Gdy rozejdzie się wieść, że Kerovan zginął w południowych stronach, to dziedziczka zostanie Lisana, a jej małżonek - skinął na Rogeara - będzie władał tutaj w jej imieniu. Mówię wam, że ci najezdźcy oferują nam dobre warunki. Potrzebny im jest Ulmsport, ale nie chcą się o niego bić. Na wojnie nic nie skorzystamy, ponieważ nie uda nam się długo opierać siłę, z jaką wylądują. Komu przyniesie zysk śmierć i zniszczenie? Warunki są szczodre i układami uratujemy dolinę...

-Z chęcią zostanę mężem Lisany i Panem na Ulmsdale - rzekł Rogear, gdy przerwała, by zaczerpnąć tchu. - Co do reszty... - Potrząsnął głową. - To inna sprawa. Łatwo jest dobić targu. Dotrzymać go nie zawsze jest po myśli silniejszego. Możemy otworzyć bramy, ale nie zamkniemy ich później. Oni wiedzą dokładnie, jak jesteśmy słabi.

-Słabi? My? I ty to mówisz, Rogearze? - Tephana spojrzała wprost na niego. - Niemądry chłopcze, czyżbys lekceważył naszą dziedziczną moc? Nie wierzę, by ci najezdźcy dotąd z czymś podobnym się spotkali.

Wciąż uśmiechał się nieznacznym sekretnym uśmiechem, który - jak mi się wydawało - świadczył o tym, iż miał o wiele większe o sobie mniemanie, niż dawał to po sobie poznać. Zdawał się mieć dostęp do tajemnej broni podobnej tej użytej przeciw nam przez wroga.

-Coż, moja droga pani, zamierzasz wezwac tamtych? Lepiej przemyśl to raz jeszcze, a może i trzykrotnie. Jeśli się odezwą, to przybędą nie na twoje życzenie, ale własne, i nielato ci przyjdzie ich okiełznać, jeżeli zechcą pojsć własną drogą. Jesteśmy spokrewnieni, pani, ale w istocie nie z tej samej krwi.

Zobaczyłem, że jej twarz pokrasniała. Wskazała na niego palcem.

-Śmiesz mówić do mnie w taki sposób, Rogearze? - Podniosła głos.

-Nie jestem twoim zmarłym mężem, moja droga pani. - Jeżeli to była groźba, nie pokazał tego po sobie. - Jego rod już był przeklęty, pamiętaj, i łatwo było nim kierować we

wszystkim, co wiazalo sie z tamtymi. Ja odziedziczylem te same sposoby obrony, ktorymi i ty wladasz. Nielatwo mnie urobic ani mi rozkazywac. A nawet twoj malzonek wreszcie uwolnil sie od ciebie, nieprawdaz? Uznal dziedzica swojej krwi na przekor twoim zakleciom i wywarom...

Jej twarz zmienila sie w ledwo uchwytny sposob i poczulem mdlosci, jakby moj duch otarl sie o cos obrzydliwego. W tej komnacie tkwilo zlo, moglem je wyweszczyć, zobaczyc jak naplywa i wypelnia oczekujace naczynie w ksztalcie tej kobiety, ktora dala mi zycie, choc teraz pragnalem o tym zapomniec.

-Ciekaw jestem, z czym mialas do czynienia, moja droga pani, w tym swietym miejscu, gdzie powilas mojego tak znienawidzonego kuzyna? - ciagnal Rogear, nadal z polusmieszkiem, a Hlymer odsunal sie od niego na drugi koniec skrzyni, jakby spodziewal sie, ze jego matka rozpeta jakas sile, z ktora wolalby nie miec do czynienia.

-Jakiego targu dobilas? A moze zdazylas to zrobic przed jego narodzinami? Czy rzucilas zaklecie, aby sprowadzic Pana na Ulmsdale jako malzonka do twego loza? Poniewaz z n i m i masz sprawy od dawna, i nie sa to ci, co ida po Bialej Drodze! Nie, nie staraj sie probowac tego na mnie. Czy myslisz, ze przychodze tu bezbronny?

Jej palec, wycelowany w niego, szybko kreslil w powietrzu. Podobnie jak Riwal w gescie pozegnalnym, i ona pozostawiala slad czy wzor jakis. Slad ten byl ciemny jak dym, a mimo to widoczny w polmroku komnaty, jakby z tej ciemnosci promieniowalo czarne zlo.

Rogear zaslonil twarz dlonia, wnetrzem skierowana ku niej, a wszystkie te linie, ktorymi nasze dlonie sa naznaczone od chwili narodzin, byly widoczne na jego skorze jakby odrysowano je czerwona kreska. Zza dloni nadal sie usmiechal.

Uslyszalem krotki, zduszony jek lady Tephany, reka jej splynela z powrotem na kolana. Pierscien na jej kciuku zdawal sie nie miec blasku, jakby to, co przed chwila czynila, przearlo jego szczery ogien. Pragnalem uwolnic go od jej dotyku.

-O tak - ciagnal Rogear. - Nie jestes jedyna, moja droga pani, ktora szuka mocarnych sprzymierzcencow w tajemniczych miejscach. Mamy wrodzone zamilowanie do takich spraw. Teraz, skoro sie upewniliśmy, zesmy sobie rowni sila, wrocmy do rzeczy. Twoj mily syn... - Urwal i skinal na Hlymera, chociaz ten nie wygladal na milego i siedzial przygarbiony, spojierajac to na matke, to na Rogeara, jakby lekal sie jej, a jego zaczal nienawidzic. - Odkad twoj mily syn usunal druga przeszkode z drogi do Ulmsdale, rzeczywiscie musimy zaczac snuc plany. Ale niezupełnie sie zgadzam, ze powinniśmy wejśc w układy z najezdzcą.

-A czemu nie? - domagala sie odpowiedzi. - Lekasz sie ich? Ty, ktory masz to... - wskazala na jego dlon - czym mozesz sie bronit?

-Nie, osobiscie sie ich nie lekam. Nie zamierzam tez ot, tak sobie, dac im choc troche

przewagi. Wierze, moja droga pani, że istotnie potrafisz wezwąć z górnym grom, który zniszczy ich, jeżeli knują podstęp. Lecz to, co przysłoby na wezwanie, nie będzie wybierać w zniszczeniu, a ja nie zamierzam stracić doliny broniąc jej.

-I tak stracisz Ulmsdale. - Po raz pierwszy odezwała się Lisana. - Poza tym, drogi Rogearze... - niewiele było uczucia w jej głosie, gdy go tak nazwała - nie jesteśmy jeszcze zaręczeni. Czy nie nazbyt wczesnie nazywałeś się panem tej krainy?

Mówiła z chłodem i patrzyła na niego, mierząc go wzrokiem nie jak narzeczonego, ale przeciwnika nad planszą grę.

-Prawde rzekłaś, słodka moja - zgodził się z nią uprzejmie. Gdybym był Lisana, ta uprzejmość nie sprawiłaby mi przyjemności. - Czy tedy zamierzasz być tutaj i panem, i panią?

-Nie zamierzam być pionkiem w twojej grze, Rogearze - odcięła się, nie okazując strachu.

Wpatrywał się w nią jakby przyglądał się stworzeniu nieznanemu i nieobliczalnemu. Zdawało mu się, że jego oczy zweziły się nieco. Odwrócił wzrok od niej i spojrzał na jej matkę.

-Moje gratulacje, pani. Wciąż i tu masz strażę.

-Oczywiście. Czyżbyś nie spodziewał się tego? - zaśmiała się. Zawtorował jej.

-Oczywiście, moja droga pani. Ach, jakże szczęśliwie będziemy żyć razem pod jednym dachem. Widzę przed nami wiele zabawnych wieczorów, gdy będziemy na sobie wypróbowywać zaklęcia i bronie.

-Nie będzie żadnych wieczorów - warknął Hlymer - chyba że postanowimy, jak utrzymać Ulmsdale. A ja widzę, że my niewiele zrobimy, skoro klęskę ponieśli wielcy panowie. Ulmsport stoi otworem, wystarczy tylko sprowadzić większą siłę i wylądować. Zamek będzie się bronił dzień, może dwa, ale... - Wzruszył ramionami. - Słyszeliście wieści. Skonczymy jak tamci.

-Ciekaw jestem... - Z twarzy Rogeara znikł cień uśmiechu. Przeniósł wzrok z Tephany na Lisane i z powrotem. - A gdyby nie wylądowali? Wiatr i fale, wiatr i fale...

Lady Tephana słuchała uważnie, patrząc na niego tak przenikliwie jak on wcześniej patrzył na Lisane.

-Do tego potrzebna jest Moc.

-Która po części posiadasz i - skinał na dziewczynę - moja słodka posiada, i do której ja mogę swoją dolożyć. Wiatr i fale mają tę przewagę, iż zdarza się zwykłym żywiom i nikt

nas nie posadzi... Bedziemy bez winy. Do pewnych granic, moja droga pani, postępuj jak umyslisz, ale nie układaj się, albo tylko udawaj, że się układasz. Wówczas wiatr i fale...

Zwilżyła wargi koniuszkiem języka.

-To potężne wezwanie.

-Czyżby ponad twe siły?

-O nie! - odparła natychmiast. - Lecz możemy tego dokonać we troje, naprawdę zjednoczeni. I potrzebne nam będą siły życia, z których będziemy musieli czerpać.

Wzruszył ramionami.

-Wielka szkoda, że tak dokładnie wykarczowaliśmy ludzi wiernych twemu małżonkowi. Nienawisc może żywić taką siłę, toteż przydałaby się nam ich nienawisc. Na przykład ten gderliwy Jagon...

-Rzucił się na mnie z mieczem! - odezwał się swidrującym głosem Hlymer. - Jakby kaleka mógł mi coś zrobić!

-Kaleka, owszem, nie - przyznał Rogear. - Lecz gdyby Jagon był tym mężem co niegdyś, to nie wiem, mój przyszły bracie. W każdym razie są inni, z których możemy ciągnąć siłę żywota. Jeśli się zdecydujemy...

Lisana, dotąd trzymająca się na uboczu, straciła swój chłód. Zobaczyłem, że w jej oczach goreje zachłanna żądza.

-O tak! - wykrzyknęła. - Tak!

Po raz pierwszy Rogear zdradził cię niepokojem i ozwał się do lady Tephany, a nie do jej córki.

-Lepiej uspokój swoje wiedzmię, moja droga pani. Niektórzy gwałtem biegna tam, gdzie roztropniej byłoby stąpać ze zdwojoną ostrożnością.

Lisana zerwała się na nogi tak nagle, że jej stolec zachwiał się, pociągnięty spodnica.

-Nie ucz mnie, Rogearze! Pilnuj swej własnej Mocy, o ile jest taka, jak twierdzisz!

-Wszyscy będziemy baczyc na swą własną Moc - odezwała się lady Tephana. - Lecz taki zamiar wymaga przygotowania, i tego nam teraz pilnować.

Wstała, a Hlymer podbiegł do niej podając jej niezgrabnie ramię. To tak, pomyślałem, jakby wolał jej towarzystwo od bliskości Rogeara. Za nimi podążyła Lisana. Rogear został sam.

Dlon powedrowala mi do rekojesci miecza. To, co tu uslyszalem, napelnilo mnie przerazeniem, choc wyjasnilo wiele. Bylo oczywiste, ze ci tutaj poslugiwali sie Mroczna Sila i ze nie byli w tym nowicjuszami. Ze oni - a przynajmniej lady Tephana (nigdy nie pomyslallem o niej jako o matce) od dawna parali sie taka moca, wyznali sami. Jezeli opetano mojego ojca, jak to dal do zrozumienia Rogear, to tlumaczylo to wiele i teraz moglem mu wszystko wybaczyć. Mur miedzy nami legl w gruzach - za pozno, by on sie o tym dowiedzial.

Teraz zamierzali sciagnac Moc wielkim wezwaniem. Moze uratuje to Ulmsdale - dla nich. Czy osmielilbym sie przeciwstawic swoje wlasne umilowanie kraju jego ocaleniu? Jezeli zdolaja obudzic niektore z odwiecznych sil drzemiacych w tej ponurej ziemi i obrocic je przeciw wrogowi, to nawet nienawidzac, musialem ich w tej chwili uwazac za sprzymierzencow. Patrzylem wiec, jak Rogear wychodzi z komnaty, ale nie wyzwalem go na miecze.

Myslalem tylko o jednym. Nie mialem pojecia, jakie moga byc skutki czynu, o którym mowili. Mimo znakow towarzyszacych memu narodzeniu, nie bylo we mnie zdolnosc podobnych tym, ktore posiadali we troje. Na tej ziemi byl tylko jeden czlowiek, u ktorego moglem szukac oswiecenia i rady, czy wolno mi zezwolic im na to, by zachowali doline, czy tez wszystkimi dostepnymi srodkami temu przeszkodzic. Gdzie krylo sie wieksze niebezpieczenstwo - w sprowadzeniu Mocy czy zezwoleniu, aby najezdzca tu wszedl? Nie umialem tego rozstrzygnac, lecz moze robi to Riwal, w takich rzeczach uczony.

W ojcowskim zamku moglem spodziewac sie jedynie pulapki. Im szybciej stad sie wydostane, tym lepiej nie tylko dla mojego wlasnego bezpieczenstwa, ale i dla przyszlego bezpieczenstwa samej doliny. Wycofujac sie z komnaty wspominalem Jagona. Nie watpilem, ze Hlymer zmusil go do walki. Przyjdzie dzien, ze mi za to zaplaci.

Gdy dotarlem do glazu na zboczu oznaczonym Gryfem, noc miala sie juz ku koncowi. Bol potluczonego ciala i glowy spotegowalo zmeczenie, ale czas naglil. Im szybciej spotkam sie z Riwalem, tym lepiej. Byla to dluga droga dla pieszego, a w trzewiach czulem glod.

Nie wiem, jak mialyby sie sprawy ze mna, gdybym nie spotkal kupca. Gdy przemykalem sie obrzezami doliny, natrafilem na ni to dukta, ni droge, cos w rodzaju szlaku, jakim w lecie chodza myśliwi i kupcy, szczegolnie ci, ktorzy zmierzaja na Odlogi.

Skrylem sie, gdy dolecial mnie odglos kopyt konskich na cyplu kamiennym, poniewaz bylem pewny, iz nawet jezeli nadjezdzejacy nie jest nieprzyjacielem, to od niego dowiedziec sie o mnie beda mogly mniej przychylnie mi osoby. Dopiero gdy ujrzałem, jaki to maz dosiadl kudlatego kuca i prowadzi obok drugiego, moje obawy pierzchly.

Zatrzymal sie dokladnie naprzeciw gestwiny, w ktorej sie ukrywalem, i uniosl obrana z kory galaz, ktora trzymal w dloni. Nie byla to laska ani tez rozga - na to byla za gruba.

-Paniczu Kerowanie! - Nie podniosl glosu, odezwal sie raczej przyciszonym tonem, a mimo to jego slowa wyraznie mnie doszly.

Mial na sobie skory i grubo tkana odziez z surowej welny jak biedny wedrowiec. Teraz zsunal kaptur odslanjajac twarz, jakby chcial dac mi sie rozpoznac. Ale nie przypominalem sobie, bym go kiedykolwiek wczesniej widzial.

W przeciwienstwie do wiekszosci kupcow, mial ogolona twarz, a na jego skorze bardzo slabo zaznaczal sie zarost. Dziwne mial rysy, nie przypominal ludzi z dolin. Krotko strzyzone wlosy, geste i proste, przywodzily na mysl zwierzecze futro, a kolor ich ni to szary, ni brunatny, ni czarny, byl mieszanina wszystkich trzech barw.

-Paniczu Kerowanie! - Powtorzyl moje imie i znow wezwal mnie ruchem laski.

Nie umialem oprzec sie temu wezwaniu. Czy tego chcialem, czy nie, musialem powstac na nogi i brnac przez zarosla, aby stanac przed kims, kto mogl okazac sie moim smiertelnym wrogiem.

Joisan

Branka Alizonczykow! Znajac wszystkie mroczne i straszliwe opowiesci uciekinierow, spodziewalam sie ujrzec wkolo siebie demony, gdy sznur, ktory petal mi ramiona, wyszarpnal mnie zza zarosli na otwarta przestrzen. Lecz byli to tylko ludzie, jednak w ich twarzach zobaczylam cos takiego, ze przerazona, poczulam suchosc w ustach. Mozna meznie zniesc szybka smierc, ale sa inne rzeczy...Rozmawiali, rozesmiani, i dziwny byl ten ich jezyk. Ten, ktory zdawal sie nimi dowodzic, podszedl do mnie i pociagnal za nie zawiazane sznurowki kolczugi u mojej szyi, zerwal gwaltownie misiurke i moje wlosy rozsypaly sie na ramionach. Poglaskal je dlonia, a ja marzylam, by miec sztylet w garsci. Ale sznur byl starannie zasuplany i nie moglam sie ruszyc.

Zwiazana wiedli mnie z powrotem do Ithkrypt. Ale nie zdolali dowiesc do zamku, bowiem zanim weszliśmy na dziedziniec, gdzie tloczyl sie nieprzyjaciel, blysnelo nagle jasne swiatlo z wiezy, a za nim potoczyl sie glos potezny jak grom. Potem, gdy w mojej glowie dzwieczalo jeszcze od straszliwego huku, tak ze oszolomiona o malo co nie upadlam na ziemie, zobaczylam cos, w co trudno mi bylo uwierzyc. Mury Ithkrypt zaczely sie chwiac, miedzy kamiennymi blokami, z ktorych je wzniesiono, pojawily sie wielkie szczeliny. I te mury runely, przygniatajac swym ciezarem wielu zolnierzy wroga, a wokol podniosla sie duszaca kurzawa.

Przez oblok kurzu slyszalam wrzaski i krzyki, chcialam uciekac. Ale los byl przeciw mnie, poniewaz koniec sznura trzymal mnie niby kotwica.

Czy wybuch byl dzielem owych potworow, ktorymi dowodzili najezdzczy? Bylam pewna, ze nie, przeciez nie zgladziliby w taki sposob wlasnych ludzi!



Dama Math! Lecz jakże ona mogła tego dokonać? Do glebi poruszył mna widomy znak Mocy, która, jak mi się wydawało, mogli powoływać jedynie Dawni albo Madre, które parali się zabronionymi rzeczami. Madra i Dama - były to przeciwności. Lecz czym była Math, zanim oddała swoją wolę władzy Plomienia? Wielką była cena jej krwi, na miarę naszego Rodu, tak jak to obiecała. Mimo ogarniającego mnie leku czułam radość. Nasi mężczyźni zawsze byli waleczni. Mój własny ojciec padł w walce z pięcioma banitami z Odlogów i zabrał ze sobą czterech z nich. A teraz ci zamorscy przybysze poznali, iż nasze kobiety też walczyć potrafią!

Oto przede mną jedyna okazja ucieczki! Szarpalam sznur. Kurzawa opadła i mogłam zobaczyć, w jaki sposób jestem uwięziona. Ten, który mnie tutaj prowadził opasany drugim końcem sznura, leżał twarzą do ziemi, a bary przygniatał mu głowę.

Pomyślałam, że zabiję i zaczęłam się szarpać tym zaciekłej. Będzie być przywiązana do trupa to rzecz najstraszniejsza ze wszystkich. Ale sznur trzymał mocno, byłam tak spętana jak koń u drzwi karczmy.

I tak mnie znaleźli, gdy wydobywali się z ruin Ithkrypt i nadbiegali z ciężkim tupotem nad rzekę. Po naszych nie było śladu prócz trzech ciał na drodze. Zrozumiałam, że oddział Dagalego życiem zapłacił za czas dany uciekającym.

Tylko przez krótką chwilę był nieprzyjaciel w rozsypce. Gorzko żalowałam, że nie mogliśmy z niej skorzystać i poczynić między nimi więcej szkód, póki trwali w oszłomieniu. Teraz nie wątpię, że wszyscy więźni do niewoli zapłacił karą za te niespodzianki. Strach zmroził mi ciało i na wpol oglupił rozum.

Dama Math wybrała najlepsze. Zginęła, owszem, ale z godnością. Oczywiście było, że nie dany mi będzie taki koniec, chociaż nie zostałam zgładzona natychmiast, gdy znaleźli mnie przywiązana do mojego zdobywcy. Przecieli sznur i pociągnęli mnie za sobą z ruin Ithkrypt nad rzekę, gdzie zatrzymała się grupa ich oficerów.

Jeden z nich znał język dolin, choć wymawiał słowa gardłowo. Wciąż byłam tak ogłuszona strasliwym wybuchem, że prawie go nie słyszałam. Kiedy nie odpowiadałam na jego pytania, wściekle mnie spoliczkował. Lzy stały mi w oczach z bólu i wstyd mi było, że je widzą. Zebrałam resztki swojej dumy i starałam się stać przed nimi z podniesioną głową, jak przystało dziedzicze mojego Rodu.

-Co-to-było?

Przysunął swoją twarz do mojej, a oddech miał wstretny. Brodę okrywał mu szczecinowaty zarost, na policzkach występowały czerwone plamy, a zylkowy nos był napuchnięty. Miał bystre, okrutne oczy i byłam pewna, że nie jest to głupiec.

Nie musiałam skrywać tego, czego byłam prawie pewna. Może właśnie powinnam to wyjawic, ponieważ nawet oni winni wiedzieć, iż High Hallack krył wiele tajemnic, a ich

wiekszosci ludzie nie zglebili.

-Moc - powiedzialam.

Zdaje sie, wyczytal z mej twarzy, ze mowie to, co uwazam za prawde. Jeden z jego kompanow zadal pytanie w obcym mi jezyku. Odpowiedzial nie spojrzawszy na pytajacego, nie spuszczal ze mnie oczu. Wchwile potem postawil nastepne pytanie:

-Gdzie czarownica?

Znowu powiedzialam prawde. Chociaz nie uzywalismy tego okreslenia, wiedzialam, o co mu chodzi.

-Byla wewnatrz.

-Dobrze. - Teraz sie odwrocil i objasnial cos innym. Przez chwile rozmawiali ze soba.

Czulam sie slaba i zmeczona. Mialam ochote upasc na ziemie. Bolala mnie bezustannie glowa, jakby huk uszkodzil cos w glebi mojej czaszki, a rozpacz z powodu pojmania ciazyla jak olowiany plaszcz na mych ramionach. Mimo to staralam sie jak moglam trwac w postanowieniu, aby sie nie ugiac.

Obrocil sie znowu twarza do mnie i tym razem zmierzyl mnie przenikliwym spojrzeniem od stop do glow. Usmiechnal sie grubymi wargami, a z zarostu blysnely ku mnie wyszczerzone zebry, jak u tych mezczyzn, ktorzy mnie pojimali.

-Nie jestes ty wiejska dziewczka, takim na grzbiet nie daja kolczugi. Mysle, ze nie byly zdobycz nam sie trafila. Ale o tym pozniej.

Zezwolono mi wiec na odpoczynek. Na jego rozkaz pozostawili mnie na brzegu rzeki, gdzie gromadzono lodzie, a z nich wyskakiwali zbrojni i nie bylo temu konca. Zdawalo mi sie, ze jest ich tylu, ile klosow zboza na polach. Jakze nasz malutenki oddzialik mogl miec nadzieje, ze ich powstrzyma chociazby na chwile? Czyz jeden kamyk moze powstrzymac przyplyw wody wiosna?

Tam tez zobaczylam, co sie stalo z naszymi ludzmi. Niektorzy padli w boju - ci szczesliwsi. Pozostali... nie, niech zamkne za tym wspomnieniem wrota pamieci. Uwierzylam, ze najezdzczy nie byli ludzmi. Byly to demony.

Wydawalo mi sie, ze bacznie pilnowali, bym to wszystko dobrze widziala, zeby mnie zlamac. Zle mnie osadzili, poniewaz przez to stalam sie jeszcze mniej sklonna nagiac sie do ich woli. To niewazne, jak sie umiera, ale w jaki sposob wita sie smierc. To odnosi sie tak do meza, jak i niewiasty z dolin. Czulam, jak ogarnia mnie zimno, stawalam sie podobna stali z Odlogow dwakroc hartowanej trwalszej od wszystkich rzeczy z naszego swiata. Zaklelam sie, ze jak Dama Math i ja bede musiala sie postarac, aby moja smierc sprawila

na najeźdźcach wrażenie.

Lecz na razie zdawało się, że zapomnieli o mnie. Nadal byłam spętana, a sznur przymocowano do lancucha jednej z łodzi. Od czasu do czasu ktoś podchodził i przyglądał mi się, jakbym była złapanym zwierzęciem. Macali moje włosy i twarz i gadali w swoim języku, pewnie ostrzegając mnie, bym nie robiła niczego, bo pozaluje. Lecz żaden nie posunął się dalej.

Nadciągała noc. Rozpalono wiele ognisk i najeźdźcy spędzali stada owiec i bydła, część od razu poświęcając na rzeź.

Kilku jeźdźców pospieszyło w dół doliny w pościg za naszymi ludźmi. Błagałam Plomien, aby uciekinierzy zdążyli dojszć do skał, gdzie oczekiwali ich przewodnicy, którzy poprowadzą ich ścieżkami znanymi jedynie ludziom z dolin.

Raz spostrzegłam niewielki oddział, który powrócił, słyszałam przez pewien czas krzyk kobiet i pojęłam, że schwytano niektórych z naszych. Staralam się nie słyszeć i nie myśleć. Na ziemi zstąpiła ta cząstka Zewnętrznych Ciemności, skąd wypelza i gdzie gromadzi się wszelkie Zło, a temu Złemu nie ma końca.

Myslałam, jak skończyć z sobą, zanim zechce zabawić się mną. Rzeka... czy to możliwe? Gdybym przesunęła się wzdłuż lancucha, do którego byłam przykuta, może by mi się udało rzucić do wody.

Toross - pomyślałam. Co z nim? Nie widziałam jego ciała wśród innych trupów. Może udało mu się uciec w ostatniej chwili. Jeżeli tak, to w swoim złodowiaczym sercu odnajdywałam miejsce dla niego i życzyłam mu jak najlepiej. Dziwne, lecz na myśl o nim stanała mi przed oczyma jego twarz jak żywa. Pod moją kolczugą i kaftanem coś gorzało. Gryf. Nieszczęsna błyskotka, przez którą znalazłam się w niewoli. Był coraz gorętszy, prawie jak rozpalone żelazo na mej skórze. Płynęła od niego powódź ciepła, ale i coś innego: wracał mi siła, wiara w siebie na przekór wszystkiemu, co widziałam i słyszałam wokół. Był niby spokojny głos zapewniający mnie, że istnieje wyjście i że ocalenie jest blisko, mimo iż rozum mówił mi coś innego. Lek stał się uczuciem odległym i małym, łatwym do pokonania. Moj wzrok i słuch wyostrzyły się. Słuch! Nawet przez hałasy obozu wyłowilałam ten dźwięk. Coś szło w dół rzeki!

Nie potrafiłabym powiedzieć, skąd mi to przyszło do głowy, ale wiedziałam, że muszę być gotowa. Może oszłomilo mnie zmęczenie, lek i rozpacz. Lecz byłam przekonana o ratunku, jak o tym, że nadal żyje i oddycham.

-Joisan! - Szept nikły jak pajęczyna, lecz dla moich wyczekujących uszu niby krzyk. Zlekkałam się, że usłyszy cały oboz.

Balam się odpowiedzieć, ale nieco obróciłam głowę w kierunku, skąd głos doszedł, w nadziei, że zrozumieją ten gest.

-Przesun sie... w te strone... - Słowa dobiegaly znad rzeki. - Jesli... mozesz...

Staralam sie wykonac polecenie, ale trwalo to dlugo i bylo jak tortura. Bacznie obserwowalam wszystko, co mnie otaczalo, siedzac tyłem do glosu, aby nie zdradzic sie z nadzieja. Wreszcie poczulam mokre rece na swoich i ciecie nozem po sznurze. Wiezy opadly, a tamte rece pochwycily moje, zesztyniale. Moj wybawca po pas tkwil w wodzie.

-Zsun sie! - polecil.

Mialam na sobie kolczuge i dluga spodnice. Nie dalabym rady plynac z takim ciezarem. Ale pragnelam szybkiej smierci. Musialam odczekac, az sciezka obok przejdzie oddzial nieprzyjaciela. Nie spojrzeli w moim kierunku. Obrocilam sie i spadlam. Pochwycily mnie czyjes rece. Nie zdazylam zaczerpnac powietrza, poszlam pod wode.

Porwal nas prad w miejscu, gdzie bieg strumienia byl najpredszy. Walczac z woda dlugo nie moglam wyplynac. Zachlysnelam sie; myslalam, ze to koniec. Tamten wciaz walczyl o mnie, ale niewiele moglam mu pomoc. Wreszcie rzucilo nami o glaz, ktorego sie uczepil i podtrzymywal moja glowe nad powierzchnia.

Jego twarz znalazla sie blisko mojej i nie zdziwilo mnie to, bo byl to Toross.

-Pusc mnie. Dajesz mi mozliwosc szybkiej smierci, kuzynie. Za to ci jestem wdzieczna...

-Daje ci zycie! - odrzekl, a na jego twarzy malowalo sie zdecydowanie. - Trzymaj sie tego, Joisan! - Zmusil moje rece, by chwycily glaz. Wyczolgal sie z wody i stanal, a potem sam, bo mi niewiele wlasnych sil zostalo, wywlokl mnie na brzeg.

Los chcial, byśmy wyladowali po drugiej stronie rzeki na dzikich pastwiskach, w dol od ruin Ithkrypt. Miedzy nami a pogorzem na zachodzie stala cala potega wroga. Toross drzal, bo byl ubrany jedynie w lniana koszule, bez kolczugi. Ze swiezego ciecicia na jego policzku saczyla sie krew.

-Wstawaj! - Zlupal mnie za ramie i postawil na nogi.

Moja zmoczona dluga spodnica wiezila je, a kolczuga ciazyła niby martwe cialo. Ale szlam naprzod potykajac sie, nie wierzac, ze osiagnelismy tak wiele i ze jeszcze nie wszczeto alarmu z powodu mojej ucieczki.

Dowleklismy sie do sterty kamieni i upadlismy raczej na nie, niz skrylismy sie za nimi. Siegnelam sznurowek kolczugi, zeby sie od niej uwolnic, ale Toross zlupal mnie za reke.

-Nie, to ci sie moze jeszcze przydac. Niedaleko odeszlismy od paszczy smoka.

Nie musial mi o tym przypominac. Nie mialam broni, a nie zauwazylam, by Toross mial przy sobie cos wiecej niz noz. Moze porzucil miecz, gdy okazal sie zbyt ciezki, by z nim

sprawnie plynac. Mielismy tylko to jedno ostrze i kamienie na ziemi, za ktore mogliśmy chwycic, jezeli znajdziemy sie w potrzasku.

-Musimy dostac sie na wzgorza. - W zapadajacych ciemnosciach wskazal na stoki. - I postarac sie obejsc tych rzeznikow, dolaczyc do naszych. Ale lepiej poczekać nocy.

Czulam potrzebe dzialania i uciezki. Jak najdalej od ognisk i odglosow zza rzeki! Lecz to, co mowil, bylo rozsadne. Odkrylam, ze cierpliwosc tez moze byc tortura.

-Jak... udalo ci sie ujsc z zyciem z bitwy nad rzeka? - zapytalam.

Musnal rozciety policzek, ktory przestal krwawic, ale zakrzepla krew zamienila jego twarz w czerwona maske.

-W ostatnim natarciu mi sie dostalo. Ciecie ogluszylo mnie na tyle, ze mysleli, zem poległ. Gdy uswiadomilem sobie, ze musze udawac trupa, by przezyc, udawalem. Potem udalo mi sie zbiec, ale z ukrycia spostrzeglem, jak cie wioda z Ithkrypt. Co tam sie stalo, Joisan? Dlaczego obrocili swoja niszczyielska sile przeciw wlasnym wojskom?

-Tego nie dokonali najezdzczy, ale Dama Math. Posluzyla sie Moca.

Przez chwile milczal, a potem zapytal:

-Jak to mozliwe? Byla Dama, Dama z Klasztoru Norstead.

-Zdaje mi sie, ze zanim zlozyla przysiege Plomieniowi, posiadla inna wiedze. Jej wyborem bylo tej wiedzy uzyc na koniec. Czy nie sadzisz, ze moglibysmy juz ruszyc, Torossie?

Dygotalam w swoich przemoczonych szatach, choc bardzo staralam sie opanowac. Chociaz mielismy pozne lato, ten wieczor smakowal juz jesienia.

-Czekaja tam. - Uklakl, spojierajac na rzeke.

-Wrog... czyzby zdolali sie wedrzec tak wysoko? -

Uśmiech losu zdawal sie blednac.

-Nie... Angarl i Rudo. - Toross wymienil giermkow, ktorzy towarzyszyli mu z poludnia. - Matka odeslala ich; mieli mnie przekonac, bym wrocil w gory. Gdybym nie ujrzal ciebie w rekach tych Ogarow z Alizonu, moze dalbym sie namowic.

Nie bedziemy wiec sami, jezeli uda sie nam dotrzec do jego ludzi, i to mi przynioslo pocieche, chociaz obaj giermkowie byli starzy, zgorzkniali i ponurzy. Ponadto Rudo mial jedno oko, a Angari wiele lat temu stracil dlon.

Zaczelismy odwrot. Nie rozumialam dlaczego nas nie zauwazono? Szukalismy kryjowek

wszedzie, gdzie tylko sie dalo na tej dzikiej ziemi. Trudno mi tez bylo pojac, dlaczego moja ucieczka nie spowodowala zadnego dzialania. Spodziewalam sie natychmiastowego poscigu - widac uwazali, ze utonelam w rzece.

Natrafilismy na waski szlak, ktory wil sie do gory, i Toross przyspieszyl kroku. Nie chcialam sie przyznac, ze coraz trudniej mi bylo isc, zbieralam ostatki sil, aby nadazyc. Spoczal teraz na mnie ciezar wdziecznosc. Oczywiscie, bylam mu wdzieczna, jak kazdy komu darowano zycie. Ale to, ze ocalil mi je Toross, moglo w przyszosci przysporzyc mi klopotow. Choc w tej chwili nie czas sie o to martwic - jedyna wazna rzecz bylo wytrwale isc do celu.

Mimo ze mieszkalam w dolinie od urodzenia, mialam zaledwie ogolne pojecie, gdzie zmierzalismy. Musielismy kierowac sie na zachod, ale by tam sie dostac i wyminac patrole nieprzyjaciela, najpierw nalezalo isc na poludnie. Meczarnia byly dla mnie mokre buty. Dwa razy stawalam i wyzimalam spodnice, ktora oblepiala mi nogi i tarla bolesnie o skore. Toross prowadzil pewnie, jakby wiedzial dokladnie, dokad zmierza, a ja moglam tylko isc za nim i ufac mu.

Natrafilismy na inny szlak, slabiej widoczny, ale latwiejszy niz ten, ktorym szlismy dotad. Odbijal na zachod. Jezeli wrog nie przeczesywal terenu na tej wysokosci, to uda sie nam obejsc jego pozycje. Znowu dobiegly nas przerazliwe krzyki jencow z przeciwleglego brzegu rzeki. I znow staralam sie ich nie slyszec, bo w zaden sposob nie moglam im pomoc. Toross nie zwolnil kroku, szedl rowno dalej. Czy krzyki budzily w nim gniew, nie wiem. Nie rozmawialismy w drodze, szczedzac oddechow.

Mimo wszelkich staran nie poruszalismy sie bezszelestnie. Szuraly stapniecia na kamieniu, trzasnela pod stopa galazka, zaszelescily rozchylane zarosla. A po kazdym takim dzwieku, ktory mogl nas zdradzic, nieruchomielismy i czekali nasluchujac.

Na razie szczescie nas nie opuszczalo. Wschodzil ksiezyc w pelni, jak ogromna lampa na tle nieba. Mogl oswietlic nam pulapki w drodze, ale rownie dobrze ujawnic nas polujacym. Toross zatrzymal sie. Chwycil mnie za ramie i przyciagnal ku sobie, szepczac mi do ucha:

-Musimy przeprawic sie brodem kupcow przez rzeke. To jedyna droga na wzgorze.

Mial oczywiscie racje, ale dla mnie bylo to jak smiertelny cios. W tak dobrze znanym miejscu przejsc przez rzeke to rzecz niemozliwa! Nawet gdyby nam sie to udalo, mielibysmy przed soba jeszcze kawal drogi przez otwarte pola.

-Nie mozemy isc brodem, zobacza nas.

-Masz lepszy pomysl?

-Nie, procz tego, ze powinnismy sie trzymac zachodniego brzegu. Tutaj wszedzie pastwiska i strome hale, tu nie napadna na nas znienacka.

-Znienacka! - prychnal z gorycza. - Wystarczy, ze z oddali wyceluja w nas swoja bron i zginiemy. Widzialem, co widzialem!

-Lepsza taka smierc, niz wpasc w ich rece. Ten brod to zbyt wielkie ryzyko.

-Tak - przyznal. - Ale innej drogi nie znam. Jezeli ty znasz inna, Joisan, to ty poprowadzisz.

Niewiele wiedzialam o wyzszej czesci doliny, ale to, co wiedzialam staralam sobie teraz w szczegolach przypomniec. Pokladalam nadzieje w pasie lesnym, który skrylby nas jak plaszcz. Mial co prawda zla slawe wsrod miejscowych, bowiem mowiono, ze w srodku tkwia jakies ruiny po Dawnych. Opowiesci te starczaly, by odstraszac nieproszonych gosci i gdybysmy uciekali przed poscigiem ludzi z dolin, wystarczyloby dopasc brzegu lasu, a bylibysmy bezpieczni. Lecz najezdzczy nie wiedzieli o opowiesciach i nic by ich nie powstrzymalo. Teraz nie wspomnialam o legendzie. Spodziewalam sie, ze wlasnie w lesie znajde kryjowke. A gdyby udalo sie nam przebyc las, to moglibysmy isc dalej po obrzezach doliny i potem prosto na polnocny zachod, do naszych.

Im dalej szliśmy, tym wolniej i z większym wysiłkiem. Staralam się przemoc ogromne zmeczenie, zmuszałam mięśnie do pracy. Nie wiedziałam, jak było z Torossem, ale nie ponaglał mnie, gdy tak szliśmy potykając się.

Daleko za nami zostały ogniska obozu wroga. Dwukrotnie rzucaliśmy się twarzami na ziemię, ledwo oddychając, pragnąc wtopić się w nią, gdy pod nami zboczem szli ludzie. I za każdym razem serce bilo mi wściekle, ale przechodzili dalej.

Tak doszliśmy do brzegu lasu i tam szczęście nas opuściło, w chwili gdy nasze nadzieje wzrosły. Za nami rozległ się okrzyk i suchy trzask. Toross jeknął i popchnął mnie z tego miejsca złej wroźby w przód, w zarośla. Czulałam, że pada i obrocilałam się, by go złapać za ramiona. Odtąd na polu prowadziłam go, na polu wlokłam za sobą. Szedł potykając się, niemal całym swym ciężarem wsparty na mnie. W tej chwili myślałam o Damie Math. O, gdybym miała w dłoni jej łaskę i pełnię Mocy w sobie, aby móc spalić tych, co nas ścigali!

Na mojej piersi gorzał ogień, gorący i gwałtowny. Ugięły się przede mną nogi i upuściłam Torossa. Upadł ciężko na ziemię, jęcząc. Zaczęłam szarpać sznurowki mego drucianego kaftana, aby wyjąć spod niego to coś, co sprawiało mi takie cierpienie.

Kula z Gryfem, którą pochwyciłam, parzyła niby ogień. Chciałam odrzucić ją daleko, ale nie mogłam. Gdy tak stałam, słyszałam przed sobą odgłosy stop biegnących i nawoływania. Kula jasniała - ten blask nas natychmiast zdradzi! Lecz coś nie pozwalało mi jej odrzucić ani upuścić. Mogłam tylko stać i trzymać ją niby lampę, która sprowadzała na nas śmierć.



Biegnacy nie dopadli nas, a dzwieki raczej oddalaly sie w dol stoku i dalej w lesie. Uslyszalam raz czy dwa pelne podniecenia okrzyki na nizszej czesci zbocza - jakby kogos scigali tamtedy. Jak to sie stalo, skoro my bylismy tutaj z kula swiecaca jak latarnia?

Nadstawilam uszu: oddalali sie. Trudno mi bylo w to uwierzyc. Kula byla niby pochodnia wojenna, a rzadkie zarosla nie kryly nas. Jednak bylismy wolni, a poscig oddalal sie.

Toross jeknal cicho. Pochylilam sie nad nim. Na jego koszuli widniala poszerzajaca sie plama, a z polotwartych ust saczyla sie struzka krwi. Coz moglam zrobic? Nie wolno nam tu bylo zostac, bylam pewna, ze zaraz wroca.

Upuscilam kule. Zwisla mi na szyi. Nie znalazlam na ciele zadnych oznak oparzen, choc trzymalam ja wbrew sobie w obu dloniach, a byla wtedy jak rozzarzony do czerwonosci wegielek.

-Toross! - Jezeli go rusze, pogorsze jego stan, ale pozostawienie go tu skazywalo go na pewna smierc. Nie mialam wyboru: musialam postawic go na nogi i zabrac stad!

Swiatlo buchajace z kuli oswietlilo jego skulone cialo. Kiedy nachylilam sie nad nim i wzielam go pod pachy, poruszył sie, otworzył oczy i spojrzal prosto przed siebie; zdawal sie mnie nie widziec. Gdy zacisnelam ramiona wokolo jego piersi, ogarnelo mnie dziwne uczucie, dotad nie znane. Od jasniecego krysztalu rozchodzila sie falami energia. Plynela, przeplywala po moich ramionach az po palce...

Toross znowu jeknal i kaszlnal, plujac krwista piana. Lecz gdy

zaczela go podciagac, podniosl sie sam. Stanal na nogach, wsparlam go ramieniem i przepasalam sie jego reka. Zaczela isc na uginajacych sie nogach. Poruszał sie z trudem i calym swym ciezarem wspieral na mnie, ale udalo nam sie postapic pare krokow.

Ratowalo nas to, ze chociaz obrzeza lasu gesto porosniete byly krzewina, pod samymi drzewami poszycie bylo raczej skape. Posuwalismy sie wiec naprzod, oddalajac od niebezpieczenstw czyhajacych na otwartej przestrzeni. Nie wiedzialam, jak daleko uda mi sie niesc Torossa (bo wlasciwie go nioslam), ale postanowilam, ze dojde tak daleko, jak tylko dam rade.

Nie jestem pewna, kiedy zauwazylam, ze idziemy po jakiejs drodze, a raczej po gladkim brukowanym chodniku. W swietle kuli - nadal plonela - widzialam ten bruk porosniety mchem, ale prosty. Toross znowu kaszlnal i znow pokazala sie krew na jego ustach. Weszliśmy w swiatlo ksiezycy. Wkolo nas drzewa tworzyly ciemny mur, a my stalismy na polanie wylozonej kamieniami, na ktora lala sie srebrzystobiala jasnoc z nadzwyczajnym natezeniem, jakby cala moc ksiezycy byla skupiona wlasnie na nas.

## Kerovan

Na tym zboczku ja, Kerovan, Pan na Ulmsdale, stanalem twarza w twarz z ubranym po kupiecku wedrowcem, ktory nie byl kupcem - o czym przekonalem sie, gdy na skinienie jego laski wyszedlem mimo wlasnej woli z ukrycia. Polozyłem dlon na rekojesci miecza, gdy podchodzilem, ale usmiechnal sie do mnie lagodnie i ze zrozumieniem, jakby do wystraszonego dziecka.- Paniczu Kerovanie, nie stoi przed toba nieprzyjaciel. - Opuscil

koniec laski.

Natychmiast zniknal przymus. Nie mialem juz ochoty uskoczyc w tyl i uciec, poniewaz z Jego twarzy czytalem prawde.

-Kim jestes? - Byc moze to pytanie zabrzmialo bardziej oschle, niz zezwalala grzeczosc.

-Czymze jest imie? - odparl.

Koniec laski dotykal ziemi i sunal to tu, to tam, kreslac runy na piasku. Ale on nan nie patrzyl.

-Wedrowiec moze miec wiele imion. Niech na te chwile wystarczy, zem znany jako Neevor.

Zdalo mi sie, ze zmierzyl mnie szybkim spojrzeniem, jakby chcial sprawdzic, czy slyszalem juz to imie. Lecz brak zrozumienia z mojej strony musial byc oczywisty. Wydawalo mi sie, ze westchnal, jakby zalowal utraconej rzeczy.

-Znałem w przeszłości Ulmsdale - ciagnal. - A nie byłem wrogiem Rodu Ulrica ani nie stane z boku, gdy ktos z jego krwi potrzebuje pomocy. Dokad zdazasz, Kerowanie?

Zaczalem podejrzewac kim albo czym mogl byc. Zrozumialem powage chwili. Lecz poniewaz stal przede mna w takim ksztalcie, nie czulem leku.

-Ide do szalasu lesnika szukac Riwala.

-Riwal, ten poszukiwacz drog, ten, ktory wielbil nade wszystko wiedze. Chociaz nigdy nie wszedl szeroka brama, stal na progu,

a ci, którym ja służe, nie odtracali go...

-Mówisz o nim "stal". Gdzie jest teraz?

Czubek łaski, przez chwile nieruchomy, znowu zaczął pisać po ziemi.

-Wiele jest dróg. Zrozum tylko, że ta, która stąd odszedł, ty nie pojedziesz.

Uniknął bezpośredniej odpowiedzi, a ja uchwyciłem się tego, co rzekł przedtem, przeczuwając najgorsze, bo nie mogłem otrząsnąć się z tego wszystkiego, co widziałem i słyszałem nie tylko tej nocy, ale podczas długich miesięcy w południowych stronach.

-Znaczy, że zginał! Z czyjej reki?

Ogarnął mnie zimny gniew. Czyżby Hlymer zabrał mi i tego drugiego przyjaciela?

-Reka, która zadała cios, była jedynie narzędziem. Rival szukał pewnych mocy, niektórzy stanęli mu przeciw. Dlatego usunięto go.

Najwyraźniej Neevor wolał nie mówić prosto, lubił widać wyrażać się pokretnie, przez co zamiast sprawy rozjaśnić, gmatwał je jeszcze bardziej.

-On zwracał się ku Światłu, a nie Ciemności! - Bronilem przyjaciela.

-Czy inaczej znalazłbym cię tutaj, lordzie Kerowanie? Jestem

poslancem tych mocy, ktorych poszukiwal, ku ktorym ciebie kierowal, zanim zadeto w rogi na wojne. Sluchaj dobrze. Stoisz niepewny na szczycie gory, a przed toba rozchodza sie dwie drogi. Nad obiema klebia sie niebezpieczenstwa jak czarne chmury i obie moga zaprowadzic cie do konca, ktory tobie podobni nazywaja smiercia. Twój to los, ze od dzisiejszej nocy mozesz pojsc ta, ktora zechcesz. Mozesz stac sie tym samym, czym sa twoi krewni, bowiem przyszedles na swiat w chramie...

Czyzby wymowil imie? Chyba tak. Lecz nie czlowiekowi je wymawiac. Skulilem sie, przykrywajac dlonmi uszy, aby zamknac je przed straszliwym poglosem dobiegajacym z gornych, stron.

Przygladal mi sie bacznie, jakby chcac sie upewnic, jak sie zachowam. Jego laska wzniosla sie, wskazujac na mnie i splynal z niej obloczek poswiaty, ktory rozbil sie o moja twarz, zanim go moglem uniknac - choc nie poczulem niczego.

-Bracie - powiedzial lagodnym glosem, pozbawionym majestatycznego tonu, ktorego uzywal chwile wczesniej.

-Bracie?

-Jak sie zdaje, gdy lady Tephana dobila swego targu, nie zrozumiala, co dostaje. Ale wyczula to, oj, wyczula. Byles odmiencem, Kerowanie, ale nie stworzonym dla jej celow. To umiala wyczytac. Chciala ulepic powloke z krwi, kosci i ciala, ktora bylaby jej posluszna. Ale ten duch, ktory zamieszkal w tobie, nie przybyl na jej wezwanie. Niewiele skorzysta ten, co naduzyje cierpliwosci Gunnory. Nie wiem, kto patrzy twoimi oczyma. Zdaje mi sie, ze jest jeszcze uspiony lub jeno na wpol obudzony. Lecz nadejdzie czas, kiedy sobie przypomnisz choc

niewiele, i wtedy obejmiesz swoje dziedzictwo. Nie, nie Ulmsdale, bowiem doliny wtedy ci beda ciasne, ale pojedziesz szukac i znajdziesz. Alisci do tego czasu musisz odegrac swoja role tutaj, bos w polowie czlowiekiem z dolin.

Staralem sie zrozumiec. Czyzby twierdzil, ze lady Tephana przed moimi narodzinami siegala do jakiejns nieczystej sily, aby stworzyc cialo-naczynie, ktore napelnilaby objawieniem Ciemnosci? Jesli tak, to znakiem tego mogly byc moje racicami zakonczone stopy. Lecz czym ja bylem naprawde?

-Nie tym, czego sie w tej chwili obawiasz, Kerovanie - szybko odpowiedzial na moja nie wyrazona slowami mysl. - Mieszana masz krew, prawda, ales tez synem swojego ojca, chociaz rzucono na niego urok, gdy mial cie splodzic. Jednakze gdy ona, Poszukiwaczka Mrocznych Sil, chciala stworzyc bron na swoj uzytek, przez uchylone drzwi wpuscila nie to, co zamierzala. Nie moge dla ciebie tej runy odczytac. Sam musisz odkryc wlasna istote i to, czym moglbys byc. Teraz mozesz wrocic, sprzymierzyc sie z nimi i przekonac sie, ze ona przeciw tobie nie stanie. Albo...

Laska wskazala na nagie zbocze gory.

-Albo wejdiesz w swiat, gdzie Ciemnosc i to, co zwiecie smiercia, bedzie weszyc u twoich piet i wiecznie bedziesz poszukiwac Drogi, ku ktorej nie ma przewodnika. Wybor nalezy do ciebie.

-Oni mowia o wezwaniu wiatru i fal, by zmiesc najezdzcce - powiedzialem. - Czy oznacza to dobro, czy zlo dla Ulmsdale?

-Uwolnienie jakiegokolwiek siły pociąga wielkie ryzyko, a ci, co chcą kroczyć starymi ścieżkami, ale nie są z tej krwi, ryzykują podwójnie.

-Czy mogę ich powstrzymać?

Cofnął się. Jego głos wydał mi się chłodniejszy, gdy odrzekł:

-Jeżeli zechcesz.

-Może istnieje trzecia droga. - Już o tym myślałem, gdy wdrapywałem się na te stoki. - Mogę iść do Ithkrypt, powołać się na zew krwi i zebrać wojsko, by odbić Ulmsdale, nim nadejdzie wrog. - Lecz gdy to mówiłem, uświadomiłem sobie, jak nikła była ta możliwość. Cyart walczył na południu i zapewne zabrał ze sobą wszystkich zbrojnych, prócz garstki obrońców. Nie zbywało mu żołnierzy, nawet gdybym tam poszedł o nich zebrać.

-Wybor należy do ciebie - powtórzył Neevor. I wiedziałem, że niczego mi nie doradzi.

Obowiązek wobec Ulmsdale był częścią mego wychowania. Jeżeli teraz odwróce się plecami do ziemi ojca, jeżeli nie zrobię niczego, by uchronić jej mieszkańców od klęski czy wojny z najeźdźcą, czy zakleć tej czarownicy i jej plemienia - to stanę się zdrajcą siebie samego.

-Jestem dziedzicem mojego ojca. Nie mogę odwrócić się od jego ludzi. Ani nie wezmę udziału w ciemnych mactwach tamtych. Być może znajdzie się ludzie gotowi iść za mną...

Potrząsnął głową:

-Nie probuj stawiac muru z ruchomych piaskow, Kerovanie.  
Mrok, ktory zalagl sie w murach Ulmsdale, rozpelzl sie szeroko.  
Zaden zbrojny nie odpowie na tve wezwanie.

Nie watpilem, ze dokladnie wiedzial, co mowi. Neevorowi nie  
mozna bylo nie wierzyc bez reszty. A wiec - lthkrypt.  
Przynajmniej znajde tam schronienie i bede mogl zbierac ludzi i  
prosic o poparcie. A takze wyslac wiesci do lorda Imgry.

Neevor wsunal sobie laske za pas. Potem obrocil sie do kuca,  
ktorego prowadzil i zdjal z jego grzbietu juk.

-Hiku to nie rumak bojowy, ale pewnie stapa po gorach. Wez go,  
Kerovanie, a z nim Czwarte Blogoslawnstwo. - Raz jeszcze  
siegnal po laske i uderzyl mnie nia lekko w czolo, prawe ramie,  
potem lewe i wreszcie nad sercem.

Wtedy poczulem, ze moja decyzja zadowolila go. Jednoczesnie  
tez wiedzialem, iz nie moge miec pewnosc, ze byla sluszna.  
Bowiem los chcial, abym sam wybieral swoja droge i nie kierowal  
sie radami innych.

Zapomnialem o zdjetych butach, ale teraz gdy ruszyłem do kuca,  
zawieszane przy pasku uderzyły mnie w udo. Zlapalem je i  
odwiazalem, gotowy z powrotem je wlozyc, ale poczulem do nich  
wstret. Mialem na powrot ukryc swoja szpetote? Lecz czy  
rzeczywiscie byla to szpetota? Roznilem sie od innych, owszem,  
ale to, co widzialem w komnacie mojego ojca tej nocy -  
zeszpecenie ducha, wydalo mi sie wiekszym zlem.

Nie, nie bede niczego ukrywal. Jezeli Joisan i jej krewni odwroca  
sie ode mnie z obrzydzeniem, to uwolnie sie od nich. Odrzucilem



buty precz, wybierając swobodę, której zaznałem, od kiedy przestałem je nosić.

-Wspaniale - powiedział Neevor. - Bądź sobą, Kerovane, nie daj się rządzić przekonaniem, że jeden człowiek musi być podobny innemu. Mimo wszystko budzisz we mnie nadzieję.

Z wyraźnym zamysłem popędził drugiego kucę kilka kroków naprzód, następnie stanął trzymając dłoń na jego barku i narysował na ziemi krąg wokół siebie i zwierzęcia. Za końcem jego łaski pojawiła się lekka, błękitnawa mgiełka. Gdy zamknął krąg, zagęściła się i skryła obu. Patrzyłem jak błędnie, ale nie byłem zdziwiony, kiedy rozwiła się w nic: kupiec i jego koń zniknęli.

Odgadłem, że był to jeden z Dawnych i że nieprzypadkowo przyszedł do mnie. Lecz zostawił mi wiele do myślenia. Byłem więc połową krwi spowinowacony z tajemniczymi władcami tej ziemi sprzed wieków? Byłem narzędziem ukutym przez własną matkę, choć nie jej mnie użyć. Tak, wiele z tego, co mi powiedział pasowało do rzeczy, o których wiedziałem, i odpowiadało mi na wiele pytań.

Teraz skloniłem się ku mej człowieczej części. Przecież byłem synem Ulrica bez względu na to, co zrobiła ta czarownica, by mnie zmacić. Ta myśl stała mi się drogą, ponieważ przez swoją śmierć mój ojciec stał mi się bliższy i droższy niż kiedykolwiek za życia. Ulmsdale należało do niego. Dlatego też zrobię, co w mojej mocy, by pozostało bezpieczne, a to oznaczało, że muszę jechać do Ithkrypt.

Wcale nie byłem pewny, że kuc jest zwykłym zwierzęciem,

wiedzac czyja reka mi go dala. Lecz zdawal sie byc calkiem podobny do innych kurow tej rasy. Szedl pewnie, jednak natrafialismy na miejsca, gdzie musialem isc pieszo i prowadzic go.

Do czasu switania wszedlem juz wysoko w gory. Gdy rozlozylem sie obozem, zdjalem z darowanego konia cos, czego Neevor nie zabral z tamtym jukiem - mocna torbe ze skory. W srodku znalazlem manierke z drzewa lamantynowego. Nie zawierala wody, lecz bialy napoj, ktory orzezwiail i rozgrzewail lepiej niz znane mi wina. Bylo tam tez okragle pudlo z tego samego drewna z ciasno przylegajacym wieczkiem. Chwile mocowalem sie z nim, a wewnatrz znalazlem suchary tak dobrze przechowane, ze zdawaly sie swiezo zdjete z blachy. Nie byly to tez zwyklye suchary: tkwily w nich kawalki suszonych owocow i wedzonego miesa. Jednym krazkiem nasycilem glod, reszte zostawilem na potem.

Chociaz powieki ciazyly mi, a ciało domagalo sie snu i odpoczynku, przez chwile siedzialem w niszy miedzy dwoma skalnymi zebami, rozmyslajac o wszystkim, co przydarzylo sie zeszlej nocy. Przed siebie wyciagnalem nogi zakonczone racicami. Patrzylem na nie i staralem sie sobie wyobrazic, ze jestem kims, kto widzi je nie uprzedzony. Moze zle zrobilem wyrzucajac swoje buty nie zastanowiwszy sie przedtem - pomyslalem nagle. Nie, te mysl odsunalem natychmiast od siebie. Dobrze zrobilem i tak pojde dalej. Joisan i jej plemie musza ujrzec mnie takim, jaki jestem i przyjac mnie lub sie mnie wyprzec. Miedzy nami nie moze byc nieprawdy lub takich polprawd, jakie osnuly dom mego ojca czarna pajeczyna i ktore trwaly tam nadal, wypelniajac domostwo wstretnymi cieniami.

Odwiązałem sakiewkę od pasa i po raz pierwszy od długich miesięcy otworzyłem futerał i wyjąłem podobiznę Joisan. Patrzyła na mnie twarz dziewczęcia namalowana prawie dwa lata wstecz. Przez ten czas obojgu nam przybyło lat, zmieniliśmy się. Jaka była ta dziewczyna o dużych oczach i włosach koloru jesiennych liści? Czy była cicha, dobrze wyuczona kobiecych zajęć i powinności, ale nieswiadoma świata poza grubymi murami Ithkrypt? Po raz pierwszy myślałem o niej jak o istocie ludzkiej, chociaż wedle zwyczaju należała do mnie tak samo jak miecz u mojego pasa lub kolczuga na grzbiecie.

Niewiele wiedziałem o kobietach. Gdy przebywałem na południu, nasluchałem się przy ognisku chelpliwych opowiadań żołnierzy, jakie zapewne obiegają każdą armię. Lecz nie dodałem do nich żadnego własnego doświadczenia.

Myślałem teraz, że może moja mieszana krew i spuścizna Dawnych naznaczyły mnie czymś więcej niż kopytami, że moje potrzeby i pragnienia odgradzały mnie murem od dziewcząt z dolin. Jeżeli tak, co będzie z moim związkiem z Joisan?

Mogłbym złamać przysięgę, ale to splamiliby jej dobrą sławę, a taki postępek byłby równie niegodny, jakbym stanął przed zgromadzeniem jej krewnych i otwarcie zniesławił ją. Tego zrobić nie mogłem. Lecz gdy spotkamy się wreszcie twarzą w twarz, a ona spojrzy na mnie i odrzuci mnie, nie będę nalegać. Ani nie zezwole, aby z tego wziął początek jakikolwiek spor na dolinach.

Teraz, gdy patrzyłem na jej twarz w świetle brzasku, pragnąłem ją zobaczyć i z niechęcią myślałem o tym, iż być może zerwie przysięgę. Dlaczego posłałem jej Gryfa zamkniętego w kuli? Podczas minionych miesięcy prawie o tym zapomniałem -

przerwana teraz wyprawa do Riwała przywiodła mi klejnot na myśl. Co ciążyło wówczas namnie tak, iż posłałem jej tę cudowną rzecz, jakby tak ogromny dar był konieczny? Staralem przypomnieć sobie teraz kulę kryształową, a w niej Gryfa, co unosi ostrzegawczo szpony... Lecz - co to?

Nie widziałem już pod sobą doliny. Nie widziałem skubiącego trawę kuca. Widziałem... ja!

Ukazała się przede mną tak wyraźnie, że mogłbym sięgnąć i dotknąć spodnicy, na której kleczała. Jej kasztanowe włosy rozsypały się w nieładzie na ramionach, spod rozrzuconych kosmyków błyskała kolczuga. Na jej piersi wisiał Gryf, buchając światłem. Miała posiniaczona twarz, a w oczach lek. Na jej kolanach spoczywała głowa młodego mężczyzny. Miał zamknięte oczy, a na usta występowała mu krwawa piana, znak rany, której już nic nie zdola uleczyć. Jej dłoń łagodnie dotknęła jego czoła, a ona patrzyła na niego w napięciu, które świadczyło, że jego śmierć lub życie nie jest jej obojętne.

Może było to dalekowidzenie, choć jak dotąd tylko raz zakosztowałem tego daru - lub przekleństwa. Wiedziałem, że twarz umierającego nie była moją twarzą, smutek dziewczyny był dla innego. Nie mogłem jej winić, jeżeli to była prawda. Znalismy jedynie swoje imiona. Nawet nie wysłałem jej swojej podobizny, choć mnie prosiła.

Gdy już wytłumaczyłem sobie i spokojnie przyjąłem znaczenie widzianego obrazu, zadziwiło mnie, że Gryf buchał tak jasnym światłem. Zupełnie jak gdyby wiano w te kule życie. Tak... teraz chyba pojąłem przyczynę mojego dziwnego postanowienia, by jej go posłać. Choć ja byłem znalazcą i choć był mi drogim

skarbem, nie mnie był przeznaczony, ale tej, na której piersiach teraz spoczywał, Należał do niej, a nie do mnie. I to też musiałem przelknąć.

Jak długo trwało to dalekowidzenie albo wizja? Nie wiem. Wiem jedynie, że było prawdziwe. Nieznajomy młodzieniec umierał lub umrze, a ona go będzie oplakiwała.

Ale ta śmierć świadczyła, że w Ithkrypt nie znajdzie schronienia. Nie było w zwyczaju kobiet z dolin nosić kolczugi jak wojownik, ale żyliśmy w niezwykłych czasach. Była w zbroi, a jej towarzysz umierał, to miało tylko jedno wytłumaczenie. Ithkrypt albo już był atakowany, albo wkrótce będzie. Ale nawet ta pewność mnie nie odstraszyła. Przeciwnie - pociągała mnie, ponieważ miałem obowiązek wobec Joisan bez względu na to, czy zechce mnie, czy nie. Jeśli znalazła się w niebezpieczeństwie, tym bardziej powinienem pośpieszyć do niej przez góry.

Ulmsdale, niegdys należące do mego ojca, obecnie w rękach tych, którzy - wiedziałem - żyli z złymi zamiarami, Ithkrypt prawdopodobnie zajęty - szedłem z jednego niebezpieczeństwa w drugie. Z pewnością śmierć weszła po moich śladach, gotowa swymi szponami chwycić mnie za ramię. Coz, taka była moja droga i nie mogłem iść inna.

Widzenie znikło. Zmęczenie opadło na mnie wielkim ciężarem i nie umiałem już z nim walczyć. Przespałem dzień w swojej norze, a gdy oprzytomniałem, zmierzchało. Obudził mnie kuc, który tracił mnie w ramię, jakby był wartownikiem na straży.

Zmierzch - i coś jeszcze. Zbierały się chmury, ciemne, jakich

nigdy dotąd nie widziałem. Czarne i ciężkie, zakryły przed moim wzrokiem Pięć Olbrzymów! Kuc cisnął się do mnie, gdy zerwałem się na nogi.

Zwierzę cuchnęło potem. Uderzył łbem o moje ramię i musiałem go uspokajać, głaskać kark. Nie widziałem nigdy tak ogromnego przerażenia u żadnego zwierzęcia. I mnie ogarnęło dziwne uczucie, jakbym obawiał się jakiejś niepojętej siły, wrogiej wszystkiemu, co mi bliskie, która zmiecie nas jak pyłki ze swej drogi.

Wciąż trzymając kuca przygnałem plecami do ściany skalnej, w oczekiwaniu na coś. Nie wiedziałem, na co czekam, ale lekłem się tego jak niczego przedtem w życiu.

Nie było słychać wiatru ani innego dźwięku. Ten straszny bezruch spotęgował moje przerażenie. Dolina, świat, przyczajone czekały.

Ze wschodu nagle błysnęło światło. Nie jak zwykła błyskawica, lecz raczej jak szeroka tasma na niebie. Na wschodzie... nad morzem...

Moc wiatru i fal - o tym mówili - czyżby zamierzali tę moc zawezwać? Więc zapewne statki najeźdźcy stoją niedaleko Ulmsportu, niewiele zostało czasu na przygotowanie się do walki. Co będzie?

Kuc odezwał się przedziwnym, niekoneskim głosem, który brzmiał jak cichy skowyt. Cisnienie rosło, zdawało się, że powietrzem wokół nie da się oddychać. Nadal nie zrywał się wiatr, ale plachty błyskawic jasniały raz po raz nad morzem. Zadudniło -jakby

razem zagraly tysiace werbli.

Ponad chmurami nadciagala noc tak gleboko czarna, iz nie widzialem nic - jakbym mial zawiazane oczy. Z pewnoscia nie byla to zwyczajna burza, a w kazdym razie nie widzialem podobnej w moim zyciu. Moim zyciu? Gdzies gleboko we wnetrzu mnie zadrgala struna pamieci, ale nie mogla to byc pamiec; to wspomnienie dotyczylo innego zycia niz to.

Glupota! Czlowiek ma tylko jedno zycie i jedne wspomnienia.

Okryta skora swedziala mnie i zaognila sie od powietrza, jakby bylo zatrute. Spostrzeglem - nie na niebie - swiatlo, cos niby poswiata wokol, jakby skaly przeistoczyly sie w latarnie jarzace sie bladym rozproszonym blaskiem.

Po raz trzeci plachta blyskawicy ogarnela wschod, po niej znow grzmot werbli. Wreszcie wiatr...

Wiatr? Wichura! Przysiegne, iz nigdy dotad dolina takiej nie zaznala. Skulilem sie miedzy skalami, kryjac twarz w szorstkiej grzywie kuca, a smrod zwierzecego potu bil mi w nozdrza. Czulem, jak z konia paruje wilgoc. Przed wyjaca wichura nie bylo ucieczki. Bylem przekonany, iz wyluska nas sila z naszej kryjowki, porwie wirem i roztrzaska na polach.

Zaparlem sie racicami w ziemie i w miare mozliwosci zakotwiczylem miedzy skalami. Czulem jak kuc, zdretwiały ze strachu, czyni podobnie. Jezeli nadal skowyczal, to juz go nie slyszalem, ogluszony wyciem zywiolu. Werbel przemienil sie w nieustanny ryk.

Nie mogłem o niczym myśleć, kulilem się tylko z nikłą nadzieją, że ujde rozpetanej furii. Lecz trwała i zacząłem się nieco do niej przyzwyczajać, tak jak staje się z każdym, gdy brzytwa pierwszego leku stepi się. Wtedy pojąłem, iż wiatr wieje ze wschodu na zachód, a jego siła jest skierowana z morza na Ulmsport.

Nie potrafiłem sobie nawet wyobrazić, jakie szkody wyrządzi taka burza wzdłuż wybrzeża, prócz tego, że wszystko zostanie zniszczone całkowicie jak pod uderzeniem młota. Jeżeli flota nieprzyjacielska istotnie wchodziła do portu, z pewnością to ja rozmięcie. Lecz niewinni ucierpią na równi z najeźdźcą. Co z portem i jego mieszkańcami? Jeżeli ta burza powstała z Mocy, która ci na zamku chcieli wezwąć, to albo wymknęła im się z rąk, albo rzeczywiście rozpetali coś ogromniejszego, niż zamierzali.

Jak długo to trwało? Straciłem rachubę czasu. Nie było nocy ani dnia - tylko czarne ciemności i ryk - i lek przed czymś, co nie było zwykłym zjawiskiem przyrody. Co z zamkiem? Zdawało mi się, że ta furia mogła zachwiać nawet wielkimi kamiennymi blokami i rozedrzeć zamek jak dojrzały owoc.

Nie ścisła jak zwyczajna nawałnica. Dzięki wycie urwało się nagle, w jednej chwili przechodząc w ciszę, zupełną, martwą. W pierwszej chwili myślałem, że owy ryk i to niezwykle ciśnienie ogłuszyły mnie. Potem usłyszałem cichy głos kuca. Oderwał się ode mnie i tyłem wycofał na zewnątrz.

Nad nami znowu switało. Czarne chmury, wystrzępione jak śmiertelny sztandar mego ojca, rozwiały się. Czyżbysmy tak długo się tam tłoczyli? Potykając się wyszedłem za kucem w ciszę.



Powietrze, dotad duszace i tamujace oddech, bylo swieze i chlodne. I byla w nim dziwna - moglem to tylko tak nazwac - pustka.

Musze zobaczyc, co zaszlo na nizinie. Ta mysl poruszyla mnie. Prowadzac Hiku wzdluz waskiego regla nad dolina, szedlem na powrot do Piesci Olbrzyna. Wzgorza byly jak wykarczowane. Nawalnica ogolocila ogromne polacie z drzew i zarosli, pozostawiajac zryta ziemie tam gdzie rosly.

Zniszczenia byly tak oczywiste, ze przygotowaly mnie w pewnej mierze na widok doliny. A jednak bylo o wiele gorzej, niz sie spodziewalem.

Zamek stal nadal, choc jego zarys nie byl juz zarysem calosci. Wokol murow stala woda - wielka tafla wody, na torej powierzchni plywaly szczatki i wraki, moze statkow albo domostw Ulmsportu, zbyt splatane, by rozeznac sie w tym z cala pewnoscia. Ta woda przyszla od wschodu. Morze zagarnelo wieksza czesc doliny Ulma.

Czy jej mieszkancy zdazyli sie uratowac? Nie dostrzegalem oznak zycia. Wioska stala pod woda, nad powierzchnia widnial tylko dach lub dwa. I tak przeszedl zywiol, ktory przybyl na wezwanie.

Czy sprawcow wessal maelstrom sily, ktorej nie umieli okielznac? Mialem te nadzieje. Lecz dobrze wiedzialem, ze znane mi Ulmsdale bylo martwe. Zaden czlowiek nie mogl w tym miejscu budowac dla siebie przyszlosci, poniewaz tego, co morze zagarnelo, morze nie zwroci. Jezeli najezdzczy zamierzali postawic tu noge i stad isc dalej, to na niczym spelzly ich

zamiary.

Odwrocilem twarz od bryly, która niegdys była zamkiem. Odwrocilem się od przeszłości. Ale nadal ciążył na mnie obowiązek - winienem dowiedzieć się, jak mają się sprawy z Joisan. Potem - czekało na mnie Południe i długa, długa wojna.

Oddalałem się od Piesci i nie chciałem już więcej patrzeć na zniszczenia w dolinie. Czulem ból w sercu nie dlatego, że mnie dotknęła strata, bo nigdy naprawdę nie czulem się tutejszym panem, ale ponieważ wszystko, co było drogie memu ojcu i czego strzegł wszystkimi znanymi sobie sposobami - teraz obrocono wniwecz. I zdaje mi się, że gdy szedłem, bezgłośnie przeklinałem tych, którzy tego dzieła dokonali.

Joisan

Kiedy staliśmy w świetle księżyca na tajemniczej polanie a Gryf promieniał światłem na moich piersiach, Toross osunął się z moich rąk i upadł na ziemię. Uklekłam przy nim i zsunęłam mu koszulę, by przyjrzeć się ranie. Leżał z głową wspartą o moje kolano, a smuzka krwi ciekła z jego ust. Gdy ujrzałam ranę, trudno mi było uwierzyć, że dotarliśmy aż tutaj. Dama Math przekazała mi na tyle swojej wiedzy, bym wiedziała, że jest to rana śmiertelna, mimo to starałam się zatamować upływ krwi kawałkiem Inianej tkaniny, która nożem wycielam ze swej halki. Łagodnie ujęłam jego głowę. Tak niewiele mogłam zrobić, by ulżyć ostatnim chwilom mężczyzny, który oddawał swe życie za moje! W świetle księżyca i Gryfa dobrze widziałam jego twarz.

Jakie krete ścieżki losu zaprowadziły nas ku sobie? Gdybym mogła sobie na to pozwolić, z radością przyjąłabym go za

malzonka. Czemu go nie chciałam?

W księgozbiornicy Opactwa poznałam wiele tajemniczych pism, wątków wiedzy nie nauczanych powszechnie. Może uznawano je za tajemnice Plomienia. Teraz wspomniałam jeden z tych zwojów runicznych: Czy to mąż, czy niewiasta - każdy człowiek żyje po wielekroć i powraca na świat w innym czasie, aby spłacić dług, który zaciągnął niegdys wobec innego człowieka. Dlatego każdego z nas łączy wiezy, które być może zadzierzgnięte były nie w tym życiu ani czasie, ale które sięgają dalej, niż zglebił to jasnowidz. Od pierwszej chwili Torossa ciągnęło do mnie i to tak mocno, iż mało brakowało, by splamili honor własnego Rodu, gdy chodził w ślad za mną i starał się wzbudzić we mnie podobne uczucie.

Chociaż oparłam się mu, przyszedł do mnie, by umrzeć w moich ramionach, ponieważ moje życie miało dla niego większą wagę niż jego własne. Jaki dług mógł ciążyć na nim - o ile stary przesadził by prawdą? Czy może zobowiązywał teraz mnie, bym z kolei ja kiedyś musiała swój dług spłacić?

Poruszył głowę. Nachyliłam się, by usłyszeć jego szeptał:

-Wody...

Woda! Nie miałam wody. Najbliższa woda była rzeka, a to szmat drogi. Chwyciłam swoją spodnicę, wciąż mokra, i wytarłam jego twarz, gorzko żalując, że nie mogę oddać mu tak drobnej przysługi. Wtem ujrzałam w martwej białej poswiacie tak silnej w tym miejscu, że ze szczelin w bruku wyrastają rośliny. Siegały mi ramion i miały ogromne mięsiste liście, szeroko rozpostarte na światło księżyca. Na liściach błyskały srebrne krople. Poznałam

ziele, ktorego uzywala Dama Math. Lecz tamto bylo malenkie w porownaniu z okazami tu rosnacymi. Ziele to mialo te wlasnosc, ze skraplalo na swych lisciach wode, gdy powietrze ochladzalo sie noca.

Lagodnie polozyłam Torossa i poszłam zbierac upragnione krople, ostroznie zrywajac najwieksze liscie, aby nie uronic bezcennej zawartosci. Przynioslam je i zwilzylam jego wargi, delikatnie wlewajac kilka kropel do ust, zrozpaczona, iz jest tego tak malo. Ale chyba liscie mialy jakas wlasnosc lecznicza, ktora przenikla woda, poniewaz zdawalo sie, ze ugasily jego pragnienie.

Unioslam go znowu i gdy ulozylam jego glowe wygodniej, otworzyl oczy i poznal mnie. Usmiechnal sie.

-Moja... pani...

Chcialam go uciszyc, nie zeby jego slowa byly mi przykre, ale dlatego, ze nie powinien trwonic sil. Lecz on ciagnal:

-Wiedzialem... pani moja... gdy... pierwszy raz... cie... ujrzałem...  
- Jego glos stawal sie mocniejszy w miare jak mowil. Wcale nie slabl. - Jesteś bardzo piekna, Joisan, bardzo madra, bardzo... pociagajaca. Ale to... - kaszlnal i z jego ust poplynela znow krew, ktora obmylam mokrymi liscmi. - Nie dla mnie - dokonczyl wyraznie.

Staral sie nie mowic przez chwile, a potem:

-Nie o dziedzictwo, nigdy, Joisan. Musisz... mi uwierzyc...  
Przy...szedl...bym... w zaloty, nawet gdybys nic nie miala w

posagu. Nie o tytuł... choć mówili, że tym go sobie zapewnie. Chciałem... ciebie!

-Wiem - odparłam. Była to prawda. Jego krewni mogli naciskać, by pojął mnie dla Ithkrypt, ale Toross pragnął mnie bardziej od jakiegokolwiek zamku. A najprzykrzejsze było to, że czułam do niego tylko przyjazn i mogłabym milować jak brata - nie więcej.

-Gdybys nie miała już meza... - Chwycił powietrze i zakrztusił się. Już nie mógł mówić.

Wreszcie dałam mu to, co mogło go uspokoić: kłamstwo, które wygłosiłam z największym przekonaniem, na jakie umiałam się zdobyć.

-Z radością bym cie przyjęła, Torossie.

Uśmiechnął się wtedy, a jego uśmiech trafił mnie w serce niby pocisk z kuszy. Poznałam, że moje kłamstwo zabrzmiało prawdziwie. Wtedy obrócił lekko głowę, opierając skrwawione usta o moje ramię i zamknął oczy jak we śnie. Lecz to nie sen przyszedł, gdy go tak trzymałam. Po pewnym czasie położyłam go i wstałam niepewnie rozglądając się. W tej chwili nie mogłam na niego spojrzeć.

Chciałam poznać to miejsce. Byłam świadoma, że stanelismy na placu należącym do Dawnych. Gdy znaleźliśmy się tu, nie przywiązywałam wagi do jego kształtu, ważne było jedynie, iż jest to miejsce, gdzie mogłam wprowadzić Torossa. Teraz w świetle księżyca miałam je całe przed sobą. Nie było tu murów ani ich ruin, tylko kamienne płyty, niby bruk, razaco jasne przy księżycu. Dopiero teraz spostrzegłam, iż nieco światła, a było podobne do

promieniowania kuli, pochodziło z tych prastarych kamieni.

Mimo to płyty te zdawały się niewiele różnić od glazow, z których wymurowano Ithkrypt. Światło lekko pulsowało, jakby płynęło - i marło niby oddech wielkiego zwierza.

Nie tylko owa jasność, ale i kształt bruku zadziwił mnie. Płyty tworzyły piecioramienna gwiazde. Gdy tam stałam, kolysząc się nieco, zdawała się wdzierać w moje pole widzenia, jakby posiadała znaczenie, które winnam była dostrzec i pojąć.

Lecz moja wiedza o Dawnych i ich zwyczajach była tak wrywkowa, że nie wiedziałam o tym miejscu gdzie weszliśmy nie proszeni, nic prócz tego, że nie było jego celem służyć Mrocznym Siłom, ale Jasności, oraz że skupiały się tu siły, a ich ślady były tutaj jeszcze obecne.

Gdybym umiała ich użyć! Może mogłabym uratować Torossa, uratować ludzi z dolin, którzy teraz we mnie szukają błąd przywódcy. Gdybym wiedziała więcej! Zdaje się, że krzyknęłam z żalu za stratą czegoś, czego nigdy nie miałam, lecz co mogło mieć dla mnie wielkie znaczenie.

Cos tu było... Nagle odrzuciłam w tył głowę i spojrzawszy w górę, wyciągnęłam rozpostarte ręce. Zupełnie jakbym próbowała otworzyć w sobie długo zamknięte drzwi, wypełnić pustkę ciemności i nasycić się światłem. Gdybym czegoś pragnęła, moja prośba zostałaby wysłuchana. Lecz nie wiedziałam, o co mam prosić, i wreszcie moje ramiona opadły, a pustka we mnie trwała.

Dreczyło mnie przekonanie, iż oto ofiarowywano mi coś

cudownego, czego w swojej niewiedzy nie wzięłam. Myśl o własnej klęsce była gorzka.

W poczuciu straty wróciłam do Torossa. Leżał jakby spał, otoczony Isnieniem kamieni. W żaden sposób nie mogłam pochować go, jak było w zwyczaju w dolinach: w pełnej zbroi, z dłońmi na rekojesci miecza, na znak, że poległ w walce. Nawet tego nie mogłam dla niego zrobić. Lecz w tym miejscu zdało się to niekonieczne, ponieważ spoczywał w chwale i pokoju, których nie znalazłby w żadnym z naszych kurhanów. Spał.

Więc ukleklam i uniosłam jego ręce, krzyżując je nie na mieczu lecz na piersiach. Wreszcie ucałowałam go, ponieważ do końca mnie pragnął i służył mi, jeśli nawet nie mogłam być dla niego tym, o czym marzył.

Potem odeszłam z miejsca gwiazdy, aby narwać paproci i słodko pachnących ziół, których rosła tutaj taka mnogość jak w ogrodzie Madrej. Przyniosłam je i okryłam nimi Torossa, tylko twarz pozostawiłam odkrytą. I błagałam Moc, która trwała w tym miejscu, aby rzeczywiście spoczywał w pokoju. Wreszcie zostawiłam go, wiedząc w sercu, że Toross miał się dobrze bez względu na to, co jeszcze czaiło się na tej ogarniętej wojną, umęczonej ziemi.

Na skraju gwiazdy zawahałam się. Czy powinnam wrócić, czy iść dalej pod osłoną lasu w nadziei, że natrafie na szlak, którym podążyli moi ludzie? W końcu wybrałam to drugie.

Tutaj drzewa rosły gęściej i nie było ścieżki, nie mogłam więc mieć pewności, że idę prosto. Nie byłam obeznana z lasem i mogłam się blakac. Ale starałam się jak umiałam.

Gdy wreszcie doszłam do gęstego pasa zarosli na brzegu lasu, miałam usta suche z pragnienia. Chwiałam się ze zmęczenia i z głodu. Przede mną leżał zweżający się kraniec doliny, a dalej góry, przez które mieli uciekać mieszkańcy Ithkrypt.

Na niebie jasniał przedświt, moja jedyna latarnia, bowiem kula z Gryfem zgasła. Była martwa, ja byłam sama, a moje ciężkie serce było mi nie mniejszym brzemieniem niż moje ogromne zmęczenie.

Doszłam do występu skalnego, za którym znalazłam wneke. Wiedziałam, że dalej nie pojde. Wokół rosły z rzadka krzaczki jagod i część owoców na nich dojrzała. Gorzkie, skrzywiłam się, zwykle było to danie spożywane do mięsa, do którego były ostrzającym apetyt dodatkiem. Ale było to jadlo i szybko ogolociłam z nich niskie krzaczki, napychając sobie usta łapczywie, jak człowiek, który poznał, czym jest rwący trzewia głód.

Wątpiłam, bym dała radę dalej iść, nie odpocząwszy ani nie sadziłam, że znajdzie lepsze ukrycie niż to wgłębienie. Lecz zanim tam wpełzłam, za pomocą noża Torossa zamieniłam swój strój na ubiór odpowiedniejszy na wędrowkę przez puszcze. Miałam podwójną układaną spodnicę do jazdy konnej, ale jej fałdy były tak gęste i długie, że przez nie o mało nie straciłam życia. Cielam nożem i odrywałam długie pasy. Przywiązałam nimi "nogawki" skróconej i zwezonej spodnicy mocno nad butami. Takie szarawary były o wiele mniej praktyczne niż męskie spodnie, ale w nich łatwiej mi będzie się poruszać.

Gdy się z tym uporałam, zwinęłam się w kłębek w zagłębieniu sadząc, że poplątane myśli nie pozwolą mi spać mimo całego



zmeżenia. Dłonie mimo woli powędrowały ku kryształowi na mej piersi i zamknęły się na nim.

Nie był już ciepły, ale sama jego gładkość była jakos pocieszająca. I tak trzymając go zasnęłam.

Wszyscy snimy, a budząc się zazwyczaj pamiętamy jedynie skrawki snów - pełnych strachu i ciemności albo rzadziej, przyjemnych, które pragniemy zatrzymać, choć szybko bledną. Lecz to, czego doświadczyłam nie było jak zwykły sen.

Znalazłam się w jakimś ciasnym miejscu, niby pieczarze, a na zewnątrz wiały sztormowe wichry, nadzwyczaj gwałtowne. Ze mną ktoś tam był. Spostrzegłam zarys ramienia, odwróconą głowę i z całych sił pragnęłam wiedzieć, kto to. Ale twarzy nie dojrzałam, ani nie umiałam wezwać go imieniem. Mogłam jedynie tkwić tam skulona, gdy szalejący wichry szastały o szczeliny, w której znaleźliśmy schronienie. Podobnie jak w miejscu gwiazdy, tak i tam miałam świadomość, iż gdybym tylko posiadała dar, umiejętność, zdobyłabym to, czego mi trzeba i skutkiem tego byłoby dobro. Ale daru nie miałam i sen rozwił się. Nie mogłam nic więcej sobie przypomnieć ani wtedy, ani nigdy później.

Gdy obudziłam się, słońce niemal już zaszło, wokół stały długie cienie. Usiadłam, nadal znudzona, spragniona i tęskniąc za wodą nawet choćby w takiej ilości, jaka strzasnęłam z lasu. Czulałam tępy ból w żołądku, może od jagód, może z głodu. Ukleklam i patrzyłam w dół po stoku, szukając śladów wroga.

Spostrzegłam dwóch ludzi posuwających się jak zwiadowcy. Siegnęłam po noż, ale po chwili poznałam w nich ludzi z dolin.

Zagwizdalam z cicha sygnał, którego uczyliśmy się wcześniej właśnie do takiego celu.

Natychmiast padli płasko na ziemię. Gdy powtórzyłam gwizd, podnieśli głowy. Zobaczywszy mnie po kilku chwilach przybiegli. Byli to giermkowie Torossa.

-Rudo! Angarii - Z taką radością ich witałam, jakby mi byli braćmi.

-Pani! Wierc nasz Pan Toross uwolnił cie! - krzyknął Rudo.

-Uwolnił, prawda. Wielkiej chwały przysporzył swemu Domowi.

Giermek spojrział za mnie we wgłębienie skalne i widziałam, że odgadł, co zamierzałam powiedzieć.

-Najeźdźcy mają bron, która zabija z oddali. Gdy uciekaliśmy, razila Torossa. Przywiódł mnie w bezpieczne miejsce, lecz umarł tam. Wieczna chwala jego imieniu! Czyż osłodzi te chwile to, że wyrzekłam ostatnie słowa, którymi zegnano wojownika?

Ci dwaj byli to mężczyźni w starszym wieku. Czym był dla nich Toross? Jakie więzy ich łączyły - przyjaźni, braterstwa broni, krwi? Nie wiedziałam. Sklonili głowy słysząc moje słowa i chrapliwie powtórzyli za mną:

-Wieczna chwala jego imieniu!

Wtedy odezwał się Angari:

-Gdzie on jest, pani? Musimy się nim zająć...

-Leży w świętym miejscu Dawnych. Tam nas przywiodło i tam umarł. Pokój tego miejsca ogarnął go pokojem na wieki.

Spojrzeni po sobie. Widziałam, że powinnosc zмага się w nich ze strachem. I dodałam: - To, co tam trwa. przyjęło go, ugasiło jego pragnienie w ostatniej godzinie i ofiarowało słodkie ziola na jego łozę. Spoczywa jak się godzi dumnemu wojownikowi. Przysięgam wam.

Uwierzyli. Ponieważ wszyscy wiemy, iż obok miejsc Mrocznych Sił, których należy unikać, istnieją miejsca inne, które dają spokój i pocieszenie nawet nieproszonym gościom. Jeżeli takie miejsce przyjęło Torossa, to prawdziwie godnie spoczywał.

Niech tak będzie, pani - powiedział ciężko Rudo i widziałam, że Toross naprawdę był im drogi.

-Idziecie od naszych dolin? - Nadeszła moja kolej, by pytać, - A może macie przy sobie coś do jedzenia... do picia? - Moja duma prysła, bo bardzo pragnęłam jakiegokolwiek pożywienia. Może mieli coś ze sobą?

Ależ oczywiście, pani. - Angari swoją zdrową ręką odpasł torbę, wyjął z niej butle z wodą i twarde suchary. Wysiłkiem woli zmuszałam się, by pić oszczędnie i jeść małymi kęsami, w obawie, że mój żołądek wznieci protest.

Jesteśmy z grupy, która szła z Lesniczym Borstalem. Moja pani i jej córka również były z nami. Ale one wróciły, by się spotkać z lordem Torossem. Szukamy go, od kiedy do nas nie dołączył o wschodzie księżycyca...

-Jestescie wiec po tej stronie rzeki...

Te diabły polują po całej dolinie. Gdyby nasz pan przeżył, to mogłoby być tylko wtedy - powiedział Rudo z prostotą.

Są w całej dolinie?

Angari przytaknął.

-Tak. Pojmali dwie grupy naszych, bo za wolno szli.

Uciekło też kilka stad owiec i bydła. Zwierzęta nie dały się przeprowadzić przez przełęcz, pasterzom nie udało się ich zapędzić. Ci, którzy próbowali zbyt długo... - uczynił niewielki gest na znak, jaki los ich spotkał.

-Znajdziesz powrotną drogę?

-Tak, pani. Ale lepiej ruszajmy szybko. Są szlaki, którymi trudno będzie iść po ciemku. Gdyby nie lato i późne zmierzchanie, nie udało by nam się.

Ich jadło pokrzepiło mnie, a ich towarzystwo tym bardziej. Wkrótce przekonałam się też, że moja zapobiegliwość w przerobieniu spodnicy na płudry ułatwia mi drogę, mogłam iść w tempie, którego dzień wcześniej nie wytrzymałabym. Zanim ruszyłam, schowałam Gryfa z powrotem pod kołczugę, ponieważ uważałam, że nie jest on na pokaz.

Droga była niełatwa i nawet moi przewodnicy musieli zatrzymać się i w terenie sprawdzać znaki, podług których szli, bo tutaj nie było nawet ścieżyny wydeptanej przez owce. Wspinaliśmy się jeszcze, gdy zapadła noc. Było coraz chłodniej i

drzalam, gdyz smagal nas wiatr. Mowilismy niewiele, oni od czasu do czasu rzucali mi slowo wskazowki, jezeli bylo potrzebne. Wracalo znuzenie. Ale nie odezwalam sie slowem skargi i o nic nie prosilam. W tej godzinie wystarczalo mi tylko ich towarzystwo.

Nie mogliśmy podjac sie ostatniego odcinka wspinaczki na przelec w srodku nocy, wiec po raz wtory ukrylam sie wsrod skal, tym razem majac po prawicy Rudona, a po lewej Angaria. Widac zasnalam, poniewaz nie pamietam niczego od chwili, gdy zajelismy kryjowke, poki Rudo nie poruszył sie i nie odezwał do mnie.

-Lepiej idzmy dalej, pani Joisan. Oto i swit, a my nie wiemy, jak wysoko zawedrowali ci oprawcy w poszukiwaniu krwi dla swych mieczy.

Swiatlo bylo szare, niewiele jasniesze od zmroku. Zauwazylam, ze nadciagaly chmury. Moze czekal nas deszcz - niech pada, z radoscia powitamy cos, co zmyje nasze slady.

Rzeczywiscie zaczelo padac, rowno i uporczywie. Nie rosly tu drzewa, pod ktorymi moglibysmy sie skryc, gdy zeslizgiwalismy sie z przeleczy w doline. O tej ziemi mialam zaledwie mgliste wiadomosci. Jesli do doliny zeszlo sie nizej lezaca przeleca, trafialo sie na droge do Norstead. Chociaz panowie mieli nad ta droga piecze (a glownie polegalo to na wycinaniu zarosli na dlugosc trzech oszczepow po kazdej jej stronie, by zniechecic amatorow zasadzek), nie byla to droga gladka.

Rzeka w dolinie byla zbyt szeroka i plytka, aby po niej zeglowac poza czasem wiosennych przyborow. W tej czesci krainy nie

mieszkali osadnicy. Rozciągaly się tutaj pastwiska, a w zimie trawy na niższych zboczach uzupełniały karmę inwentarza. Lecz na stałe nikt tu nie mieszkał, tylko w niektórych porach roku.

W dolinach zachodnich niewiele jest mieszkańców. A my lubimy towarzystwo. Ci spośród nas, którzy stają się myśliwymi, leśnikami lub kupcami to odmiennicy, którzy nie umieją dobrze żyć z innymi i zazwyczaj niewiele więcej się ich ceni niż banitów, bo po ludziach wędrownych, nie mających korzeni wszystkiego można się spodziewać. Dlatego większość naszych trzyma się żyzniejszych ziem w odległości lotu strzały od tych dolin. Tam porzucane leżą zaludnione doliny. Norsdale (może pięć dni drogi na zachód konno, dłużej piechotą) było najbliższą znaną mi osadą.

Lecz nie zeszliśmy na drogę do Norsdale, ostrzeżeni widokiem dymu w dolinie. Nasi takiego ogniska by nie rozniecili. Znowu trzymaliśmy się wyższych stoków, kierując się na południe. Miałoby brakować, byśmy stali się celem dla kusz naszych własnych ludzi.

Spoza sciany krzaków ktoś nas wezwał ostrym głosem, potem wyszła zza nich kobieta i stanęła przed nami. Poznałam ją - była do Nalda, której mąż był w Ithkrypt młynarzem: wysoka, bardzo silna, z czego była ogromnie dumna. Zdawała się mieć charakter bardziej męczyzny niż niewiasty, w porównaniu z wioskowymi plotkarkami. Trzymała kuszę z założonym beltem w gotowości i nie zniżyła jej, gdy podeszliśmy. Ale jej twarz rozjaśniła się na mój widok.

-Moja pani! Witaj, och, witaj! - Jej powitanie rozgrzało moje serce, od tak długiego czasu złodowaciale.

-Witaj mi prawdziwie, Naldo. Kto jest z toba?

Reka dotknęła mego ramienia, jakby się chciała upewnić, iż naprawdę tam stalam.

-Jest nas dziesięcioro: lady Islaugha i lady Yngilda, mój chłopak Timon i - alez, panienko Joisan, co z moim zaslubionym, Starkiem?

Przypomniała mi się krwawa rzeź nad rzeką. Musiała wyczytać wszystko z mojej twarzy, bo jej własna nagle stała się harda i zawzięta.

-Niech i tak będzie! - powiedziała. - Niech i tak będzie! Był dobrym człowiekiem, pani, i umarł godnie...

-Umarł godnie - zapewniłam ją szybko. Nigdy nie powiedziałabym żadnej kobiecie z dolin, jakie rodzaje śmierci widziałam. Dla nas polegli są bohaterami i to nam -wystarczy wiedzieć, aby oddawać im cześć.

-Ale o czymże ja myślę? Chodźcie szybko: te demony są w dolinie, niżej. Ruszyliśmy dalej, ale lady Islaugha nie chciała iść, a my nie mogliśmy jej zostawić. Ona czeka na lorda Torossa.

-Który już nie przyjdzie. A jeżeli wrog jest tu blisko, to musimy wnet stąd wyjść. Dziesięcioro... a mężczyźni?

-Rudo i Angari - skinęła na moich towarzyszy. - Insfar, który był pasterzem w Dziale Czwartym. Uciekł poprzez skały z dziurą w ramieniu, bo ci myśliwi po trzykroć przekleci, co polują na uczciwych ludzi, mają coś, co zabija "z daleka. Reszta to

niewiasty i dwoje dzieci. Mamy cztery kusze, dwa długie luki, nasze sztylety i oszczep, który miał Insfar na wilki. A dla wszystkich jadła na trzy dni może, jeśli by jeszcze niewiele i żeby jeden ktoś starczył za trzy.

A Norsdale było daleko...

-Konie?

-Zadnego, pani. Szliśmy wyższą przełęczą i nie mogliśmy ich wziąć. Tam straciliśmy z oczu tych, których prowadził Borstal - odeszli w noc. Są owce, zdziczała krowa czy dwie, ale czy uda się nam je upolować... - Wzruszyła ramionami.

Więc tyle wyszło z naszych planów ucieczki z Ithkrypt. Miałam jedynie nadzieję, że innym grupkom udało się uciec wcześniej i dotrzeć do Norsdale. Wątpiłam, czy tam znajdzie kogokolwiek, kto pośpieszy nam na ratunek. Mimo własnej potrzeby potrafiłam zrozumieć, że tamci wprawdzie dwa razy pomyślał, zanim wyruszą na taką wyprawę, zajęci przygotowywaniem własnej obrony przeciw najeźdźcom.

Pod eskortą Naldy, która zdążyła się przejąć nad nami komendę, weszłam do obozu, choć trudno było to nazwać obozem. Widząc mnie, lady Islaugha zerwała się na nogi.

-Toross? - Jej okrzyk był jednocześnie zadaniem. Oczy błyszczały w jej bladej twarzy, jakby ogień plonął w jej wnętrzu, podobny do blasku kuli z Gryfem.

Prysło moje opanowanie. Gdy szukałam słów, podeszła, chwyciła mnie za ramiona i potrząsnęła, jakby w ten sposób chciała



wydobyc ze mnie odpowiedz.

-Gdzie jest Toross?

-On... on poległ... - Jak mogłam załagodzić te słowa? Chciała tylko prawdy i tej prawdy jej nikt nie osłodzi.

-Zginal... zginal! - Puscila mnie i cofnela sie. Teraz na jej twarzy malowalo sie przerazenie, jakby widziala we mnie jednego z najezdzcow o skrwawionych dloniach.

Nastepnie jej twarz skamieniala i stala sie maska nienawisci tak gorzkiej, ze az bolesnej.

-Zabito go przez ciebie, ktoras nie chciala na niego spojrzec! Spojrzec na niego, gdy on mogl miec kazda dziewczke, o tak, nawet zamezna, na jedno skinienie! Co w tobie bylo, co przyciagalo jego oczy, co go uwiezilo? Gdyby wzial z toba lthkrypt: tak, to moglam zrozumiec. Lecz zginac... A ty stoisz tu zywa...

Braklo mi slow. Moglam jedynie przeczekac jej atak. Poniewaz mimo swego pokretnego sposobu myslenia wlasciwie miala racje. Niewazne dla niej bylo, ze niczym nie zachecalam Torossa. Wazne bylo, ze pragnal wlasnie mnie, a ja odtracilam go, i ze zginal, by mnie uratowac.

Umilkla na chwile, ruszajac ustami i splunela prosto pod moje stopy.

-Dobrze, oto badz przekleta! A z moim przeklenstwem zaklinam cie na baczenie i wybaczenie, bos mi to dluzna i Yngildzie.

Zabralas nam pana naszej krwi - staniesz w jego miejscu.

Wezwala stary nasz obyczaj, obciązając mnie brzemieniem jej żywota za krew, bowiem w jej oczach winnam taka cene zapłacić. Od tej chwili musiałam mieć pieczę nad nią i nad Yngildą, chronić je i wygładzać przed nimi drogę - jakbym sama była Torossem.

Kerovan

Znowu stałem wysoko i spoglądałem na śmierć i zniszczenie. Śmierć Ulmsdale przyniosły wiatr i fale, lecz tutaj zniszczenie było dziełem ludzi. Dziesięć dni szedłem do tego miejsca, z którego mogłem zobaczyć Ithkrypt, a raczej to, co z Ithkrypt pozostało. Z tych dziesięciu dni jeden spędziłem na wspinaczce na ten szczyt, skąd patrzyłem na rozbity w proch zamek. To dziwne, ale nie pozostawiły tu śladów pelzające potwory, w których zwyczajem było tak rozbijać mury, że nie zostawał kamień na kamieniu. I najwyraźniej rozłożyli tu oboz najeźdźcy. Przyplynieci w górę rzeki na łodziach, które leżały wyciągnięte na jej przeciwległym brzegu.

Miałem teraz podwójny obowiązek. Powiniennem donieść lordowi Imgry o tym ładowaniu, ale też pamiętałem o Joisan. Nic dziwnego, że zjawiała mi się odziana w kolczugę i pochylona nad umierającym mężczyzną.

Czy pojmano ją? Czy żyła? Na bezdrożach kilkakrotnie natknąłem się na tropy niewielkich grup ludzi idących na zachód i podług wszelkich oznak były to grupki uchodźców. Może i ona wtedy uciekała. Lecz jak ją odnaleźć w tej rozległej głuszy?

Lord Imgry wydał mi jasne polecenie. Po raz wtóry szarpala mna niepewność. Chwyciłem się więc jedynej cienkiej nitki nadziei. Na wysokościach mieliśmy stanowiska sygnałowe. Można było błyskami światła przekazywać wieści ze szczytu na szczyt; jeśli świeciło słońce, to odbijając jego blask od wypolerowanej tarczy, zaś noca zastępując słońce pochodnią. Jeżeli tam nie dotarł wrog, to Imgry będzie miał swój meldunek, a ja będę mógł szukać Joisan.

Ze zrezygnacją zwiadowcy zsunąłem się z miejsca, skąd spoglądałem na Ithkrypt. W dolinie grasowały wycieczki, a najezdźcy poczynali sobie zuchwale, z bezczelnością właściwą zwycięzcom, którzy nie muszą obawiać się niczego. Niektórzy pedzili do obozu kulejące bydło i owce idące z bekiem na rzez, inni przedzierali się na zachód, może w poszukiwaniu uciekinierów lub znacząc szlaki, którymi poprowadza armie w głąb ładu. Tego obawiał się Imgry: że weźmie nas w kleszcze i zgniota.

Hiku był wspaniałym wierzchowcem. Kuc sam wybierał szlaki wiodące przez ziemie, w które wtapiał się maseczka i tylko ktoś uprzedzony o naszej obecności potrafiłby nas dostrzec. Zdawał się niezmordowany i szedł jeszcze, gdy koń hodowany w stajni dawno by okulał i zadyszał się.

Wielkim ułatwieniem były mi naturalne punkty rozpoznawcze dolin, gdyż mogłem wciąż sprawdzać kierunek wędrowki. Nie natrafiłem na ślady najezdźców wychodzących dalej z Ithkrypt. Wiedziałem, że nie powinienem zwlekać ani chwili dłużej. I tak moje ostrzeżenie mogło już być o dzień spóźnione.

Odszukałem gran, na której umieszczono wneke sygnałowa i ze

strachem spostrzegłem obok tropy tych, co byli tam przede mną. Do tych stanowisk nie wiodła żadna wytyczona ścieżka, lecz tedy na pewno szli ludzie, dwóch czy trzech, nie zadając sobie trudu, aby zatrzeć ślady.

Z obnazoną klingą w garści, z zawiązanym kapturem bitewnym, wdrapałem się na miejsce, gdzie powinienem był znaleźć trzyosobową załogę. Jednakże przede mną weszła tam śmierć, o czym świadczyły plamy zaschniętej krwi. Oto było zagłębienie, gdzie powinna tkwić osadzona tarcza, od której odbijano światło słońca lub pochodni - była tu nawet pochodnia, strzaskana i wdeptana w ziemię. Spojrzałem na południe. Dostrzegalem tam następny szczyt, na którym mieliśmy podobne stanowisko. Czy ci, których tu napadnięto, zdążyli nadać sygnał? Skorzystałem z mojej wiedzy człowieka lasu i ze śladów wywnioskowałem, iż bito się tu w późnych godzinach rannych. Teraz było wczesne popołudnie. Gdyby mieć skrzydła, może daloby się przefrunąć stąd na widoczny w dali szczyt, ale ani jeźdźcy, ani piechurzy przez ten krótki czas nie mogli dotrzeć do następnego stanowiska. A jeżeli dotychczas nie nadano sygnału, to ja muszę w jakiś sposób dać znak na trwogę.

Wyrwano z wnęki tarczy. Sam tarczy nie niosłem, ponieważ jako zwiadowca nie mogłem mieć cięższego uzbrojenia. Sygnał - jak go przekazać, nie mając czym?

Gryzłem własne palce starając się coś wymyślić. Miałem miecz, długi noż lesnika i sznur, którym byłem przepasany. Moja kolczuga nie łsniała, bo pokryta została zielonkawą żywicą, aby mi się łatwiej było kryć.

Zszedłem z wnęki strażniczej i rozejrzałem się, mając mimo

wszystko nadzieje, ze tarcze odrzucono gdzieś na bok. Nie doceniłem wroga. Mogłem uczynić tylko jedną rzecz równą ścięciu gniazda os Anda, bo to mogło sprowadzić ich tu z powrotem - rozpalic ognisko. Dym nie przekaze żadnej określonej wieści, jak błysk światła na tarczy, ale będzie znakiem ostrzeżenia.

Szukalem drzew na ziemi i znosilem je na stanowisko. Ostatniego narecza nie zgarnalem spod skarłowaciałych drzew rosnących na zboczu, ale wycialem galezie z żywej, ulistnionej korony.

Użyłem swego krzesiwa i chrust zajął się ogniem. Na płomienie kładłem, garść po garści, nascinane liście. Pojawily się kleby dymu gryzacego tak, że uciekłem kaszląc ze łzami w oczach. Jednakże gdy duszący zapach rozwiał się, zobaczyłem kolumnę dymu bijacego prosto w górę; znak, którego nikt nie przeoczy.

Wiatru nie było prawie wcale nawet tu, na wyższej części stoku, i dym szedł krągłą kolumną. To przywiodło mi na myśl następny pomysł - stłumic dym i pozwolić, by znowu się wzbił. Znak będzie wyraźniejszy. Zdjąłem burkę i z nią w dłoni wróciłem do ogniska.

Nie było to proste zadanie, lecz chociaż niezgrabnie mi szło, udało się burką przytłumic dym na tyle, by patrzący zrozumiał, iż jest to sygnał. W chwili potem na sąsiednim szczycie pojawił się wyraźny błysk. Przyjęli więc ostrzeżenie i teraz beda obracać tarcza, aby podać je dalej. Lord Imgry może nie otrzyma szczegółowych wieści z północy, lecz przynajmniej dowie się, iż wrog dotarł tutaj.

Obowiązek spełniony, mogłem pospieszyć w drogę, na zachód. Aby poszukiwać Joisan, musiałem trafić na jakiś trop

pozostawiony przez uciekinierow, a nastepnie od nich sie wywiedziec, co przytrafilo sie mojej pani.

Jezeli dotad los mi sprzyjal, to od tej chwili sie ode mnie odwrocil. Wkrotce przekonalem sie, ze idzie za mna pogon, i to taka, ze popedzalem Hiku, a serce bilo mi gwaltownie i czulem suchosc w ustach. Spuscili psy!

Nazywamy Alizonczykow "Ogarami" z powodu ich czworonoznych myśliwych, zupełnie niepodobnych do naszych własnych psow. Niezwykle szczuple i dlugonogie, maja bialoszare kudly, waskie, chude pyski i zolte oczy, a poruszaja sie z wdziekiem wezy. Niewiele ich przywiezli, ale te, ktoreśmy widzieli na poludniu, byly uczone scigac i zabijac i mialy w sobie cos na wskros zlego.

Gdy odjeżdżalem z miejsca, gdzie jeszcze zwijaly sie pasma dymu, slyszalem glos rogu. Gral to, co dwakroc slyszalem w poludniowych stronach - wezwanie lowczego. Wiedzialem, ze te bialoszare, pomykajace zjawy niepodobne do zadnych psow, co strzega zamki w dolinach, raz pochwyciwszy moj trop odnajda mnie gdzie bym sie nie ukryl.

Zaczalem uciekac sie do wszystkich znanych mi sztuczek, aby zatrzec i zagmatwac własne slady. Lecz prozny to byl wysilek, wciaz slyszalem w oddali' ujadanie swiadczace o tym, ze nie wymknałem im sie. Wreszcie Hiku, znow ze swej własnej woli, jakby mial w czaszce rozum nie zwierzecy, ale inny, potezniejszy, szarpnal cuglami i skierowal sie na polnoc. Skaczac po kruszacym sie pod stopami brzegu strumienia zszedl w jego koryto i zaczal stapac pod prad.

Wypuscilem lejce z dloni i pozwolilem, aby sam wybieral droge. Bylo jasne, ze dokladnie wiedzial, co robi.

Niezbyt szeroki strumien byl moze doplywem tej rzeki, ktora plynela przez Ithkrypt. Woda w nim byla nadzwyczaj czysta. Gdy spojrzalem w dol, widzialem nie tylko zwir i kamyki na dnie, ale i wszystkie pletwiaste i pelzajace stworzenia, ktore w nim mieszkaly.

Nagle Hiku stanal, a woda oplywala jego peciny. Stanal tak raptownie, ze o malo nie wypadlem z siodla. Kuc zaczal kiwac lbem tuz nad woda, potem zarzal cicho i zwrocil leb do mnie, jakby przemawial w swoim wlasnym jezyku.

Zachowywal sie tak dziwnie, ze zrozumialem, iz nie jest to cos blahego. Gdy po raz wtory opuscil leb nad woda. uwierzylem, ze chce zwrocic moja uwage na cos. co tam sie znajdowalo, i niecierpliw go moj brak zrozumienia tak wyraznej mowy.

Pochylilem sie. by sie przyjrzec toni. Zachowanie Hiku przypominalo zachowanie kogos, kto wietrzył zasadzke. Czyzby w wodzie zobaczył cos strasznego, cos. co by mu zagrazalo?

Poluzowawszy miecz oczekiwalem na atak. Kuc trzymal sztywno leb, jakby chcial wskazac mi jakies miejsce. Spojrzalem tam.

Kamyki, zwir i... tak! Na dnie lezala jakas rzecz, ktora trudno bylo odroznic od otaczajacych ja kamieni. Zesliznałem sie z grzbietu Hiku, mocno stawiając racice na niepewnym gruncie strumienia i opierając sie pradowi. Musialem zobaczyc to cos z bliska.

Byla to petla czy obrecz o barwie blekitnozielonej, chyba nie

kamienna, w kazdym razie nie ze znanego mi kamienia. Tkwiła na sztorc, uwieziona miedzy dwoma glazami. Z wielka ostroznoscia zanurzylem miecz w wodzie, usilujac ja wyjac koncem ostrza.

Zdawala sie mocno zaklinowana, lecz gdy szarpnalem miecz ku sobie, malo brakowalo, bym stracil rownowage, bo puscila z latwoscia. Podrzucilem ostrze w gore, aby to, co na niej zawislo, nie wpadlo na powrot do wody.

Obiecz zsunela sie po ostrzu ku mojej rece i uderzajac o rekojecz miecza, dotknela moich palcow. Niemal ja upuscilem, a nawet chcialem odrzucic, poniewaz poczulem, jak do mojego ciala poplynela od niej sila.

Ostroznie przesunalem petle po ostrzu, potraszajac mieczem, aby odsunac ja od mych palcow i unioslem ku oczom. Na klindze wisial zapiestek, moze niegdys sluzacy do ochrony przedramienia lucznika, szeroki na dwa palce. Wykonany byl byc moze z metalu, ale nie znanego mi. Wyjety z wody lsnil, przyciagajac wzrok. Byl blekitnozielony, ale gdy go tak trzymalem blisko oczu, zauwazyłem na nim wielce zawily wzor z poplatanych i przeplatanych zlotoczerwonych nici. Niektore z nich, byłem pewny, wily sie w runy.

Nie mialem zadnej watpliwosci, ze ta rzecz nalezala do Dawnych, a i zachowanie Hiku upewnilo mnie, iz tkwi w niej Moc. My z dolin wiemy, ze na reakcjach zwierzat mozna bardziej polegac niz na wlasnych odczuciach, gdy trzeba rozpoznac jakas rzecz z przeszlosci. Gdy zbлизylem sie z tym zapiestkiem do kuca, nie zdradzil zadnego niepokoju, co zrobilby z pewnoscia, gdyby to cos przenikala Mroczna Sila. Kuc wyciagnal leb do przodu, jakby



wietrzył przyjemny zapach.

Osmielony jego zachowaniem dotknąłem zapiestka koniuszkiem palca. Znowu poczułem bijące zeń sily. Wreszcie przezwyciężyłem obawę, zsunąłem go z ostrza miecza i wzięłem w dłoń.

Albo sily zelzały, albo ja przyzwyczailem się do nich.

Odczuwałem jedynie łagodne ciepło. I przypomniałem sobie inną pamiątkę - Gryfa zamkniętego w kryształowej kuli. Niewiele myśląc wsunąłem dłoń w zapiestek. Przyłgął wygodnie do przegubu, jakby go dla mnie zrobiono. Gdy uniosłem rękę do oczu, splątany rysunek zdawał się falować, poruszać. Szybko opuściłem dłoń. Przez chwilę trwająca krocej niż oddech lub dwa zobaczyłem... co zobaczyłem? Gdy odwróciłem wzrok od zapiestka, nie potrafiłem tego nazwać - wiedziałem tylko, że było to bardzo dziwne oraz że zląkłem się tego. Lecz wcale nie pragnąłem zdjąć tego, co znalazłem. Co więcej, gdy spojrzałem na przedramię wsiadając na kuca, przyszła mi dziwna myśl, że gdzieś... kiedyś... taki nosiłem. Możliwe by to było? A jednak gotów byłbym przysiąc na krew, iż podobnego nigdy nie widziałem. Lecz kto zdoła rozwikłać tajemnice Dawnych?

Hiku szedł razno, a ja nadal nasluchiwałem rogu łowczego i ujadania sfory. Raz wydało mi się, że je słyszałem, ale bardzo cicho i bardzo daleko, i to mnie pokrzepiło. Najwyraźniej Hiku dobrze wybrał drogę.

Nie starał się wyjść ze strumienia, lecz nadal brodził pewnie przez wodę. Nie popędzałem go, woląłem jemu pozostawić wybór.

Strumien zakrecal i zasloną z lisciastych krzewow rozsunela sie, ukazujac niezwykly widok. Hiku kierowal sie ku piaszczystej mierzei po prawej stronie, ale ja patrzyłem przed siebie, zdumiony.

Lezalo przede mna jezioro, widok dosc pospolity w dolinach, ale zadziwilo mnie to, co wzniosl na nim czlowiek - lub istoty myslace. Nad woda w najszerszym jej miejscu przerzucono most - nie po to, aby nim przejsc na druga strone, ale by dostac sie do budowli, do niewielkiego zamku wzniesionemu na wodzie. Na poziomie mostu zamek nie mial okien, ale na następnym pietrze i w dwoch basztach z bramami widnialy waskie, podluzne otwory, im wyzej tym szersze.

Stad, gdzie stalismy, z brzegu, budowla zdawala sie nie tknieta przez czas. Natomiast przeciwny kraniec mostu, przerzuconego na drugi brzeg jeziora, nie istnial. Pozostale wejscie znajdowalo sie niedaleko nas i mimo ze zamek mial niezwykly wyglad (najwyrazniej byl z czasow Dawnych), wydal mi sie najlepszym schronieniem na nadciągajaca noc. Hiku nie opieral sie wcale przed wejsciem na most. Szedl smialo, a jego kopyta wygrywaly dudniacy rytm, w ktory wsluchiwałem sie, jakbym spodziewal sie odzewu zza murów.

Przekonalem sie, ze wybor miejsca na nocleg byl trafny, bo czesc mostu przy baszcie mozna bylo wciagnac, tak aby miedzy ladem a zamkiem zerwac polaczenie. Pierwsza moja mysla bylo: czy da to sie jeszcze uruchomic? Przywiazalem koniec mojego sznura do pierscieni, ktore tam znalazlem.

Hiku ciagnal dzielnie, a ja pomagalem mu z calych sil. Juz myslalem, ze z czasem czesc zwodziona wrosla w posade mostu

i nie poruszy się, ale podważyłem złącza mieczem, wymiotłem złogi ziemi i nawiane w szpary liście i spróbowałem raz jeszcze. Tym razem mechanizm drgnął i puścił, nie odsuwając się tyle, ile zamierzyli budowniczowie, ale wystarczająco, by między mostem a wieżą powstała duża wyrwa.

Przedemną ciemniała brama. Poczulem się zły na samego siebie, że nie miałem ze sobą czegoś, co mogłoby posłużyć jako pochodnia. Po raz wtóry zawierzylem zmysłom kuca. Gdy spuściłem go z liny, westchnął głęboko i powoli, nie prowadzony ani nie ponaglany, podążył naprzód z lekko zwieszonym łbem. Szedłem za nim, przekonany, iż znaleźliśmy się w miejscu, gdzie mogłyby gromadzić się stare sny, ale nie one nam teraz były groźne.

Nad nami w zwalistej baszcie ziała lukowato wygięta brama, ale za nią pobłyskiwało światło i znaleźliśmy się na dziedzincu, na który otwierały się główne pomieszczenia budowli. Jeżeli wzniesiono ją na prawdziwej wyspie, to nie było tu tego widac, ponieważ z zewnątrz mury ginęły w wodzie. Ponad dziedzincem, od jednej baszty do drugiej biegła galeria, do której wiodły schody z prawej i lewej strony.

Posrodku otwartego podwórca rosły różne zioła. Trawa, krzewy, nawet kilka drzewek, dzieliły się ciasnym kawałkiem przestrzeni. Hiku zaczął je skubac, jak gdyby cały czas wiedział, że czeka tu na niego pastwisko. Ciekaw byłem, czy istotnie wiedział - i czy przechodził tedy Neevor.

Upuściłem sakwę podróżną i wszedłem dalej, pod drugą basztą na bliźniaczy most. Stał twardo, nie naznaczony działaniem żywiołów i czasu. Pomyslałem o ogromnej różnorodności ruin

pozostawionych przez Dawnych. Z jednymi czas oszczędził się bardzo źle - na przykład z tymi, które z Kiwalem odkryliśmy wzdłuż Drogi na Odlogach. natomiast inne stały nie naruszone, jakby ich budowniczy opuścili je zaledwie wczoraj.

Za drugą basztą ziała wyrwa, nie dlatego, że zwodzona część mostu była podniesiona, czego się spodziewałem ale że budulec mostu stopił się tutaj na żużel. Wyciągnąłem dłoń, by dotknąć tej powierzchni i poczułem ukłucie bólu. Zapieknięcie na moim przegubie jasniało, co uznałem za ostrzeżenie. Wrocilem na dziedziniec.

W ogrodzie - o ile był to ogród - znalazłem drwa. Lecz niespieszne mi było zrobić z nich pochodnie. Nic miałem teraz ochoty wejść do komnat na galerii i zwiedzić wyższe piętra baszt. Nazbierałem suchej trawy z lat poprzednich i ona, w połączeniu z moją burką, której nie udało się uchłonić dymem, posłużyła mi za posłanie. Znalazłem też wodę bieżącą z rury zakończonej dziwnym łbem, z którego warg i oczu strumień płynął do koryta i dalej rynienką. Hiku napił się jej bez wahania, ja umyłem swoją zakopconą twarz i ręce i także napiłem się do syta.

Zjadłem jeden suchar, pokruszyłem drugi i rozsypałem na szerokich liściach dla Hiku. Zjadł ze smakiem i wrócił do skubania trawy dopiero, gdy wymiotł ożorem ostatni okrusek.

Ułożyłem się na mojej burce, rozwiązałem kaptur i było mi tak wygodnie, jak każdemu zwiadowcy w polu. Leżałem patrząc na gwiazdy, gdy zapadała noc.

Na zewnątrz plaskała o mury woda, niedaleko huczał owad, a później doleciał mnie szmer skrzydlatego nocnego łowcy. Na

wyższych pietrach zapewne gniezdziły się sowy i kozodoje. Poza tym ogarniała mnie cisza, która szła w parze z pustką panująca w tym miejscu. Czulem się pokrzepiony na duchu tym, że poprzedniego dnia usmiechnął się do mnie los, że odczytano moje znaki, że znalazłem talizman...

Talizman? Czemu tak w myślach nazwałem zapiestek?

Wyszukałem go palcami drugiej dłoni. Był lekko ciepły, leżał jak ulal na przegubie - nie przesunął się, gdy go potarłem, a mimo to nie czulem, by mnie bolesnie uciskał. Wyczulem pod palcami, że jego rysunek jest z lekka wypukły i uświadomilem sobie, że staram się przesledzić dotykiem niektóre linie na nim. Robilem to jeszcze, gdy zmorzył mnie sen.

Był to głęboki sen, wolny od marzeń, i obudzilem się rzeski, pełen wiary w siebie. Wydalo mi się, że gotow jestem bez obaw stawic czoło wszystkiemu, co ten dzien przyniesie. Chcialem szybko isc dalej.

Hiku stal przy korycie potraszajac lbem, pryskajac kroplami wody ze zmoczonego pyska. Zawolalem na niego wesolo, jakby mogl mi odpowiedziec ludzkim glosem. Zarzal, jakby uwazal, ze takiego ranka z radoscia czuje sie, ze sie zyje.

Nawet teraz, przy swietle dziennym, nie mialem ochoty na zwiedzanie wnetrza zamku. Musialem sie dowiedziec, co stalo sie z Joisan. Zwlekalem tyle tylko, aby sie posilic, potem bylem gotow isc.

Teraz zaczalem sie zastanawiac, czy ta czesc zwodzonego mostu, ktora sila zeszlego wieczora wciagnelismy, bedzie mozna opuscic z powrotem. Obejrzałem ja dokładnie. W jasnym swietle

dnia spostrzegłem wystający z krawędzi północnego progu kij gruby jak moje przedramię.

Był za krótki, by służyć za wspornik, ale musiał mieć swoje przeznaczenie i miałem nadzieję, iż on właśnie uruchamia mechanizm mostu. Aby się o tym przekonać, napałem na kij całym ciężarem swego ciała - i nic. Od nacisku przeszedłem do rwan. Usłyszałem twardy zgrzyt, poczułem luz i znowu napałem.

Część mostu, która z takim wysiłkiem podnieśliśmy wczoraj, drgnęła i zaczęła z wizgiem posuwać się powoli zamykając wyrwę. Do zupełnego zamknięcia nie stało może stopy. Taka przepaść nie zatrzyma nas.

Już z brzegu, zanim dosiadłem Hiku, popatrzyłem jeszcze raz na zamek na jeziorze. To oczywiste, że zbudowano go z przeznaczeniem na fortece. Tak łatwo byłoby tu się bronić, że chciałem go zapamiętać. Może posłuży mi w przyszłości. Przez zwodzony most nawet pełzające potwory najeźdźcy nie dosięgną mieszkańców. A w niższych, niespekanych murach z łatwością pomieści się jedna trzecia całej armii południa. Tak, ta forteca może okazać się przydatna.

Gdy skierowałem teraz Hiku na północ, zamierzając przeciąć szlaki uciekinierów zdążających na zachód, zauważyłem, że ziemia nad brzegiem jeziora musiała niegdyś być uprawiana plugiem. Nadal rosły tu keпки skarłowacialej pszenicy. Miałem sad pełen drzew z dojrzewającym owocem. Ta ziemia niegdyś zapewne żyła mieszkańców grodu na jeziorze. Miałem ochotę zapuścić się na poszukiwania, ale myśl o Joisan na to nie pozwalała.

Dzień cały zajęło mi przebycie tych pol i dojście do kranców wzgorza. Widziałem mnogosc zwierzyny, pasace się sarny - co oznaczało brak łowców. Gdy docierałem do wzgórza, widziałem też chude krowy o przerażonych oczach, które zapewne odłączyły się od stad pedzonych przez najeźdźców. Te, które zobaczyły mnie, parskaly i uciekaly, galopujac niezgrabnie.

Na wzgórzach znalazłem bydlecę trop znaczonej odciskami racic i odchodami. Trop wiodł ku rozpadlinie i szedłem za nim ostrożnie, mając nadzieję znaleźć łatwe przejście przez góry, ale jednocześnie świadom, że za bydłem mogą iść myśliwi.

Ale nie natknąłem się na wroga. Wreszcie, dzień później, trafił zdarzył, że znalazłem dokładnie to, czego szukałem: ślady pozostawione przez nieliczną grupę, nie obeznaną z prawem lasu na tyle, by umieć je zatrzeć. Mieli tylko trzy konie, a większość śladów pozostawiły kobiety i dzieci. Musieli to być uchodźcy z Ithdale i istniała jedna szansa na tysiąc, że jest wśród nich Joisan. Jeśli nie, może dowiem się od nich czegoś o jej losach.

Trop był kilkudniowy. Starali się trzymać kurs na zachód, ale kraina to była dzika i układ terenu zmuszał ich do zbaczania na południe.

Szedłem więc za tropem, a rano czwartego dnia wspiałem się na grzbiet skalny i czując dym podkradłem się, by sprawdzić, czy rzeczywiście byli to uchodźcy, a nie banda zwiadowców wroga.

Dolina w tym miejscu rozszerzała się, w środku płynął strumień. Nad jego brzegami stały szalasy sklecone z gałęzi i pokryte trawą. Nad ogniem pochylała się kobieta, dokładając po jednym

patyku. Gdy patrzyłem, z szalasu wyszła inna i wyprostowała się

W porannym świetle błysnęła kolczuga, która naciągała na siebie. Miała odkrytą głowę i warkocz spływał czerwono-brązowym sznurem wzdłuż jej pleców. Znowu uśmiechnął się do mnie los to musiała być Joisan. I chociaż stałem zbyt daleko, by przyjrzeć się jej twarzy, byłem tego pewny.

Miałem teraz jasny cel: stanąć przed nią jak najszybciej. A gdy ze zdecydowaniem oddaliła się od ognia i zaczęła iść wzdłuż rzeki, poczułem radość. Chciałem spotkać ją sama, a nie na oczach ludzi.

Jeżeli odwróci się ode mnie z obrzydzeniem na widok moich rąk, nasz związek skończy się, zanim się zaczął. Chciałem to wiedzieć, ale nie potrzebowałem świadków. Zesliznałem się w dół po stoku, aby wyjść jej naprzeciw z taką samą ostrożnością, jakby była wrogiem.

## Joisan

Gdy przedzieraliśmy się na zachód uciekając z Ithdale, szczęście się do nas uśmiechnęło, bo odnaleźliśmy trzy blakające się kucyki, na których grzbiecie mogli po kolei jechać słabsi. Tak rozporządziłam - że dzielimy się po równo wszyscy, bez względu na stan. Yngilda patrzyła na mnie spode łba, natomiast lady Islaugha po swym pierwszym wybuchu umilkła i zachowywała się tak, jakbym nie istniała. Byłam jej za to wdzięczna. Przekonałam się już drugiego dnia podróży, iż do Norsdale nie ma łatwej drogi. Najezdźcy w poszukiwaniu uciekinierów lub zwierząt przeczesywali teren, co zmusiło nas do zejścia z kursu.



Na szczescie bylo lato i mogliśmy sypiac pod gołym niebem, a największa nasza potrzeba była żywność. Nasze zwierzęta mogły się pasć, ale my nie napelnilibyśmy żołądków trawą. Z każdym dniem pokonywaliśmy coraz krótsze odcinki, zmuszeni po drodze szukać jedła.

W tej sprawie przewodnikiem był nam Insfar, pasterz, który znalazł się na dzikich jagodach i jadalnych roślinach. Były też grzyby, a każdy strumień czy jezioro kusily, by zarzucić wędkę.

Mielismy zbyt mało beltów i strzał, aby trwonić je na strzelanie do zwierzyny, chyba że cel był pewny. Zabroniłam użytych beltów wyrzucać. Rudo, mimo że miał jedno oko dobrze celował z procy i zawsze ją miał przy sobie razem z zapasem kamyków. Cztery razy przynosił nam krowika na zupę, ale gdy przyszło się dzielić, starczyło to za ledwie na kęs mięsa dla każdego z nas.

Mielismy drugi kłopot, który od samego początku zwalniał nasz krok. Martina, za ledwie zeszłej jesieni zaślubiona synowi wioskowego bacy, była brzemienna, tuż przed rozwiązaniem. Wiedziałam, że musimy znaleźć - i to szybko - miejsce, gdzie nie tylko moglibyśmy rozłożyć się obozem, ale i znaleźć pożywienie. Lecz zdawało się, że na tej dzikiej ziemi nigdzie nie znajdziemy przytulku.

Piątego dnia naszej rozpaczliwie powolnej podróży Rudo i Timon wrócili ze zwiadu z pogodniejszymi twarzami. Już co najmniej dobre nie było widać żadnych śladów najeźdźcy i zaświtała nadzieja, że znaleźliśmy się poza ich zasięgiem. Nasi zwiadowcy znaleźli miejsce na oboz. Był czas najwyższy, jak mi się zdało, gdyż Nalda, która doglądała Martiny, miała poważną minę.

Rudo mowil, ze jezeli skierujemy sie nieco na poludnie, znajdziemy dolinke, gdzie jest nie tylko woda, ale i zwierzyna. Odkryl tam tez krzewy zupełnie dojrzałych sliwek. I nie natrafil na zadne slady innych gosci.

-Lepiej chodzmy tam, panienko Joisan - powiedziala Nalda, jak zwykle bezposrednio. - Tej tutaj - skinela na Martine, ktora siedziala na najblizszym kucu z opuszczona glowa i rekoma przycisnietymi do wydetego brzucha - juz niewiele brakuje. Mysle, ze nie wytrwa do konca dnia.

Weszliśmy w dolinke. Tak jak obiecywal Rudo, miala korzystne polozenie. Mezczyzni, chociaz Insfar mogl posluziwac sie tylko jedna reka, a Angari mial tylko jedna dlon, zaczeli scinac mlode drzewka i budowac szalasy, a pierwszy gotowy zajela Nalda dla Martiny.

Przewidziala dobrze. Do czasu wzejscia ksiezycy dolaczyl do nas jeszcze jeden towarzysz, ktory wrzeszczac zdrowo otrzymal imie Alwin, po swym poległym ojcu. I tak zostalismy zmuszeni do pozostania dluziej w tym miejscu.

Nastepnego ranka rozprawilam sie z Yngilda. Aby przetrwac, musielismy zgromadzic jak najwiecej pozywienia, utrzymywac sie ze skromnych racji, a reszte suszyc czy inaczej przygotowywac na dalsza droge.

Umialam zaopatrzyć zamek, ale tutaj, gdzie nie mialam soli, naczyn kuchennych ani przyborow do pracy - niczego procz rak, pamieci i tego, co udalo mi sie w potrzebie i napredce wymyslic - zadanie to wydalo mi sie zbyt trudne. Mimo to musialam sie z nim uporac.

Kobiety z wioski wykonywały polecenia bez słowa, nawet dzieci u boku matek robiły, co im kazano. Gorąco oblewało mnie ze złości, gdy Yngilda nie ruszała się ze swojego szalasu ani nie dołączała do zbieraczy.

Poszłam do niej, dzierząc w dłoni sakwę uplecioną z trawy i cienkich pnaczy. Prośba jej nie rusze, tego byłam pewna. W tym przypadku należało uciec się do ostrych słów, a to przy moim nawale kłopotów i pracy wcale nie przyszło mi z trudnością.

-Wstawaj! Pojdiesz z Nalda i będziesz jej słuchać!

Zmierzyła mnie tępych wzrokiem.

-Słyszysz nam, Joisan. Jeśli ty masz ochotę babrać się w błocie razem z wiesniaczkami, proszę cię bardzo. Ja nie zapominam o mej krwi...

-To żyw się nią! - powiedziałam. - Ten, kto zdobywa jado, nie żyje z pracy innych. A ja nie jestem twoją niewolnicą. - Rzuciłam jej sakwę, a ona odtrąciła ją nogą. Odwróciłam się i odeszłam. Ale przysięgałam sobie, że dotrzymam słowa. Była młoda i silna. Podzieliła się z lady Islaugha, ale z nią - nie.

O lady Islaudze myślałam z pewnym zniecierpliwieniem. Od dnia, kiedy powiedziałam jej o śmierci Torossa, zatopiała się w sobie. Inaczej nie mogłam tego nazwać. Podobnie jak w ostatnich miesiącach życia Dama Math, i ona postarzała się widocznie w ciągu jednej nocy. Choć była to kobieta w sile wieku, zdawała się staruszką.

Zamknęła się we własnych myślach i czasem z ogromnym

trudem budziliśmy ją z zamyslenia lub staraliśmy przekonać, aby zjadła to, co jej włożono w reke. Od czasu do czasu mruczala i szeptała, z czego udawalo mi sie pochwycic slowo czy dwa. Odgadlam, ze rozmawiala z tymi, ktorzy dla mnie byli niewidzialni i ktorzy, byc moze, dawno odeszli z tego swiata.

Mialam nadzieje, ze byl to stan przejsciowy wynikly ze wstrzasu i ze w miare uplywu czasu przyjdzie do siebie. lecz pewna tego byc nie moglam. Gdyby tylko udalo mi sie doprowadzic ja do Norstead, gdzie Damy znaly sie na lecznictwie, moze udaloby sie zwrocic ja swiatu. Lecz co dzien Norstead oddalalo sie od nas.

Dla Yiigildy wymowki nie bylo i powinna wziac na siebie swoja czesc naszych trudow. Im szybciej sie o tym przekona, tym lepiej! Nieprzyjemne mialam mysli w glowie, gdy szlam na lowy.

Wzielam ze soba dlugi luk i trzy strzaly. W Ithkrypt udowodnilam swoje zdolnosc w strzelaniu. Ale strzelanie do tarczy, a strzelanie do zywego celu byly to - wiedzialam dwie rozne sprawy, a mnie nie wolno bylo zmarnowac zadnej strzaly. Wieksza nadzieje pokladalam tego ranka w rzece.

Cierpliwie i ostrocznie wyskubalam z brzegu wlasnej kolczugi kilka oczek, wyginajac je na ksztalt haczykow. Sprulam tez podklad oponczy i skrecilam z nici linke. zalosne to bylo wyposazenie dla rybaka, ale nie mialam lepszego. Gdy zbieracze rozdzielili sie, mezczyzni poszli na laki, gdzie kryly sie kroliki, a kobiety w gaszcz sliw. Ja miomiast trzymalam sie brzegu strumienia.

Z koniecznosc musialam zalozyc na pierwszy haczyk nowa przynete. Zawsze wzdragalam sie zrobic krzywde jakiemukolwiek stworzeniu i to, ze zmuszona bylam posluzyc sie zywa istota,

było dla mnie jeszcze jednym przykrym doświadczeniem, które nakładalo się na wszystko, m przeżyłam w niedawnej przeszłości.

Znalazłam miejsce, gdzie mogłam, brodzac, dojść do kanciastego glazu, który zewsząd omywała woda. Rosły nad nim drzewa i było chłodno i cienie, ale nie tak chłodno, bym nie zechciała zdjąć kolczugi i pikowanego spodu i zostać w samej halce, a marzyłam, by i ja zrzucić, wejść do wody i wynurzyć się obmyta z kurzu i potu drogi - i ze wspomnień.

Gryf zwisał luzno, lecz nie było w nim ani śladu życia, jak tamtej nocy, kiedy uciekałam z Torossem. Przyjrzałam się kuli. Była cudownie wyrzeźbiona. Skąd pochodziła? Czyżby zza morza? A może był to jarmarczny podarek kupiony od jakiegoś handlarza Sulkarczyka? Lub... talizman Dawnych?

Talizman - rozważyłam te myśli. Czy to ta kula zaprowadziła nas dwoje uciekających z Ithkrypt do miejsca gwiazdy we wnętrzu lasu? Ono należało niegdys do Dawnych, a to... Czy możliwe, by podobne błyskotki miały związek z tym, co pozostało po Starej Rasie?

Była to frapująca myśl, ale nie miała wiele wspólnego z jadem. Lepiej zajęć się tym, co mnie tu przywiodło. Rzuciłam linke z przynętą do wody.

Brały dwa razy, lecz nie udało mi się żadnej złapać, a druga zerwała haczyk. Nigdy nie byłam nadto cierpliwa, ale tego ranka wymusiłam na sobie tak wielką cierpliwość jak nigdy przedtem.

Na drugi haczyk złapałam dwie ryby, obie niestety nieduże.

Zaczelałam się obawiać, że jeśli nie dopisze mi szczęście, to niewiele się przyczynię do uzupełnienia naszej spizarni. Pozostawiłam głaz i podążyłam dalej z biegiem strumienia, gdzie ku mej radości napotkałam kepe rzezuchy, którą ogolociłam z listków.

Gdy słońce zwrociło się ku zachodowi, skierowałam się z powrotem do obozu. Zjadłam kilka jagód i zulałam liście rzezuchy, ale głód ssal mnie aż do bólu; miałam jedynie nadzieję, że pozostałym się lepiej poszczęściło. Gdy odwróciłam się od rzeki, szczęście uśmiechnęło się do mnie po raz pierwszy tego dnia.

Usłyszałam głuchy pomruk i jeszcze niższy odzew. Upuszczając sakwę z rybami i rzezucha chwycił luk i strzały i przesliznęłam się przez gęste poszycie.

Nad trupem świeżo zabitej krowy przysiadł młody zbik śnieżny, stuliwszy uszy i odsłoniwszy zęby w śmiercionośnym grymasie. Naprzeciw stał dzik borsu.

Obaj groźni i obaj padlinożercy. Dzika wcześniej musiało os rozwścieczyć, albo też szalał z głodu, bowiem inaczej nigdy nie odwazyłby się walczyć ze zbikiem o jego własną zdobycz. Zdawało się, że kot śledzi dziką z obawą, jakby wyczuwał, iż zaczepka tamtego jest podwójnie niebezpieczna. Dzik rył ciosami rozgrzebaną racicą ziemię i podrzucał kawałki darni, kwicząc coraz głośniej.

W starciu dzik ciężarem zwycięży z bika - pomyślałam. W życiu widziałam tylko dwa dziki borsu i żaden z nich nie siegnąłby temu potworowi do barku ani nie dorównał waga.

Zbik wrzasnal rozsierdzony i skoczyl - nie na przeciwnika, ale w tyl, porzucajac zdobycz. Dzik rzucil sie za nim w pogon z nadzwyczajna zwinnościa. Ze wściekla skarga zbik skoczyl na skale i wdrapal sie po niej na gore. Slysalam, jak tam syczy, prycha i zawodzi coraz ciszej, w miare jak sie oddalal, pozostawiajac pole bitwy dzikowi, ktory stal i nasluchiwal z przekrzywionym lbem.

Wtedy prawie nie myslac, zaczelam dzialac. Bylo to niebezpieczne. Jezeli tylko zranie to rozwscieczone zwierze, to prawdopodobnie czeka mnie straszna smierc. Lecz dzik nie zwietrzył mnie jeszcze, a zdawal sie byc obiecana gora jadla i, zglodniala, nie potrafilam sie jej oprzec. Stalam w miejscu dogodnym do strzalu.

Wypuscilam strzale i natychmiast uskoczylam w tyl, kryjac sie mozliwie najglebiej w zaroslach. Uslysalam straszliwy kwik i dudnienie, ale nie mialam odwagi czekac. Jezeli spudlowalam, to ta czworonozna smierc bedzie mnie scigac. Ucieklam.

Zanim dopadlam obozu, trafilam na Rudona i Insfara. Dyszac opowiedzialam im, co zaszlo.

-Jesli dzik nie scigal cie, pani, to dlatego, ze nie mogl - powiedzial Insfar. - Te diabły wcielone zawsze rzucaja sie do ataku. Lecz moze celowalas dobrze...

-To bylo niepowazne - dodal Rudo kwasno i bez ogrodek. - Mogl cie zabic.

Mowil prawde. Glod sprowadzil na mnie skonczona glupote. Z pokora przyjelam jego slowa, wiedzac, ze moglam teraz tam

lezec bez zycia.

Wrocilismy, przeczesujac teren jak zwiadowcy spodziewajacy sie ataku z zasadzki. Okrazylismy miejsce niedawnej walki idac od stoku. Gdy wreszcie odnalezlismy polane, wciaz lezala tam zagryziona krowa, a nieco dalej, na skrwawionej ziemi, porytej ciosami i racicami - dzik. Moja strzala trafila go nad barkiem i poszla prosto w serce.

Ten przypadek przyniosl mi wielkie powazanie w naszej grupie. Podobne rzeczy zdarzaly sie tak rzadko, iz mozna by sadzic, ze to Moce mi pomogly. Od tej godziny moi ludzie poczeli chyba uwazac, iz posiadam nieco tej wiedzy i umiejetnosci, ktore miala Dama Math. Chociaz otwarcie mi tego nie powiedziano, widzialam, jak czynia w moim kierunku zyczliwe znaki i jak w skupieniu sluchaja wszystkiego, co mowie, jakbym byla wyrocznia.

Yngilda nadal byla jak ciern w moim ciele. Dotrzymalam obietnicy juz pierwszego wieczoru i gdy mieso pieklo sie nad ogniskiem, a od jego zapachu soki naplywaly do ust, odezwalam sie donosnie, aby kazdy slyszal.

-Wszyscy zdrowi na ciele, ktorzy na rowni z pozostalymi nie pracowali przy zbieraniu zywnosci, nie beda z nami dzielic owocow naszej pracy - rzeklam zaraz po zlozeniu podzieki za zniwo tego dnia. Dopilnowalam, by kazdy - procz Yngildy - otrzymal swa porcje. Otwarcie jej odmowilam, aby wszyscy wiedzieli, iz stan nie jest dla mnie wymowka za lenistwo.

Oskarzyla mnie, krzyczac, ze ciazzy na mnie klatwa krwi wobec jej Rodu. Lecz niewzruszona odparlam, ze przyjelam pod swoja



opieke lady Islaughe i jej bede sluzyc. Wszyscy zgromadzeni sa moimi swiadkami. Natomiast Yngilda jako mloda i silna nie znajdzie tutaj nikogo, kto by jej uslugiwal. Wszystkim bedziemy sie dzielic po rowno.

Sadze, iz chetnie rzucilaby sie na mnie i paznokciami zorala ma twarz i oczy. Lecz byla sama, a nasza spolecznosc oceniala ja podlug jej wlasnej wartosci. Wiedziala o tym. Wreszcie wsliznela sie z powrotem do swego szalasu i slyszalam, jak placze, ale byl to szloch wscieklosci, nie smutku. Nie mialam dla niej litosci. Rownoczesnie wiedzialam, iz zyskalam sobie nieprzejednanego wroga.

Jednakze gdy minal dzien czy dwa, Yngilda rzecz przemyslala i przelknela uparta dume. Nie wykonywala swoich zadan z ochota, ale pracowala, a nawet kiedy rozebralismy na czesci zdobyczna krowe zbika, pomagala - choc cuchnace to bylo zajecie - przy rozkladaniu paskow wolowiny, ktora suszylismy na sloncu.

Nie zmarnowalismy niczego: ani kosci zadnego ze zwierzat, ani ich skor (choc mozna je bylo tylko z grubsza wyprawic), ani ciosow dzika. Martina odzyskiwala sily, wiec mialam nadzieje, ze zanim mina cieple dni, bedziemy mogli ruszyc do Norsdale i wreszcie zloze moje brzemie wodza.

Lady Islaugha zaczela oddalac sie od obozu, moze w poszukiwaniu Torossa. Ktos musial jej wiecznie pilnowac, poniewaz ogarnieta wewnetrznym przymusem zdawala sie nabierac sil i wyruszala raznym krokiem, czesto walczac z pilnujacych, jezeli chcial ja zatrzymac, ale wnet meczyla sie i slabla. Wowczas jej stoz sprowadzal ja z powrotem.

Timon zrobił kilka mocniejszych haczyków na ryby i nadal chodziłam próbować szczęścia w wodzie. Zapewne ze zwykłego uporu chciałam koniecznie odnieść i tu zwycięstwo jak nad dzikiem. Lecz sądząc po skutkach, w wodzie miałam mniej powodzenia niż na lądzie. Była tak przejrzysta, iż częstokroć spostrzegałam w glebi cienie ryb olbrzymich (w porównaniu ze zwykłymi rybami, mniej ostrożnymi, bo czasem udawało się kilka złowić). Lecz ja albo nie znalazłam się na zakładaniu przynęty, albo te były zmyslniejsze niż pospolite ryby.

Gdy trzeciego dnia szłam w dół rzeki, poczułam nagle, że ktoś mnie śledzi. Uczucie to było tak palące, iż sięgnęłam do noża Torossa, który nosiłam u pasa. Raz po raz zatrzymywałam się i rozglądałam w przekonaniu, że jeżeli wystarczająco szybko się odwróci, to uda mi się zobaczyć jakąś twarz w lesie lub wśród zarośli.

Ogarnął mnie taki niepokój, że zdecydowałam się wrócić do obozu i ostrzec swoich. Może jakiś zwiadowca wroga natrafił na nasze ślady? Jeśli tak, to już jesteśmy skazani na śmierć, chyba że uda nam się go pochwycić i zabić, zanim zanieśie wieść do swojego oddziału.

Już zawracałam, gdy nagle krzew rozchylił się i ktoś wyłonił się z niego. W tej samej chwili chwyciłam za stal, gotowa się bronić.

Uniosł w górę puste dłonie, jakby wiedział, co przemknęło mi przez myśl. Równocześnie zdałam sobie sprawę, że to nie wrog. Miał rozsznurowany i rozłożony na ramionach kaptur bitewny. Nie nosił żadnego kaftana ani kurty opatrzonej znakiem, a jego kolczuga i skorzane odzienie zdawały się wytarte i zmatowiałe, jakby z rozmysłem przyciemnione.

Ale - gdy mierzyłam wzrokiem jego szczupłą postać, znieruchomiałam. Nie nosił butów, jego skórzane spodnie były spięte paskami i klamrami u kostek, a jego stopy... on nie miał stop! Stał na racicach jak krowa.

Widząc coś, co nie było możliwe, podniosłam wzrok do jego twarzy, prawie spodziewając się ujrzeć tam coś potwornego. Nic takiego nie zobaczyłam. Była to twarz mężczyzny, opalona słońcem i wiatrem: policzki nieco zapadłe, wargi zacięte. Nie był tak urodziwy jak Toross i... oczy nasze spotkały się. Mimo woli cofnelam się o krok. Te oczy, podobnie jak nogi zakończone kopytami, nie były oczyma człowieka. Ciemnozłote, miały barwę bursztynu, która nazywamy "masłana", a zrenice bardziej przypominały szczeliny niż krąg. Oczy nieczłowiecze...

Gdy odsunelam się od niego, zmienił się na twarzy - albo może mi się zdawało. Przypomniałam sobie nauki Damy Math (czyżby ona, zanim poszła do Norsdale, znalazła kogoś podobnego?) i nakresliłam między nami znak w powietrzu.

Uśmiechnął się, ale ten uśmiech wydał mi się gorzki, niemal krzywy, jakby żałował, iż rozpoznałam, kim jest: jednym z Dawnych. Po raz pierwszy odezwał się.

-Pozdrawiam cie, pani.

-I ja ciebie... - Zawahałam się, nie wiedząc, jak mam z należytą czcią tytułować Dawnego. Wreszcie powitalam go słowami, jakich użyłabym wobec kogoś równego mi stanem w dolinach:

-Pozdrawiam cie, panie.

-Nie usłyszałem, byś dodała "mile to spotkanie" - ciągnął. -  
Czyżbyś, nie upewniwszy się, uważała mnie za nieprzyjaciela?

-Uważam, że nie mnie cię oceniać, panie - odrzekłam  
szczerze, wierząc w to, jak i w to, że być może umiesz czytać w  
moich myślach. To dziecinna igraszka dla nich.

Zdawał się zakłopotany.

-Myślisz, że kim jestem, pani?

-Jednym z tych, którzy rządzili tutaj, zanim moi dziadkowie  
przybyli do High Hallack.

-Dawnym... lecz... - Znowu pojawił się na jego twarzy ten smutny  
uśmiech. - Niech i tak będzie, pani. Nie powiem ci tak ani nie,  
boś mnie sama nazwała. Ale zdaje się, że ty i twoi znajdujecie się w  
niewesołym położeniu. Może będę mógł wam pomóc?

Tak mało wiedziałam! Mówiono, że między Dawnymi zdarzają się  
tacy, co są zyczliwi ludziom i czasami pomagają im. Byli też inni,  
rodem z Ciemności, których złośliwość mogła spowodować na  
człowieka śmiertelne niebezpieczeństwo. Ufnosć to cenny dar.  
Jeżeli pomylę się w wyborze, ucierpiemy wszyscy. Lecz w jego  
postaci było coś, co zadawało klam podejrzewaniu, iż wyszedł z  
Ciemności.

-Co możesz nam ofiarować? Chcemy iść do Norsdale, ale  
droga...

Przerwał mi.

-Jeżeli zamierzacie iść na zachód, to wiele tam niebezpieczeństw

na drodze. Ale ja zaprowadze was do miejsca, gdzie znajdziecie lepsze niz tu schronienie. Sa tam owoce i zwierzyna...

Patrzyłam w jego złote oczy, zakłopotana. Gdy tak przemawiał, chciałam mu wierzyć. Lecz nie byłam sama - miałam towarzyszy. A zaufać Dawnemu...

Jego uśmiech zniknął, gdy się wahalam. Na twarzy odmalował się chłód, jakby wyciągnął do mnie dłoń, a ja ją odtraciła. Mój niepokój wzrósł. Może jest z tych, co pomagają ludziom, ale gotów obrazić się, jeśli odmowimy, i ściagniemy na siebie jego złość.

-Musisz mi wybaczyć, panie. - Szukałam słów, które ulagodziłyby gniew, który - obawiałam się - ogarniał go. - Dotąd nie spotkałam się z... podobnymi tobie. Jeżeli nie zachowuje się jak powinnam, to jedynie z niewiedzy i nie miałam zamiaru cie obrazić. W dolinach znamy was tylko z legendy. Niektóre opowieści malują was korzystnie, w innych słyszymy o Mrocznych, którzy niosą nienawiść, nie przyjaźń. Stąd postępujemy ostrożnie w waszej obecności.

-Ponieważ Dawni posiadają to, co wy nazywacie Moca - powiedział. - Coz, być może. Lecz ja mam wobec was tylko dobre zamiary, pani. Spójrz na to, co nosisz na piersiach, weź to w dłoń i podaj mi, abym mógł dotknąć tego koniuszkiem palca... przekonasz się, że mówię prawdę.

Spojrzałam na kryształową kulę. Chociaż padało na nią jasne światło słoneczne, a nie poświata księżycowa, widziałam, że jasnieje; zdawało się, że Gryf wewnątrz uwieziony przemówi za tym nieznanym, bo tak dziwnie patrzył, jakby wszystko

wiedział. Zrobiłam, jak mi polecił: zdjelałam lancuch z szyi i podalam mu kule na dloni.

Dotknal jej koncem palca zaledwie, a kula rozblysla tak promiennie, ze o malo jej nie upuscilam. W jednej chwili nabralam pewnosci, ze wszystko, co mowil, bylo prawda, i ze oto pojawil sie ktos, by nam pomoc. Czulam, ze spadl mi ciezar z serca, choc tym wiekszy stal sie moj nabożny lek.

-Panie! - Sklonilam przed nim glowe, oddajac hold temu, kim byl.  
- Zechciej spojrzec na sluzke twoja, bo zrobie, czego zazadasz...

Po raz wtory przerwal mi, tym razem tak ostro, ze wyczulam w jego tonie nagane.

-Nie jestem twoim panem, pani, ani ty moja sluzka. Jesteś wolna i mozesz wybierac. Moge tobie i twoim dac dobre schronienie i taka pomoc, jakiej spodziewac sie mozna od jednego meza, a znam sie troche na wojaczce. Ale nie zadam od ciebie nic procz przyjazni... jezeli bedziesz chciala mi ja dac kiedyś, gdy lepiej sie poznamy! - Jego glos brzmial tak wladczo, jakby niezbedne bylo, abym jasno pojela sens jego slow (chociaz wcale nie bylam pewna ich znaczenia). Poczulam sie skarcona i wiedzialam jedynie, ze musze postepowac wedle jego zyczen.

Poszlismy razem do moich ludzi i oni rowniez, przestraszeni, cofneli sie przed nim. Patrzylam na niego i widzialam gorycz malujaca sie na jego twarzy. Przyszlo mi na mysl, iz przykre jest mu wrazenie jakie na ludziach sprawia, i ja z kolei odczulam jego bol - choc jak poznalam, ze go boli, nie wiem.

Poniewaz byl, kim byl, jego polecenia wykonywano bez pytania.

Zagwizdal i ze zбочa zbiegl kuc gorski, pewnonogi i spokojny. Na kuca wsadzil Martine. Pozostale kuce objuczylismy wszystkim, co udalo nam sie zebrac i podazyliśmy za nim.

Wreszcie przywioldl nas w miejsce, ktore bylo wspanialsze i bardziej tajemnicze niz stolpy czy baszty w dolinach. Bylo to zamczysko wzniesione na wodzie. Prowadzily don dwa pomosty, jeden z nich zerwany i bezuzyteczny, ale drugi - jak nam pokazal - mial czesc ruchoma, ktora odsunieta pozostawiala obronna wyrwe nie do przebycia dla nieprzyjaciela.

A najwazniejsze bylo to, ze niegdys okoliczne ziemie uprawiano. Znalezlismy wiec owoce i skarlane dzikie zboze gotowe do zecia.

Majac takie zabezpieczenie przed glodem wiedzielismy, iz mozemy zostac tu tak dlugo jak bedzie trzeba, aby ludzie odzyskali sily i aby zgromadzili zapasy na dalsza droge. Moje zaufanie do niego wzrastalo.

Nie wymienil swojego imienia. Moze uwazal, tak samo jak Madre, ze ten, kto pozna imie, jest w mocy zawladnac osoba. W myslach nazywalam go lordem Amber - przez jego oczy.

Piec dni pozostal z nami, upewniajac sie, ze wszystko jest w porzadku. Potem oznajmil, iz wybiera sie na zwiady, by sie przekonac, czy Alizonczycy nie wdarli sie glebiej w lad i czy nie zagrazaja nam.

-Mowisz, panie, jakby Ogary z Alizonu i tobie byly wrogie - powiedzialam zaciekawiona. - Lecz przeciez na twoich nie napadaja, natomiast mnie podobnych zmiataja z powierzchni ziemi.

-Ta ziemia i do mnie należy - odparł. - Walczyłem już z nimi w innych stronach. Będę znowu walczył, poki nie zepchnie się ich z powrotem tam, skąd przyszli - do morza!

Poczułam lekkie podniecenie. Ileż by to znaczyło dla mojego biednego, umęczonego ludu, gdyby istnieli inni, jemu podobni, władający Moca, którzy wsparliby nas w walce na śmierć i życie! Pragnęłam zapytać go, czy rzeczywiście tacy istnieją. I znowu, zdało się, czytał w mych myślach.

-Myślisz, że można by użyć Mocy, by zwyciężyć? - W jego twarzy widziałam posepny smutek. - Przestan o tym marzyć, lady Joisan. Ktokolwiek potęgę tę, ona lub on, wzywa, nie zawsze może ją okiełznać. Lepiej nie wywoływać. Ale ci powiem: sadze, iż to miejsce tutaj jest bezpieczniejsze niż gorska kryjówka. Dobrze zrobisz, jeżeli zostaniesz tutaj, poki nie wróce.

Skinęłam z ochotą głową.

-Bądź pewny, panie, zostaniemy. - W owej chwili dziwnie zapragnęłam wyciągnąć dłoń i choćby dotknąć jego ramienia, jakby mój dotyk mógł jakos ulżyć brzemieniu, które - zdało mi się - wiecznie na nim ciążyło. Ten dziwny pomysł na pewno był bez znaczenia i oczywiście niczego takiego nie uczyniłam.

Kerovan

Dojrzałem lek w jej oczach i poznałem, iż między nami niczego być nie może. Dopiero gdy ją straciłem, poznałem, jak wielką urosła we mnie nadzieja, że przynajmniej dla jednej osoby nie będę potworem, ale mężczyzną. Sprawdziło się moje przeczucie, którym się kierowałem już wtedy, kiedy nie uczyniłem zadość jej



zyczeniu i nie wyslałem swojej podobizny. Teraz nigdy nie dowiesz się, że to ja jestem Kerovanem. Uważała mnie za jednego z Dawnych, a to miało swoje dobre i złe strony. Przede wszystkim nie zadawała pytań, które musiałbym z wysiłkiem omijać lub na nie odpowiadać. Z drugiej strony zaś spodziewała się ode mnie dowodów "Mocy". Z braku tego również będę musiał się tłumaczyć. Lecz przez pierwsze kilka dni nie musiałem wiele mówić. Działalem.

Staneli załóżnym obozem. Za ledwie czterech można było uznać (z trudem) za zdolnych do walki - dwóch dawno już pożegnało swe lata średnie, jednemu brakowało dłoni, drugiemu oka. Było też młode chłopię, które - jak podejrzewałem - nigdy nie miało stali w ręku, i ranny juhas. Reszta to kobiety i dzieci, chociaż niejedna z tych kobiet mogłaby stanąć ramie w ramie ze zbrojnym mężem, gdyby zaszła taka potrzeba.

W większości byli to wiesniacy, ale towarzyszyły im jeszcze dwie szlachcianki - starsza i młodsza. Starsza pograżyła się w głębokiej rozpacz i trzeba było pilnować, by się nie oddalała. Joisan powiedziała, iż jej syn poległ, a mimo to ona wciąż go szuka.

O Ithdale opowiadała dziwne rzeczy, prawie tak dziwne jak zburzenie Ulmskeep. Twierdziła, iż jej własna krewna sprowadziła jakieś objawienie Mocy na zamek, grzebiąc po jego gruzami wielu Alizonczyków. Zanim jednak nastąpił najazd, Ithdale zostało ostrzeżone i Joisan żywiła nadzieję, że wielu udało się stamtąd zbiec na zachód. Oni sami kierowali się na Norsdale, ale teraz zostali bez przewodnika. Była z nimi jeszcze kobieta, która niedawno urodziła dziecko i nie zniosłaby długiej ani męczącej podróży.

Wówczas pomyślałem o twierdzy nad jeziorem. Tam mogliby się schronić, zanim nabiorą siły. Tyle byłem w stanie dla mojej pani uczynić - zaprowadzić ją i jej ludzi w miejsce, gdzie znajdą dach nad głową i pewne bezpieczeństwo.

Nie mogłem nawet czuć się dumny, iż nosiła mój podarunek, bo byłem przekonany, iż nie nosi go na znak przywiązania do mnie, ale ponieważ podobał jej się sam w sobie. Od czasu do czasu widziałem, jak szuka kuli w dłoni i pieści ją, jakby z tej pieszczoty czerpała siłę.

Tej młodszej, Yngildy, spokrewnionej z Joisan, nie polubiłem. Przyglądała się mojej pani spod przymrużonych powiek, a w jej spojrzeniu czaiła się podstępna nienawiść, chociaż Joisan nie wykazywała wobec niej złej woli. Nie miałem pojęcia, co zaszło między nimi w przeszłości, ale w żadnej mierze nie ufalbym tej Yngildzie.

Natomiast sama Joisan... Nie, walczyłem z takimi myślami, przywołując zawsze wspomnienie wyrazu jej twarzy, gdy spostrzegła moje nagie stopy. Mądrze postąpiłem ujawniając moje kalectwo światu. Gdybym je nadal skrywał, przedstawił się Joisan, przekonał się, iż mnie zechce, a wtedy... Nie, lepiej wcześniej poznać gorycz, niż potem cierpieć dwakroć srodzej, pierwszej posmakowawszy słodczy.

Podczas tych kilku dni przeprowadzki do zamku na wodzie poznałem, iż Joisan była jak skarb, wart, aby go dobrze strzec. Chociaż często musiała czuć się zmęczona i przygnębiona, była zawsze gotowa podjąć bez skargi ciężar obowiązków. I wielkość jej odwagi była równa wielkości jej serca. Gdybym tylko miał kształty zwykłego meza...

Gorzkie mi było przypomnienie tamtego snu-nie snu, gdzie smutna czuwała nad umierającym mężczyzną. Czy to przeszłość, czy przyszłość? Nie miałem prawa jej wypytywać, sam wyzbyłem się tego prawa w chwili, gdy wyrzekłem się jej samej.

O ile to będzie w mojej mocy, zaprowadzę ich do Norsdale, jeśli tam można znaleźć bezpieczne miejsce. Potem... co, teraz nie miałem już ziemi. Łatwo mi przyjdzie zniknąć, dołączyć do domowników jakiegoś innego pana, albo udać się na Odlogi, gdzie wygnancy z dolin zabierali swój wstyd i rozpacz. Jednak zawiodę Joisan w bezpieczne miejsce, zanim ją pozegnam.

Kiedy uchodzcy z Ithdale zadomowili się na zamku i opanowali mechanizm rozsuwanego obronnego mostu, poszedłem do Joisan i powiedziałem jej, że powinienem pojechać na zwiady, zobaczyć, co z najeźdźcą. Była to częściowa prawda. Do ucieczki stamtąd zmuszało mnie jeszcze jedno - zmagania z samym sobą. Bowiem czasami ona zdawała się do mnie przemawiać. Nie gestem ani tonem głosu. Ale patrzyła na mnie wtedy, gdy myślała, że moja uwaga jest skupiona na czym innym, a na jej twarzy pojawiał się pytający wyraz, jakby czuła, że łączy nas coś.

Byłem słaby i tęskniłem, by wyjawic jej, kim jestem, korzystając z tego, że nie byliśmy już sobie całkiem obcy. Dlatego zdecydowałem się odejść i nie wrócić, póki nie wezmę się w garść i nie zyskam nad sobą władzy, by nie ulec nigdy temu pragnieniu. Gdy mnie ujrzała pierwszy raz, zobaczyła potwora. Teraz, wierząc iż jestem z Dawnych, których człowiecze kształty nie obowiązywały, przyjmowała mnie takim, jakim byłem. Natomiast ja jako mąż - byłbym szpetny.

Opuścilem zamek na jeziorze, zatoczyłem koło na północ i zachód. Dzika to była kraina, chociaż nie tak spustoszona i przygnębiająca jak Odlogi. Nie znalazłem też innych ruin Dawnych, choć spodziewałem się tego w pobliżu owej zadziwiającej budowli na wodzie.

Trzy dni kluczyłem wzdłuż trasy, jaka według mnie należało iść do Norsdale. Mimo że nie znalazłem żadnego szlaku, rozeznawałem, w jakim mniej więcej kierunku leżało. Droga nie była łatwa: tutaj rozległe płaskie doliny zwały się w przesmyki obwarowane najeżonymi grzbietami skal, a to byłby meczący szlak dla piechurów, nie mogliby iść szybko. W miarę jak zapuszczałem się dalej na zachód, zacząłem rozważać, czy nie lepiej im zostać w zamku na jeziorze i tam doczekać wiosny.

Czwartego dnia natknąłem się na świeży trop. Niewielki oddział, może czterech ludzi. Jechali konno, ale zwierzęta najwyraźniej nie były ciężkimi koniami Alizonczyków. Ślady wskazywały na niepodkute kuce gorskie. Uciekinierzy? Możliwe - ale w czasie wojny nikt nie zawierzy nie sprawdzonemu przypuszczeniu.

Joisan mówiła mi, iż ludzie z Ithdale uciekali różnymi drogami i w małych grupkach. Ci również mogli iść stamtąd. Miałem obowiązek rzecz wybadac i sprowadzić ich, jeżeli w istocie byli z Ithdale.

Jednakże nie ryzykowałem i szedłem za nimi ostrożnie, czujny jak na zwiadowce przystało. Uznałem, iż to ślady sprzed kilku dni. Dwukrotnie natknąłem się na miejsca, gdzie rozkładali oboz, a raczej zatrzymywali się, bowiem nie znalazłem śladu ognisk. Ich droga świadczyła, że nie była to zwykła ucieczka - zdawali się dokładnie wiedzieć, gdzie zdążają, jakby byli świadomi celu, a

nie umykali gnani strachem.

Szli prosto, jeśli pominąć naturalne przeszkody, w kierunku zamku na jeziorze. Gdy to zrozumiałem, moje obawy wzrosły. Czterech ludzi nie stanowiło poważniejszej groźby, ale czterech ludzi uzbrojonych i gotowych do walki mogło zaskoczyć Joisan i jej towarzyszy. Być może są to rozbojnicy z Odlogów, zwabieni tutaj nadzieją na łup.

Trzymałbym się dalej ich tropu, gdyby nie burza. Rozszalała się wieczorem tego samego dnia. Chociaż był to kapusniak w porównaniu z furia rozpetana nad Ulmsdale, której byłem świadkiem, jednak niełatwo było posuwać się dalej w strugach deszczu i podmuchach wichru. Gdy zapadła ciemność, byłem zmuszony poszukać schronienia i przeczekać burzę.

Czekałem, a na myśl przychodziło mi jedno zło po drugim. Teraz byłem przekonany, iż szedłem w ślad za nieprzyjaciółmi. A zbyt długo mieszkalem na granicy Odlogów, aby nie wiedzieć, co banicy robią z bezbronnymi. Mogłem tylko nie tracić władzy nad sobą i ufać, iż Joisan postąpiła według moich ostatnich wskazówek, rozsunęła most, i że nie wpuszcza na zamek nieznanym. Ithkrypt nie zaznało takich łupieżców. Przywitają wtedy każdego człowieka z dolin jak przyjaciela.

Rano przejasniło się, ale deszcz zmienił trop. Miałem zbyt wiele na głowie, by ich szukać. Pędziła mnie teraz przemożna potrzeba powrotu nad jezioro i sprawdzenia, co tam zaszło.

Jeszcze dwa dni popędzałem i siebie, i Hiku aż do granic wytrzymałości. Gdy znalazłem się wreszcie w dolinie z jeziorem i ujrzałem zamek, byłem opętany złymi przeczuciami i

spodziewalem sie ujrzec krwawe pobjowisko.

Ktos zawolal na mnie z zarosnietego pola. Stanalem jak wryty. Machala do mnie Nalda i dwie inne kobiety. Wokolo panowala cisza i spokoj. Kobiety zely rzadko rosnace, skarlane zboze, wybierajac kazde zdzblo i ukkladajac zebrane na dwoch rozlozonych pelerynach.

-Dobre wieści, moj panie! - Glos Naldy brzmial donosnie, gdy szla do mnie przez pole. - Nareszcie przyjechal malzonek mojej pani! Uslyszal o jej niedoli i zjechal tu jej pomoc!

Patrzyłem na nią nie pojmując. Wreszcie rozsadek przeze mowil i wszystko stalo sie jasne - oczywiscie nie mowila o Joisan, ale o szlachcicu, ktoremu byla poslubiona Yngilda - chociaz zdawalo mi sie, jakoby on mial zginac, gdy wzieto jego zamek w poludniowych stronach.

-Pani Yngilda zapewne sklada w tej godzinie dzieki Gunnorze. - Oprzytomnialem na tyle, aby odpowiedziec.

Nalda przygladala mi sie tak dziwnie, jak zapewne ja patrzyłem na nią chwile wczesniej.

-Tamta... ona owdowiala! Nie, to przyjechal lord Kerovan, od dlugiego czasu zaslubiony naszej panience! Zjechal tu trzy dni temu, by uradowac nasze serca. Panie, moja pani prosila wszystkich, by wygladali ciebie i naklonili cie, abys predko wrocil do zamku...

-O to sie nie martw! - powiedzialem przez zacisniete zeby. Nie wiedzialem, kim byl ow falszywy Kerovan, ale bylem pewny

jednego - musiałem go zobaczyć, uratować Joisan przed niebezpieczeństwem. Ktos, kto wiedział o tym małżeństwie, kto być może uważał, że nie żyje, chciał wykorzystać sytuację. A myśl, że teraz on może być z Joisan, ugodziła mnie jak cios mieczem. Staralem się oswoić z myślą, że z czasem Joisan wróci się ku innemu, ale że ktoś przyjechał do niej pod fałszywym nazwiskiem - tego nie zdzierze!

Teraz zamierzałem odwołać się do mojej sławy Dawnego, który włada tajemną i straszna mocą. Mogłem oznajmić, że Kerovan nie żyje, zdemaskować intruza - a ona mi uwierzy. Wystarczyło wjechać na zamek i stanąć twarzą w twarz z samozwancem.

Zmusiłem zmęczonego Hiku do stepa, choć pragnąłem zeskoczyć z jego grzbietu, dopaść zamku, wywołać tego złodzieja cudzego imienia i zabić go na miejscu. Nie dlatego, że wziął moje imię, ale ponieważ użył go niby płaszcza, aby podejść do Joisan. W owej chwili załowałem, iż nie jestem tym, za kogo ona mnie miała: kims, kto mógłby sprowadzić siły nie objęte rozumem ludzkim.

Angari jednoreki stał na straży i pozdrowił mnie na powitanie. Zmusiłem się; by mu odpowiedzieć. Wkrótce wjechałem na dziedziniec. Pustka, która powstrzymała mnie od zwiedzania zamku, gdy tu byłem po raz pierwszy, zniknęła. Wrocili tu ludzie i życie.

Dwóch mężczyzn stało przy korycie z wodą, przekomarzając się z jedną z wiesniaczek. Odgłos ich śmiechu jeszcze bardziej rozpraszał tajemniczość miejsca. Nosili na wierzchnich kurtach znak Rodu - mojego Gryfa.

Zanim mnie spostrzegli, przyjrzałem się im. Nie pamiętałem żadnego - a już zdążyłem pomyśleć, że być może wplątano w tę sprawę uchodźców z Ulmsdale. Lecz przecież to, że ich nie rozpoznałem, niewiele znaczyło, ponieważ nie było mnie w Ulmskeep na długie miesiące przed śmiercią mego ojca, a on mógł nająć nowych ludzi w miejsce tych, którzy pojechali ze mną na południe.

Mieli tarcze ze znakiem, a zatem sprawa nie była napredce obmyślona przez kogoś, do kogo dotarły jakieś pogłoski. To oznaczało ostrożne przygotowanie - lecz po co? Gdyby Joisan miała jeszcze w posiadaniu Ithkrypt, ludzi i bron, to zrozumiałbym. Lecz Joisan była bezdomna, wypędzona ze swej ziemi uciekinierka. Więc po co to wszystko?

Jeden z nich podniósł wzrok, zobaczył mnie i lokciem szturchnął drugiego. Umilkł śmiech, patrzyli na mnie z uwagą. Nie podszedłem do nich. Zsunąłem się z grzbietu Hiku i, zesztywniały i zdruzony, skierowałem się do pokoiku na baszcie, który zamieszkiwała Joisan.

-Ty! - Wezwanie było ostre i bezczelne.

Odwrocilem się i ujrzałem, jak krocza w moim kierunku.

Dopiero gdy przede mną stanęli, spostrzegli, że różnie się od nich. Stałem przed nimi spokojny, sztywny i wyniosły, jak ktoś znaczny, zaczepiony w wysoce nieprzystojny sposób przez niższych stanem.

-Ty... - zaczął znowu dowódca, lecz z mniejszą pewnością siebie. Zauważyłem, że jego towarzysz dał mu kuksanec w zębra i



podszedł nieco bliżej.

-Wybacz, panie - powiedział, mierzac mnie z góry na dół wzrokiem. - Kogo szukasz?

Jego sposób bycia, jakby przejął obowiązki zarządcy zamku, spotęgował mój gniew.

-Nie ciebie, człowieku. - I odwróciłem się.

Może mieli ochotę mnie zatrzymać, ale się nie odwazyli. Ja natomiast nie spojrzałem na nich więcej. Podszedłem do wejścia do baszty, zaciągniętego derka.

-Szczęście temu domowi! - podniosłem głos.

-Lord Amber! - Derka odrzucono na bok i stanęła przede mną Joisan.

Widok jej twarzy sprawił mi ból. Więc już tyle uzyskał, taka promiennosc! Az tak źle rozegrałem swoje pionki, że straciłem wszystko. Wszystko? - ozwał się we mnie głos. Przecież zdążyłem przekonać siebie, że ona nie dla mnie. Dlaczego więc miałem czelność nie wierzyć, że jest szczęśliwa, skoro przybył do niej z ratunkiem w trudnej chwili mężczyzna, którego uważała za swego prawowitego małżonka? Winienem myśleć jedynie o tym, że on jest oszustem i że nie wolno, by ją zwiodł.

-Panie, przyjechałaś! - Wyciągnęła rękę i prawie dotknęła mojej, a uniosłem ją bezwiednie. Powiedziawszy to stała patrzeć na mnie. Nic nie rozumiałem...

-Kto przybył, piękna moja?

Znałem głos, który dobiegł zza jej pleców z półmroku komnaty! A że znałem, moja nienawisc mało co nie zerwała wszelkich zapor: zapragnąłem chwycić za miecz i stanąć do walki. Rogear tutaj! Ale dlaczego?

-Panie, czy już wiesz? Mój małzonek przyjechał... usłyszał o naszej niedoli i przyjechał...

Mówiła szybko, a w jej głosie było coś takiego, że przyjrzałem się jej bacznie. Widziałem już Joisan zleknioną. Widziałem, gdy przezwyciężała strach, ból serca, przykre myśli, gdy starała się być silna, aby na niej mogli oprzeć się inni. Lecz w tej chwili pomyślałem, iż to nie radość brzmi w jej głosie. Na zewnątrz nosiła uśmiech, ale wewnątrz...

Jej małzonek nie przyniósł jej szczęścia! Poczulem podniecenie na myśl o tym, co wydawało mi się nie domysłem, ale rzetelna prawda: Rogear nie był tym, którego pragnęła.

Cofnęła się krok czy dwa, chociaż nie odpowiadała na jego pytanie. Poszedłem za nią i stanąłem naprzeciw krewnego mojej matki. Miał kamizelę nałożoną na kolczugę, na kamizeli wyszytego Gryfa, do którego nie miał prawa. A nad Gryfem jego urodziwa twarz i wargi wygięte w ten sekretny uśmiezek, poki mnie nie ujrzał...

W tejże chwili uśmiezek znikł. Oczy Rogeara zweziły się i stały się tak baczne, jakbysmy stali przeciw sobie dzierżąc nagie miecze.

-Panie mój! - odezwiała się szybko Joisan, jakby wyczuła to, co działo się między nami dwoma i chciała zapobiec walce. Lecz

zwrocila sie najpierw do mnie, jako do wyzszego stanem. - Oto moj obiecany malzonek, lord Kerovan, Pan na Ulmsdale...

-Lord... Kerovan...? - powtorzyłem pytajaco. Mogłem natychmiast zdemaskować Rogeara. Ale i on mógł zdradzić mnie. A jeżeli? Czy Joisan nadal by uważała, że to, co było moim przekleństwem, wynaturzeniem, jest dowodem mojej inności? W każdym razie nie dopuszcza, by Rogear grał tutaj jakąś swoją ciemną grę... bez względu na to, czy oznaczać to będzie, że Joisan odwróci się ode mnie z obrzydzeniem, czy nie.

-Nie sadze! - W tej ciszy moje słowa zabrzmiały jak grom.

W tejże chwili Rogear podniósł dłoń, a trzymał w niej coś błyszczącego. Był to kryształowy Gryf. Z kuli strzelił promień światła prosto w moją głowę. Czaszke rozsadził mi ból. Osleplem, przestałem myśleć, czułem jedynie. Zatoczyłem się na ścianę i wsparłem o nią plecami, by nie upaść. Poderwałem ramie, bezskutecznie chcąc odeprzeć cios, na przyjęcie którego nie byłem przygotowany. Słyszałem krzyk Joisan i wrzask wściekłości i bólu. Wciąż ślepego odepchnięto mnie na bok. Upadłem.

Joisan znowu krzyknęła i słyszałem odgłosy szamotaniny. Ale nie widziałem nic! Nawet nie próbując się podnieść, rzuciłem się w kierunku tych dźwięków.

-Nie! Nie! - To Joisan, - Pusc mnie!

Rogear miał Joisan! Targnął mna ogromny, nie do zniesienia ból zmiądzzonej pod butem dłoni, ale wytrzymać muszę! On trzymał Joisan i mógł siłą wywlec ją stąd...

Zdrowym ramieniem zatoczyłem koło, natrafiłem na czyjeś ciało i pochwyciłem wierzgające nogi. Naparłem na nie całym ciężarem barku i powaliłem mężczyznę pod siebie na ziemię.

-Joisan, uciekaj! - krzyknąłem. Nie mogłem walczyć, niczego nie widząc, mogłem jedynie trzymać go w uścisku, odbierając ciosy, trzymać tak, aby ona mogła umknąć.

-Nie! - Znowu jej głos, a w nim chłód, którego nigdy wcześniej nie słyszałem. - Leż mi spokojnie, mojej pani!

-Lordzie Amber - odezwała się ponownie. - Trzymam noż na jego gardle. Możesz go puścić.

Rzeczywiście leżał jak ktoś, kto już nie zamierza walczyć. Cofnąłem się nieco.

-Mówisz - ciągnęła wciąż tym samym tonem - że to nie Kerovan. Czemu?

Dokonałem wyboru.

-Kerovan nie żyje, pani. Zginął w zasadzce zastawionej przez tego tu Rogeara na wzgórzu pod zamkiem swego ojca... Ten tutaj Rogear posiada wiedzę o Dawnych - tych z Mrocznej Ścieżki...

Usłyszałem, jak głęboko wciąga oddech.

-Zginął? A ten osmielił się przybrać imię mojego małżonka, by mnie oszukać?

Wtedy odezwał się Rogear:

-Powiedz jej swoje imię...

-Jak dobrze wiesz, nie podajemy naszych imion ludziom - sklamalem szybko.

-Ludziom? A czym...?

-Lordzie Kerovan. - Zwrocilem glowe w kierunku nowego glosu. - Co czynisz... - Byl to chyba jeden z giermkow, ktorzy przedtem stali na dziedzincu.

-Lord Kerovan niczego nie czyni - odrzekla Joisan. - A tego tutaj zabierajcie i precz!

-Czy mamy ja wziac, panie? - zapytal giermek.

Stanalem wreszcie na nogi twarza ku temu glosowi. Nic nie widzialem.

-Dziewczyne pusccie. Juz nam niepotrzebna. - Sadzac po glosie Rogear odzyskal pewnosc siebie.

-A on, panie? - Ktos zblizal sie do mnie. Moja zmiazdzona dlon byla bezuzyteczna, tak jak i oczy.

-Nie! - Rozkaz Rogeara byl przeciwnoscia tego, co spodziewalem sie uslyszec. W tej chwili jedno pchniecie mieczem rozstrzygneloby sprawe na jego korzysc i moglby zrobic z Joisan, co by chcial. - Dotknij go na swoja zgube! - Jedziemy - dodal. - Mam to, po co przyszedlem. - Nie! Nie! Tylko nie to! Oddaj mi Gryfa! - Okrzyk Joisan przerwal odglos ciosu i jej szczuple cialo uderzylo o mnie. Podtrzymalem ja ramieniem przed upadkiem. Odjechali, choc wolalem, by kto zyw na dziedzincu ich

zatrzymywał.

-Joisan! - Trzymałem ją mocno, zwisała bezwładnie... Gdybym mógł widzieć! Co ten diabeł jej zrobił? Czyżby ją zabił? - Joisan!

Lecz Joisan żyła, ciosem pozbawiona czucia, o czym dowiedziałem się od tych, którzy nadbiegli. Rogearowi i jego ludziom udało się ująć. Siedziałem przy lożu Joisan, trzymając jej dłoń w swojej. Wokół moich bezużytecznych oczu zawiązano chustę zwilżoną naparem z ziół. Dopiero wtedy zacząłem uświadamiać sobie, że być może na dobre straciłem wzrok. Nie mogłem uratować jej od tego ostatniego uderzenia i nigdy już nie będę mógł stanąć między nią a niebezpieczeństwem. W owej czarnej godzinie zrozumiałem, jak bardzo stała mi się bliska. Bol, którego zaznałem wcześniej, gdy zdecydowałem się nie wyjawiać jej swego imienia, był niczym w porównaniu z tym bólem, który ogarnął mnie teraz.

-Panie! - Głos Joisan, słaby i cichy, ale jej własny.

-Joisan!

-On zabrał... zabrał dar od mojego małżonka... Gryfa... - zaczęła szlochac.

Niezgrabnie ująłem ją i płakała na moim ramieniu.

-Czy prawdę mówiles, panie? On nie jest Kerovanem?

-Prawdę. Jest tak, jak rzekłem: Kerovan zginał w zasadzce w Ulmsdale. Rogear to narzeczony siostry Kerovana.

-I nigdy go nie ujrzałam! Lecz jego dar... tamten nie będzie go

miał! Na Dziewiec Slow Min, nie będzie! To rzecz cudowna, a jego dlonie ja kalają. I użył jej jak broni, panie, by spalić ci oczy!

Blysk kuli...

-Lecz twoja własna moc odpowiedziała, panie, z tej opaski, która nosisz na przegubie dłoni. Gdybys był unosił ją wcześniej niby tarcze... - Jej palce musnęły moje przedramię nad zapięstką. - Panie, mówią, że wasz Rod posiadał ogromną moc uzdrawiania. Jeżeli sam nią nie władasz, czy nie moglibyśmy cię do nich zawieść? To przede mną otrzymałeś te ciężkie rany. Dłużną ci życie...

-Nie. Nic mi nie jesteś dłużna - zaprzeczyłem szybko. - Rogear od dawna był mi nieprzyjacielem. Gdybysmy się z nim spotkali w polu, zawsze próbowałby mnie zabić. - I pomyślałem, że lepiej było mi zginąć od rany, niż żyć z tą szmatą naokoło głowy, znakiem mej straty.

-Ja trochę umiem leczyć, i Nalda. Może wzrok ci powróci. Och, panie mój, nie wiem dlaczego mnie tu szukał. Nie mam już ziemi ani bogactwa, nic prócz tego, co zabrał ze sobą. Czy znasz, panie, tego Gryfa? Przysłał mi go mój małżonek. Czyżby ten skarb należał do jego Rodu miał aż taką wartość, że Rogear ryzykował tyle, aby go dostać w swoje ręce?

Jej pytanie odwróciło moje myśli od ociemniałych oczu i zacząłem zastanawiać się nad wszystkim. Kryształowy Gryf... Całkiem prawdopodobne, iż skupiał tajemne siły. Rogear miał rozeznanie w wiedzy Dawnych - tych z Mroku. Nauczyłem się od Riwała wystarczająco dużo, by wiedzieć, że wędrowcom po świecie wiedzy tajemnej objawiały się rzeczy, w których

zamknięta była Moc - jasna lub ciemna.

Gdy znalazłem Gryfa, towarzyszył mi Riwal. Neevor mówił, że Riwal nie żyje, uchylił się jednak od odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób mój przyjaciel zginął. A jeśli to Rogear, obeznany już z praktykami Dawnych, wyszedł Riwal i od niego dowiedział się o Gryfie, a następnie odnalazł go u Joisan? Oznaczałoby to, iż kula z Gryfem była talizmanem, który mógł wyrządzić wiele szkody. W rękach Rogeara, jeśli spróbuje go użyć, może być niebezpieczny dla świata, wiedziałem. Joisan miała rację, musimy odzyskać Gryfa. Lecz jak...? Dotknąłem dłoni zabandażowanych oczu i westchnąłem. Czy kiedykolwiek będzie to możliwe?

Joisan

Byłam we wschodniej baszcie, gdy przyjechał mój małżonek. Chociaż na zamku nie znaleźliśmy gongu ostrzegawczego, w najwyższej położonej komnacie tkwiła w ścianie metalowa tarcza. Uderzona rekojescią miecza dzwiała donosnie. Po odjeździe Lorda Amber wystawiliśmy tam straż na dzień, a nocą byliśmy bezpieczni, wciągnawszy most, by nas chronił przed nieproszoną wizytą z zewnątrz. Dlatego spostrzegłszy jeźdźców, uderzyłam w gong na trwogę, zanim zobaczyłam, że jada powoli oraz że idzie z nimi Timon. Nie był skrepowany, rozmawiał przyjaźnie z dowódcą. Przez kilka chwil myślałam z podnieceniem, iż to kilku naszym wojownikom udało się uciec z rzezi i dotrzeć do nas. Potem zobaczyłam, że ich kaftany bitewne nie były czerwone, ale zielone.

Mogli to być zwiadowcy z innej doliny i moglibyśmy prosić ich, aby nas eskortowali do Norsdale. Ta myśl sprawiała mi trochę



przykrosci. Chcialam bowiem dojsc do Norsdale z moimi. Tam lady Islaugha znalazlaby odpowiednia opieke, a inni dom. Chociaz Amber przywiodl nas do schronienia, jakiego nawet nie marzylam znalezc na tym pustkowiu, nie mogliśmy pozostawac tu wiecznie.

Nie wiem, co sprawilo, ze po raz pierwszy od niepamietnych czasow czulam sie tak szczesliwa jak dawno temu, zanim Cyart, Pan na Ithkrypt, odjechal na poludnie u zarania naszych klopotow.

Dzwiek tarczy zamieral, a ja zbiegalam po schodach, aby zobaczyc, kim byli przybysze. Gdy znalazlam sie na dziedzincu, zaczelam isc dostojnie, poniewaz przypadek zrzadzil, iz bylam tu wladczynia i nalezalo mi sie nosic z godnoscia odpowiednia stanowi.

Gdy ujrzalam znak zdobiacy kaftan tego, który szedl na czele niewielkiego oddzialiku, zadrzalam. Jak dobrze znalazlam tego Gryfa tanczacego na tylnych lapach! Byli to wiec ludzie mojego pana! A moze...

-Moja droga pani! - Jeden z nich zeskokczył z siodla i wyciagnal do mnie dlonie na powitanie, a jego glos byl cieply.

Chociaz nie nosilam juz spodnicy, zlozylam mu uklon na powitanie jak przystalo niewiescie. Lecz bylam zadowolona, ze nie wital mnie gorecej niz usciskiem dloni i brzmieniem glosu.

-Pan moj, Kerovan? - Nadalam temu raczej ton pytania niz stwierdzenia.

-W takiej postaci stoje przed toba. - Uśmiechal sie. Lecz...

A wiec to byl maz mi zaslubiony? Coz, nie mial rysow tak szlachetnych jak Toross, ale i nie byl nieurodziwy. Jak na czlowieka z dolin mial bardzo ciemne wlosy - ze rdzawym polyskiem - a jego twarz podluzna zwezala sie ku szczekom. Wbrew paskudnym plotkom, ktore po raz pierwszy zaslyszalam od Yngildy, z pewnoscia nie mial w sobie niczego dziwnego. To lord Amber najwyrazniej pochodził skadinad, lecz moj malzonek mial ksztalty zwyklego mieszkanka dolin.

Takie bylo nasze pierwsze spotkanie, pelne skrepowania, i na oczach wielu ludzi. Lecz czy moglo byc inaczej tutaj i teraz, kiedy my dwoje, chociaz polaczeni, bylismy sobie obcy?

Wdzieczna mu bylam, ze traktowal mnie nie jak swoja wlasnosc, ale z grzecznoscia i szacunkiem jak kogos, czyje wzgledy dopiero nalezy zdobyc. Byl uprzejmy i lagodny, ale...

Czemu czulam, ze go nie chce znac, ze zaluje, iz sie zjawil? Odzywal sie do mnie w milych slowach, zawsze tym swoim przyjemnym glosem, opowiadajac mi, ze i on teraz byl bezdomny, poniewaz Ulmskeep wpadl w rece najezdzczy. On i jego ludzie uciekli stamtad i znajdowali sie na drodze do Ithdale, gdy spotkali jakas grupe naszych. Dowiedzieli sie, co sie nam przydarzylo i wyruszyli na poszukiwania.

-Mowiono nam, ze byles wraz ze swa armia w poludniowych stronach, moj panie - powiedzialam, raczej by podtrzymac rozmowe, niz oczekujac potwierdzenia.

-Owszem, bylem, zamiast ojca. Ale gdy zachorzal, poslal po

mnie. Niestety, przybyłem za późno. Ulric już nie żył, a wrog podszedł tak blisko naszych bram, iż z wielkim pośpiechem musiałem stanąć do ostatniej bitwy. Lecz szczęście nam sprzyjało: znad morza nadciągnął sztorm i Alizonczykowi nie udało się wziąć ani pędzi. W końcu wszyscy poginęli.

-Lecz mówiłeś, panie, że twój zamek stracony.

-Nie wzięły go Ogary. To morze zabrało mury: nadeszła wielka fala i wiatr i zagarnęły ziemię. Ulmsport - uczynił gest - leży całe pod wodą.

-Zreszta - ciągnął ramię - chłopak, który nas tu przyprowadził, mówił, że zmierzacie do Norsdale.

Opowiedziałam mu naszą historię oraz to, że pod groźbą klątwy byłam zobowiązana wobec lady Islaughy i musiałam zaprowadzić ją w bezpieczne miejsce.

Z poważną twarzą wysłuchał mnie bez pytań, od czasu do czasu kiwając głową na znak, że zgadza się z tym, co mówiłam.

-Odeszłicie sporo na południe od szlaku - rzekł wreszcie z pewnością kogoś, kto dobrze wie, gdzie się znalazł. - Wielkie to szczęście, że znaleźliście takie schronienie.

-Nie my je znaleźliśmy, ale lord Amber.

-Lord Amber? A ktoż to nosi tak niespotykane imię?

Zaczerwieniłam się.

-Nie wyjawia swego imienia. Ja go tak nazywam, ponieważ każdy

maz winien jakos sie nazywac. On... on jest jednym z Dawnych, jednym z tych, ktorzy sa do nas dobrze usposobieni.

Nie bylam na tyle zmieszana, by nie zauwazyc wrazenia, jakie na nim wywarly moje slowa. Zesztywnial, jego twarz stala sie nieruchoma maska, ktora nie zdradzala pomykajacych za nia mysli. Widzialam kiedys lisa, ktory stal podobnie w bezruchu nasluchujac odglosu krokow myśliwego w oddali. W chwile pozniej jego czujnosć prysla, albo skryl ja.

-Jeden z Dawnych, moja pani? Alez ich od dawna juz nie ma. Moze ten ktos chce cie dla jakiejs przyczyny oszukac. Jak mozesz byc pewna, ze jest tym, za kogo go uwazasz? Czy ci to powiedzial?

-Nie musial mi mowic, sam to zobaczysz, panie, gdy wroci. Zaden maz nie jest jemu podobny. - Bylam zagniewana, slyszac ton lekcewazenia w jego glosie, jakby uwazal mnie za jakies glupiutkie dziewczce, ktoremu mozna roznych rzeczy naopowiadac. Odkad prowadzilam swoich, to ja przeciez musialam podejmowac decyzje, niewzruszona. Nie mialam ochoty byc znowu zepchnieta na miejsce byle kobiety i zeby jedynie moj pan lub inny maz mial decydowac o znaczeniu wszystkich spraw, a nastepnie rozporzadzal moim losem. Zanim stalam sie malzonka Kerovana, bylam sama sobie pania!

-Wraca wiec? A gdzie jest teraz?

-Kilka dni temu wyjechal na zwiady - odparlam krotko. - Tak, on wroci.

-Coz, dobrze. - Moj malzonek znowu skinal glowa. - Ale rozni

bywają Dawni, o czym mógł się przekonać w przeszłości nasz lud, niestety. Niektórzy w pewien sposób skłaniają się ku nam, inni nie zwracają na nas uwagi, póki nie naruszymy ich tajemnic, a inni krocza Mroczną Ścieżką...

-Dobrze o tym wiem - odrzekłam. - Lecz Amber tylko dotknie twego daru, panie, a jasnieje on jak wtedy, gdy uratował mnie przed Ogarami z Alizonu.

-Mój dar?

Czyżbym się przesłyszala? Czyżby w jego głosie zabrzmiało zdziwienie? Nie - wzięłam się w garść - nie mogę zachowywać się wciąż jakbysmy we wszystkim byli nieprzyjaciółmi, a nie towarzyszami na całe życie, czego należało nam się uczyć.

Znowu się uśmiechał.

-Tak, mój dar. Więc dobrze ci służył, droga moja?

-Jak najlepiej! - Położyłam dłoń na piersiach, gdzie jak zawsze miałam bezpiecznie ukrytego Gryfa. - Panie mój, czy nie myłę się, jeżeli wierze, iż jest to skarb pochodzący od Starej Rasy?

Pochylił się do przodu nad kamiennym blatem stołu, który nas dzielił i na którym podaliśmy na powitanie najlepszy poczęstunek, na jaki nas było stać. Jeżeli nawet żadne inne uczucie nie było widoczne na jego twarzy, w jego oczach lśniła zachłanna żądza.

-Nie mylisz się! A ponieważ przysłużył ci się dobrze, tedy podwójnie się cieszę, iż znalazł się w twoich rękach. Pozwól, bym

raz jeszcze nan spojrzal.

Rozluznilam sznurowki bluzy i ciagnac za lancuszek wydostalalam kulke na wierzch. Lecz cos powstrzymywalo mnie przed jej zdjeciem i oddaniem w jego dlon, wyciagnieta na stole wnetrzem do gory, jakby w oczekiwaniu.

-Jak widzisz, panie, nie opuszcza mnie we dnie ani w nocy - wymowilam sie. - Czy mozesz powiedziec to samo o moim podarunku, ktory przeslalam ci w zamian? - Staralam sie mowic to lekkim tonem, niby dziewczce, ktore przekomarza sie ze swoim kochankiem.

-Oczywiscie. - Czyzby przelotnie dotknal wlasnej piersi? Ale nie wyjal i nie pokazal mi podobizny, ktora dla niego przekazalam.

-Nie spelniles prosby, ktora mu towarzyszyła - ciagnelam. Nie wiem dlaczego, ale moje obawy rosly. Nie zauwazylam do tej pory niczego w jego osobie ani zachowaniu, co by mnie moglo unieszczesliwic, lecz byl w nim jakis cien i to mnie w niejasny sposob niepokoilo, Uswiadomilam sobie, ze w pospiechu chowam Gryfa z powrotem, zupełnie jakbym sie obawiala, ze zechce mi sila odebrac wlasny dar. Coz to istnialo miedzy nami, ze tak czulam?

-Nie bylo szans ani zaufanego poslanca - powiedzial. Jednakze bylam pewna, ze sledzil kule wzrokiem tak dlugo, jak byla na widoku, i to z wiekszym zaciekawieniem niz moja twarz ponad nia.

-Wybaczam ci, panie. - Nadal uzywalam lekkiego tonu, zachowujac sie jak dziewczeta, ktore widywalam w Trevamper w

odległych czasach, zanim całe to zło rozpetano nad dolinami.  
- A teraz muszę wrócić do moich obowiązków. Ty, panie, i twoi ludzie niech się tu rozgospodzą, chociaż znajdziecie mieszkanie raczej ubogie. Żadne z nas tu miękko nie sypia.

-Sypiacie bezpiecznie, a to w tych dniach wiele znaczy. - Wstał za mną. - Gdzie nas zakwaterujesz?

-W zachodniej baszcie - odparłam z westchnieniem ulgi, że nie chciałam dochodzić swych praw małżeńskich i mojego posłuszeństwa. Coż to się ze mną działo? Przecież był uważny i grzeczny. Podczas dni następnych było tak samo. Interesowały go nasze starania, by zacząć zdziczałe zboże ze starych pól, zebrać i wysuszyć owoce. Chwalił naszą dalekowzroczność. Radził, by zebrać tyle zapasów, ile się tylko da, bowiem nasza gromada - starcy, dzieci i chorzy - będzie iść długo i potrzebować każdego kosa. Jego zbrojni towarzysze przejęli obowiązki warty, abyśmy mogli wszyscy pracować w polu i sadzie.

Nie domagał się też mojego towarzystwa, co złagodziło moją nieufność. Jednakże trapił mnie niezrozumiały niepokój. Był miły, starał mi się przypodobać, a mimo to im dłużej zostawał, tym bardziej czułam się nieszczęśliwa. Obawiałam się też chwili, która musiała nadejść, gdy rzeczywiście miał się stać moim panem. Czasami wyjeżdżał na zwiady na wzgorza, zapewniając nam dodatkową ochronę. Nie widywałam go wtedy od świtu po zmierzchu, kiedy to rozsuwaliśmy most. Jednakże dwukrotnie w polmroku widziałam go rozmawiającego z Yngildą, która traktowała go równie uprzejmie jak mnie i lady Islaughe, choć ta druga zdawała się być ledwie świadoma jego obecności.

Nie wierzę, by szukał towarzystwa mej krewniaczki, to ona

musiała urządzić ich spotkania. Patrzyła na niego pozadliwie. W takich chwilach wydawało mi się, że wiem, o czym myśli: jej mąż nie żył i już niczego nie mogła od życia oczekiwać, prócz dni wlokących się nieskonczenie w Norsdale. Natomiast ja, której nienawidziła - o, tak, nienawidziła, nie kryłam już przed sobą, że jej niechęć do mnie skryształizowała się poprzez zawieszanie w coś głębszego, mroczniejszego - miałam Kerovana, który z ochotą mi służył. Było całkiem możliwe, że zechce mieszac między nami. Lecz lekceważyłam to, bowiem nawet nadzwyczaj złośliwe słowa nie mogły zaszkodzić naszemu, na razie tak powierzchownemu, związkowi.

Gdyby moje serce poszło w ślad za przysięgą, sprawy miałyby się inaczej. Niewatpliwie czułabym się oburzona jej wtracaniem się do nas. Ale w tej sytuacji żadne jej posunięcie nie miało dla mnie znaczenia.

Piątego dnia po przyjeździe Kerovan powrócił z gór wcześniej, już popołudniem. Pracowałam w polu, ponieważ potrzebna tam była każda para rąk. Jedna z małych dziewczynek stąpnęła nożką na cierni, więc zabrałam ją z powrotem na zamek, aby umyć skaleczenie i opatrzyć je łagodzącymi ziołami, których zdążyliśmy nazbierać.

Z opatrzoną stopką i otartymi łzami pobiegła na powrót do matki, a ja porządkowałam naszą skromną apteczkę. Gdy byłam tym zajęta, przyszedł do mnie mój małżonek.

-Piękna moja, czy dasz mi potrzymać ten podarunek, który masz ode mnie? Istnieje możliwość, że będzie służył ci jeszcze lepiej niż dotychczas. Mam nieco starej wiedzy i poszerzyłem ją, odkąd ci to posłałem. Rzeczy posiadające Moc, odpowiednio użyte, są



skuteczniejsze niż jakakolwiek znana nam bron. Jeśli oczywiście taka to jest rzecz, możemy liczyć na łatwiejszą podróż do Norsdale.

Sięgnęłam dłoń do mojego lancuszka. Wcale nie miałam ochoty ulec jego prośbie, ale nie miałam wyboru. Nie rozumiałam, czemu wzdragam się wypuścić z rąk ten klejnot. Bardzo niechętnie rozwiązywałam sznurowki i wyjęłam kule. Nadal trzymałam ją przez dłuższą chwilę zamkniętą w dłoni, a on stał z ręką po nią wyciągniętą. Uśmiechał się do mnie tak, jakby tym uśmiechem zachęcał niesmiałe dziecko.

Wreszcie, westchnawszy bezgłośnie, oddałam mu ją. Podszedł do światła sączącego się przez wąski otwór okienny i unosił kule do oczu, jakby twarzą w twarz pragnął porozumiewać się z malutkim Gryfem. W tejże chwili usłyszałam pozdrowienie wędrowca:

-Szczęście temu domowi.

Nie musiałam widzieć mówiącego. Wiedziałam natychmiast kto to i omijając Kerovana wybiegłam z komnaty.

-Lord Amber! - Nie rozumiałam uczucia, które dźwięk jego głosu obudził we mnie. Cały niepokój kilku minionych dni rozwił się i było tak, jak gdyby stano przedemną wcielenie bezpieczeństwa o złotych oczach i racicach miast stop.

-Panie, przyjechałeś! - Chciałam chwycić go za rękę, ale ta jego niedostępność i powściągliwość spowodowała, że znieruchomiałam, zanim wykonałam zamiar.

-Kto przybył, piękna moja? - Głos Kerovana zniweczył to wspaniałe poczucie wolności i bezpieczeństwa.

Musiałam się odezwąć, ale słowa skierowałam do tego, który przybył.

-Panie, czy już wiesz? Mój małżonek przyjechał... usłyszał o naszej niedoli i przyjechał.

Cofnęłam się trochę, ogarnięta uczuciem straty, której określenie umiałabym. Dawny podał za mnie. Nie spojrzałam na małżonka, lecz patrzyłam wciąż w te złote oczy.

-Panie mój, oto mój obiecany małżonek, Kerovan, dziedzic na Ulmsdale.

Jego twarz była kamienna, nieprzenikniona, jaka już widywałam u niego wcześniej.

-Pan... Kerovan? - powtórzył pytająco. A potem dodał z naciskiem, smagnawszy słowami, jakby ciał z góry mieczem jak grom: - Nie sadze!

Kerovan poderwał rękę, sciskając w palcach kulę. Wytrysnął z niej razący promień światła, godząc prosto w oczy Ambera. Zasłonił się ramieniem, potykając w tył. Na jego nadgarstku jakby w odzwierciedleniu niebieska poświata rozciągając wokół niego mglistą zasłonę.

Krzyknęłam i rzuciłam się na Kerovana, by wyrwać mu kryształ. Ale odepchnął mnie, a w jego twarzy wyczytałam coś, co mój niepokój zmieniło w strach.

Kerovan chwycił mnie i zaczął ciągnąć do drzwi. Amber, zasłaniając dłońmi oczy, kleczał podparty i poruszał głową, jakby usiłował nas odnaleźć tylko podług dźwięków - jakby był ślepy!

Zaczęłam szamotać się z Kerovanem, wijać się w jego uścisku:

-Nie! Pusc mnie!

Amber rzucił się w naszą stronę. Zobaczyłam, jak Kerovan podnosi obutą nogę i depta jedną z tych szukających dłoni wgniatając ją w podłogę. Lecz druga Amber chwycił Kerovana za kolana i ciężarem ciała naparł na niego, aż tamten upadł.

-Joisan, uciekaj! - krzyknął.

Uwolniłam się od Kerovana, ale nie miałam zamiaru uciekać. Nigdy, poki na Ambera padały wściekłe ciosy Kerovana!

-Nie! - Chwyciłam zza paska noż odziedziczony po Torossie. Nachyliłam się nad walczącymi, złapałam Kerovana za włosy i szarpnęłam jego głowę w tył, przykładając ostrze do gardła. - Leż mi, mój panie, spokojnie - kazałam. Musiał wyczytać zamiary z mojej twarzy, bo usłuchał. Nie spuszczał z niego wzroku powiedziałam:

-Lordzie Amber, panie mój, trzymam noż na jego gardle. Pusc go.

Uwierzył mi i odsunął się.

-Mowisz - ciągnęłam - że to nie Kerovan. Dlaczego?

Podnosił się na nogi, wciąż przyciskając dłoń do oczu.

-Kerovan nie żyje, pani. - W jego głosie brzmiało zmeczenie. - Zginal w zasadzce zastawionej przez tego Rogeara pod zamkiem jego ojca. Ten tu Rogear posiada wiedze o Dawnych... tych z Mrocznej Strony.

Wciagnalam oddech, az syknal miedzy zebami. Tak wiele teraz mi bylo oczywiste.

-Zginal? A ten osmielil sie przybrac imie mojego malzonka, by mnie oszukac?

Wtedy ozwal sie Rogear:

-Powiedz jej swoje imie...

Odparl mu na to Amber:

-Jak dobrze wiesz, nie wyjawiamy naszych imion ludziom.

-Ludziom? A czymze...

-Panie Kerovan! - Glos zza drzwi tak mnie przestraszyl, ze odskoczylam od wiezionego. - Co czynisz?

Stal tam jeden z jego ludzi. Odezwalam sie szybko.

-Pan Kerovan niczego nie czyni! A tego tutaj zabierac i precz!

Za nim stal drugi, z zalożonym na kusze beltem, który miał wycelowany nie we mnie, lecz w Ambera. Na jego twarzy malowala sie taka gorliwosc, ze pewnie z radoscia spuscilby z uwiezi smierc.

-Czy mamy ja wziac, panie? - zapytal pierwszy.

Amber posuwal sie w jego strone, bezbronny. Zas tamten mial gotowa naga stal.

Rogear odwrocil sie ode mnie.

-Dziewczyne puscic. Juz nam sie nie przyda.

-A on, panie?

-Nie! Nie dotknac mi go, na wasza zgube!

Myslalam, ze rozkaze im zabic Ambera, o ile mozna tak wziac zycie Dawnemu.

-Jedziemy - rzekl. - Mam to, po co przyszedlem. - Wsunal Gryfa do wewnetrznej kieszeni kaftana. Na ten widok ozylam.

-Nie! Tylko nie to! - rzucilam sie na niego. - Oddaj mi Gryfa!

Cios spadl na moja glowe, nie uskokczylam w pore. Z bolu potoczylam sie w ciemnosc.

Kiedy sie obudzilam, lezalam na moim poslaniu. Zmierzchalo juz. Ale obok mnie siedzial Amber i trzymal moja dlon. Mial zabandazowane oczy.

-Panie...

Natychmiast zwrocil ku mnie glowe.

-Joisan!

-Zabrał mi Gryfa! - z ciemności wypłynęło to jedno wspomnienie, tak silne, że się podniosłam.

Amber przyciągnął mnie ku sobie i płakałam jak nigdy dotąd podczas wszystkich tych strasznych i smutnych dni. Szlochając zapytałam:

-Czy prawdę mówisz, panie? To nie był Kerovan?

-Prawdę. Jest tak, jak rzekłem: Kerovan zginął w Ulmsdale. Rogear, narzeczony siostry Kerovana, zastawił na niego zasadzkę.

-I nigdy nawet nie ujrzałam mego małżonka - powiedziałam ze smutnym zdziwieniem. - Lecz jego dar!

Tamten nie będzie go miał! - Gniew dodał mi sił. - Na Dziewiec Słow Min, nie będzie! To rzecz cudowna, a jego dłonie ją kalają! I użył jej jak broni, panie, by tobie spalić oczy! Lecz to, co nosisz na przegubie zwyciężyło go. Gdybys był wcześniej się tym zasłonił! - Położyłam palce na jego przedramieniu nieco ponad zapiętkiem. - Panie - ciągnęłam - mówią, że wasz Rod posiada ogromną moc uzdrawiania. Jeżeli sam nią nie władasz, czy nie moglibysmy cię do nich zawieść? To przez mnie otrzymałeś te ciężkie rany, dłużną ci życie...

Lecz zaprzeczył temu gwałtownie i z naciskiem:

-Nie! Nic mi nie jesteś dłużna. Gdybysmy się z nim spotkali w polu, zawsze próbowałby mnie zabić.

-Ja umiem trochę leczyć, i Nalda też - powiedziałam wtedy. Lecz

w sercu wiedziałam, jak bardzo ograniczone były nasze możliwości i stąd zrodziła się obawa. - Może wzrok powróci. Och, mój panie, nie wiem dlaczego mnie tu szukał. Nie mam już ziemi ani bogactwa, nic prócz tego, co zabrał ze sobą. Czy znasz, panie, tego Gryfa? Przysłał mi go mój małżonek. Czyżby ten skarb należący do jego Rodu miał aż tak ogromną wartość, że ów Rogear ryzykował tyle, aby go dostać w swoje ręce?

-Nie. To nie jest skarb pochodzący z Ulmsdale. Sam Kerovan go znalazł. Jednak jest to rzecz mająca Moc, a Rogear posiadał wystarczająco wiele wiedzy o Mroku, aby umieć się nim posłużyć. Zostawic to w jego rękach...

Znałam jego myśli tak dobrze, jak gdyby przełożył je na słowa. Nie honor nam było zezwolic, aby taka broń pozostała w rękach jednego z Wysłanców Ciemności. Rogear nie tylko jechał ze zbrojną strażą gotową zabijać, ale udowodnił, że potrafi też zmusić Gryfa, aby mu służył.

-Panie mój, co możemy zrobić, by go znowu odzyskać? - zapytałam. Ponieważ całe moje zaufanie pokładałam teraz w tym mężczyźnie (o ile można go było zwać mężczyzną).

-Na razie... - wielkie zmeczenie brzmiało w jego głosie - niewiele, obawiam się. Może Rudo lub Angari pójdą jego tropem i sprawdzą, w którą stronę się udał. Ale my nie możemy jeszcze iść za nim...

Po raz wtóry wydało mi się, że znam jego myśli. Musiał żywić nadzieję, że wzrok mu wróci, albo też posiadał jakąś swoją własną moc, która mogłaby wezwąć na ratunek. W tej sprawie winien dowodzić on, a ja będę mu towarzyszyć jako giermek -

ponieważ to zadanie, albo i przyszła bitwa, było tak samo moja rzecz jak i jego. Wskutek mojej nieostrożności Gryf wpadł w ręce Rogeara. Dlatego powinnam przyczynić się do odebrania go.

Głowa bolała mnie okrutnie i Nalda przyniosła czarke naparu ziółowego, który kazała mi wypić. Podejrzewałam, że to mnie uspi i chciałam odmówić. Lecz Amber namawiał mnie, bym piła i nie potrafiłam się sprzeciwić jego woli.

Potem Nalda obiecała zrobić mu świeży opatrunek z masek; używała jej na oparzenia. Nie uwierzył chyba, że może mu pomóc, ale pozwolił, aby wzięła go za rękę i wyprowadziła.

Zasypiałam właśnie, gdy weszła Yngilda. Stanęła nad moim posłaniem i spojrzała z góry na mnie, jakbym w przeciągu kilku godzin zmieniła się na twarzy.

-Więc twój mąż zginął, Joisan - rzekła. Wyczułam zadowolenie w jej słowach. To, że i mnie się nie poszczęściło, musiało znaczyć dla niej wiele.

-Zginął. - Nie czułam niczego. Przez osiem lat Kerovan był dla mnie zaledwie imieniem. Pozostał tylko imieniem. Jak można się smuć z przyczyny imienia? Natomiast radowałam się, iż podświadomie nie lubiłam oszusta. Rogear nie był mi panem, nie musiałam czuć się winna, że nie jest mi przykro, ponieważ nie lubiłam go ani nie ufałam mu. Mój mąż nie żył i tak naprawdę to nigdy dla mnie nie istniał.

-Nie płaczesz? - Patrzyła na mnie z chytrą złośliwością, która tak często u niej widziałam.



-Jak mam plakac za kims, kogo nigdy nie znalazlam? - zapytalam.

Wzruszyła ramionami.

-Należy pokazywac uczucie - oskarzyła mnie. Juz nie zobowiązywały nas zwyczajnie dworskie, teraz gdy nasz swiat zalala czerwona fala wojny. Gdybym bylaw Ithkrypt, owszem, dotrzymalabym wymaganego terminu zaloby jak przystalo. Tutaj nie musialam postepowac wedlug tych prawidel dla zachowania pozorow. Przykro mi bylo, ze zginal prawy maz, i to zgladzony przez własnych krewnych, ale tylko na tyle zaloby bylo mnie stac.

Wyciagnela z wewnetrznej kieszeni pas materialu zszyty w woreczek. Czulam jak pachnie i poznalam, ze to jeden z woreczkow ziolowych, ktore wkladalo sie pod poduszki cierpiacym na bol glowy. Wiedzialem, ze ma racje, ze powinniśmy odebrac go Rogearowi. Jego nie zmiotl zywiol wichru i fali. Czy wobec tego i inni ocaleli - Hlymer, ktory mi nie byl prawdziwym bratem, Pani Tephana, Lisana?

Unioslem rece do bandaza na oczach. Byl wilgotny, a ja mialem pewnosc, ze zda sie na nic.

Rogear... jezeli przyjechal za Gryfem, skad mogl wiedziec, jezeli nie od Riwala czy Jagona, ze trafil on do Joisan? Po co naprawde tu przyjechal? Wiedzialem tak malo, gdy przede wszystkim potrzebne mi byly wiadomosci.

Oparlem ramie na czole, wierzchem przegubu dotykajac bandaza. Nie wiem, kiedy to sie zaczelo, ale przykre mysli rozpierzchly sie, i uswiadomilem sobie, ze cos sie dzieje.

Zapiestek! Joisan powiedziala, ze to on zwyciezyl promien z kuli. A teraz od niego... Usiadlem i zdarlem bandaz. Tam, gdzie zapiestek dotykala mego ciala, czulem rozchodzace sie cieplo. Moze wiedziony instynktem, a moze pamiecia przycisnalem ten pasek sporzadzony z dziwnego metalu do zamknietych powiek, najpierw do prawego oka, nastepnie do lewego. Bylo to tak proste! Czemu to zrobilem, nie wiem, ale splynelo na mnie uczucie zadowolenia i odnowionej wiary w zycie. Opuscilem reke i otworzylem oczy.

Ciemnosc! Chcialem krzyczec, pograzony w bezdennej rozpacz. Myslalem... zywilem nadzieje...

Wtedy odwrocilem glowe i... swiatlo! Ograniczone... ale jest. Zrozumialem, ze siedze w zaciemnionej komnacie, a swiatlo dochodzi od drzwi. Czym predzej wstalem i wyszedlem.

Noc, owszem... ale nie ciemniejsza od innych nocy. Gdy unioslem twarz do nieba... gwiazdy! Gwiazdy blyszczace jasnzej niz pamietalem. Widzialem!

Joisan! Natychmiast pomyslalem, ze musze sie z nia podzielic moja radoscia. Rozejrzalem sie po dziedzincu i skierowalem do jej komnaty.

W drzwiach widniala zaciagnieta zaslona i zatrzymalem sie. Nalda powiedziala, ze dala swej pani napar nasenny i ze bedzie spala do rana. Lecz nawet jesli nie moge jej powiedziec o tym cudownym uleczeniu, przynajmniej popatrze na jej droga twarz. Za zaslona dostrzegalem migotanie swiatla. Zapewne zostawiono przy niej nocna lampke wiklinowa.

Miałem ochotę wykrzyczeć swe wieści, ale wszedłem stając ostrożnie i starając się nawet oddech sciszyć, aby jej nie zbudzić.

Lecz na jej posłaniu nie było nikogo!

Cienka oponczka, która zapewne służyła jej za przykrycie, leżała odrzucona na bok, a posłanie z liści, traw i gałązek było puste.

Nie było na nim nic prócz czegoś, co leżało w zagłębieniu, gdzie zapewne spoczywała jej głowa. Zwrocilo to moja uwagę i podniosłem woreczek wypchany mocno pachnacymi ziołami. Miedzy liśćmi i ziołami wyczulem coś twardego.

Syknałem i worek upadł na podłogę. Wokół mojego przegubu wiała się błękitna mgielka, jakby z metalu wydobywał się obłoczek dymu. Nie musiałem zgadywać, co kryło się w tym woreczku. Najciemniejsze zło ogarnęło moje myśli.

Schyliłem się, nadziałem woreczek na koniec noża i przeniosłem na kamienny stół w pobliżu lampki. Nie dotknawszy tkaniny reka rozciąłem ją i zagłębiałem w środku noż, póki nie wyjąłem na wierzchu czegoś o rozmiarach monety z Sulkar. Było to matowoczarne, ozdobione czerwonymi żyłkami, a te żyłki... nie, nie były to żyłki, ale wzór runiczny, zawily jak ten na moim zapiętku.

To coś posiadało Moc, wiedziałem, i to Ciemna. Ktokolwiek by tego dotknął...

Joisan! W jaki sposób ta straszna rzecz znalazła się w jej posłaniu? Ogarnęło mnie rozdzierające uczucie przerażenia i zacząłem krzyczeć, przywołując Nalde; zapewne była w pobliżu.

Moj głos odbijał się echem na dziedzińcu. Woląłem znow, usłyszałem podniesione głosy...

-Panie! - Nalada stanęła w drzwiach. - Co też...

Wskazałem na posłanie.

-Gdzie jest moja pani?

Wydała okrzyk i podbiegła, wyraźnie zaskoczona.

-Ależ... gdzie mogłaby być, panie? Spała, bo dałem jej napój na sen. Złożyłabym Trzy Przysięgi Gunnory, że się nie ruszy do rana...

-Czy to ty zostawiłaś jej to w łozu? - Opanowałem strach, przynajmniej na pozór. Teraz nożem wskazałem na rozdarty woreczek i zawartość.

Nachyliła się blisko, wachając.

-Moj panie, to woreczek na uspokojenie, przyrządzamy je dla lady Islaughy, gdy nie może zasnąć. Wystarczy jeden podłożony pod poduszkę i nie trapią jej przywidzenia. To dobre zioła...

-Czy i to jej dajesz? - Zbliżyłem koniec noża do znaku zła.

Znowu schyliła głowę. Gdy ją uniosła, nasze oczy spotkały się. Wyglądała na wstrząśniętą.

-Panie, nie wiem, co to jest, ta rzecz, ale... to nie jest dobre! - A potem coś innego ją uderzyło. - Panie... twoje oczy... ty widzisz!

Nie było to ważne. Jeszcze przed chwilą mój świat wypełniało uczucie ulgi. Teraz myślałem tylko o Joisan. To, że była narazona na działanie tej cząstki Ciemności, sprawiało mi ból prawie nie do zniesienia.

-Tak - odparłem krótko. - Lecz moja pani spała obok tego i zniknęła. Nie wiem, jakiej diabelskiej sztuki tu użyto! Musimy ją odnaleźć!

Wszystko przeszukaliśmy, od baszt strażniczych aż po kraniec mostu. Ponieważ część, która działała, wciągnięto na noc, nie było możliwości, by Joisan przedostała się na brzeg. Lecz przekonałem się, że nie kryła się w żadnej z komnat. Wreszcie musiałem przyjąć do wiadomości, że nigdzie na zamku Joisan nie było. Pozostało... jezioro! Stałem na końcu mostu spoglądając w wodę i trzymając pochodnię tak, że odbijała się w toni. Rogear... tylko on mógł to zrobić! Lecz przecież był daleko, gdy ułożono Joisan na posłaniu. Ktoś stąd posłużył mu w tej sprawie. I od tego kogoś dowiem się prawdy!

Wezwąłem na dziedziniec wszystkich: mężczyzn, kobiety, dzieci, i tam na kamieniu umieściłem złowrogi woreczek, którego użyto jak broni przeciw mojej pani. Już nie czułem tamtego pierwszego, wrzacego gniewu. Zimno przenikało moje kości i myślałem o jednym - że za Joisan zapłaci mi krew, o jakiej doliny jeszcze nie słyszały.

-Podstępem wprowadzono waszą panią - mowilem powoli, prostymi słowami, aby najmłodsze dziecko mogło zrozumieć. - Kiedy słabowała, wsunęto jej to paskudztwo w posłanie, by ją wypędzić precz i może posłać na śmierć... - Teraz wstępowałem na teren, którego nie byłem pewny: opierałem się tylko na wiedzy

przekazanej mi przez Riwala. - Ci, którzy paraja sie takimi rzeczami, nosza na sobie ich slad, poniewaz zlo jest tak silne, ze nic go nigdy nie usunie. Dlatego kazde z was pokaze mi swoje dlonie i...

Miedzy kobietami nastapilo poruszenie, krzyk. Nalda pochwycila te, ktora stala obok i mocno trzymala wrzeszczaca dziewczyne. Natychmiast podbiegłem do nich. Yngilda! Mogłem sie byl tego spodziewac.

-Daj ja tutaj! - polecilem Naldzie. - Czy ci pomoc?

-O, nie! - Byla silna i z latwoscia przytrzymała tamta, ktora pochlipywała.

Odezwałem sie do pozostałych:

-Ja sie tym zajme. I rozkazuje wam, aby zadne z was, dla dobra własnej duszy, nie osmielilo sie tknac tego, co tu lezy!

Nie ruszyli sie z dziedzinca, ani nikt nie podazył za nami, gdy szliśmy do komnaty Joisan.

Wepchnałem pochodnie w uchwyt na scianie, aby lepiej oświetlic pomieszczenie. Nalda wykrecila Yngildzie rece do tyłu i trzymala jej przeguby w tak silnym uscisku, ze zdalo mi sie, niewielu mezczyzn umialoby sie z niego wyzwolic. Tak uwieziona obrocila twarza do mnie. Dziewczyzna plakala, nadal bezskutecznie usilujac sie wyrwac.

Ujalem ja za podbrodek i zmusilem, by mi spojrzala w oczy.

-To twoja sprawka - oskarzyłem ja, zamiast pytac.

Lamentowała bez przerwy i wyglądała jak ktoś niespełna rozumu. Ale w ten sposób mi się nie wymknie.

-Kto cię nasłuchał? Rogear?

Znowu jęknęła i Nalda mocno nią potrząsnęła.

-Odpowiadaj! - syknęła jej do ucha.

Yngilda przelknęła ślinę.

-Jej pan... powiedział, że ona musi do niego przyjść, a to ja zaprowadzi...

Wierzyłem, że istotnie powtarza to, co jej mówił Rogear. Lecz byłem przekonany, iż to nie dobra wola wobec Joisan kierowała Yngildą, gdy podjęła się tego zadania. Mogłem zaś uwierzyć, że Rogear użył tego podstępu z jak najgorszych pobudek.

-Zaprowadzi ją na śmierć - powiedziałem cicho. - Stoisz tu i masz krew na dłoniach, Yngildo, tak jakbyś użyła swego noża!

-Nie! - krzyknęła. - Nie! Ona żyje! Żyje! Mówię wam, ona weszła...

-Do jeziora - dokończyłem ponuro.

-Tak, ale popłynęła... patrzyłam... mówię wam, patrzyłam!

Po raz wtóry wierzyłem, że mówiła prawdę i ową lod, który czułem we wnętrzu, pękł. Jeżeli Joisan wyszła na brzeg, jeżeli była pod działaniem jakiegoś czaru - to istniała jeszcze możliwość ocalenia jej.

-To długa droga wplaw...

-Wyszła na brzeg, widziałam! - wrzasnęła, oszalała z przerażenia, jakby to, co widziała w mojej twarzy, mieszało jej zmysły.

Zwrocilem sie ku drzwiom.

-Insfar, Angarii - Wezwalem tych dwoch, ktorzy okazali sie najlepsi w czytaniu tropow. - Zejdzcie nabrzeg i szukajcie sladow na potwierdzenie, ze ktos wyszedl z jeziora!

Wyruszyli natychmiast. Powrocilem do Naldy i tej, ktora byla w jej pieczy.

-Nie moze nic wiecej zrobic dla ciebie i waszych - powiedzialem do Naldy. - Jezeli zaczarowano moja pania...

-Rzucono na nia urok - wtracila Nalda. - Panie, przyprowadz ja z powrotem bezpieczna!

-Co bede mogl zrobic, badz pewna, zrobie - powiedzialem z powaga, jakbym skladal przysiege na krew przed krewnymi. - Musze isc za moja pania. Tu bedziecie bezpieczni, w kazdym razie na czas jakis.

-Panie, nie mysl o nas, ale o mojej panience. Nam nic sie nie stanie. A teraz... co z nia? - spojrzala na Yngilde, ktora szlochala w glos.

Wzruszyłem ramionami. Gdy już uzyskałem od niej, czego mi było trzeba, dziewczyna nie znaczyła dla mnie nic.



-Robcie z nią, co chcecie. Ale zobowiązuje was, byście jej dobrze strzegli. Miała do czynienia z Ciemnym i uległa mu. Przez nią może spotkać was jeszcze więcej zła.

-Zajmiemy się nią - przyrzekła Nalda i pomyślałem, że nic dziwnego, iż Yngilda drży.

Wyszedłem z powrotem na dziedziniec, wziąłem monetę zła na czubek noża i zaniósłem ku zerwanej części mostu. Tam wrzuciłem ją do wody. Nie wolno mi było jej zakopac, bo ktoś niechcący mógłby się jeszcze na nią natknąć.

Switało już, gdy wyjechałem na grzbiecie Hiku ze świeżym prowiantem na drogę. Yngilda rzekła prawdę: ktoś wyszedł na brzeg z wody, łamiąc trzciny i pozostawiając wyraźny ślad. Od tego miejsca iść mi za moją panią.

Nie wiedziałem jaki rodzaj czarów na nią rzucono, lecz nie wątpiłem, że szła wbrew woli. Podążyłem jej śladem aż do granicy doliny. Tam spotkała jeźdźców i zrozumiałem, iż oczekiwał na nią w ukryciu Rogear i jego giermkowie.

Czterech ich było, na pewno zbrojnych, a nie miałem pojęcia, jaka mieli broń. Zapewne spełniono ją dobrze i nie uda mi się jej spomiedzy nich wywabić. Mogłem jedynie ich śledzić w nadziei, że nadarzy się szczęśliwa chwila, gotów pomóc szczęściu, gdy przyjdzie.

Ślady prowadziły na zachód i na północ, czego się spodziewałem. Sądziłem, iż Rogear zamierzał wrócić do swojego własnego zamku. Przybył do Ulmsdale po władzę. Być może teraz, mając Gryfa, zdobędzie ją gdzie indziej.

Nieczesto musieli sie zatrzymywac, poniewaz mimo pospiechu nie doscignalem ich. Drugiego dnia po sladach poznalem, ze dolaczyla do nich jeszcze trzech konnych. Prowadzili tez luzaki, aby mozna bylo zmienic wierzchowca, gdy sie zmeczy. Ja natomiast mialem tylko Hiku, ktory juz byl zdrozony.

A jednak kudlaty kuc nigdy mnie nie zawiodl i myslalem, ze wierzchowiec dany przez Neevora musi byc czymś wiecej niz tym, na co wyglada. Trzeciej nocy z koniecznosci przespalem sie troche i ruszyłem rano dalej. Zorientowalem sie, ze mijam ziemie dobrze mi znane zapuszczajac sie w gaszcz lesny, gdzie wtoczyłem sie w latach chlopiecych.

Ci, ktorzyh scigalem, mogli zdazac tylko ku jednemu celowi: na Odlogi. Wlasciwie nie powinienem byl spodziewac sie czego innego, skoro parali sie zakazana wiedza. Zapewne pragna zwrocic sie do jednego ze zrodel Mocy, ktorej sluzyli. Lecz po co uprowadzili moja pania? Aby zrobic mi na zlosc? Nie, Rogear nie to mial na celu. W jego mniemaniu bylem okaleczony i nie wart, by mnie dluzej uwazac za wroga. Mial tez Gryfa. Po co mu wiec Joisan? Wciaz o tym myslalem po drodze, probujac znalezc taka czy inna odpowiedz, ale zadna z nich nie wydala mi sie wlasciwa.

Rano dnia piatego dotarlem do granic Odlogow, niedaleko - sadzac po okolicy - Drogi, ktora prowadzila do nagiej skalnej sciany. Nie zdziwilo mnie, gdy odkrylem, ze slady prowadzi w tamtym kierunku.

Po raz wtory jechalem po starodawnym bruku. Lecz tamten czas przypominalem sobie z trudem, jakby moje wczesniejsze przygody dotyczyly innego Kerovana, nie mnie, ani nawet kogos spowinowaconego ze mna. Tesknilem za Riwalem. On wiedzial

wiecej niz ja, choc nie byl Dawnym. Lecz sposoby obrony, ktore znal, mnie byly nie znane, a ci, ktorych scigalem, byli - obawialem sie - o wiele bardziej uczeni niz Riwal.

Jeszcze jednej nocy zatrzymalem sie na drodze na krotki odpoczynek. Wyruszylem przed switem. Tu wznosily sie owe wzgorza, na ktorych wyryto rzezby w skalnych scianach. Poznalem wijace sie runy podobne tym z mojego zapiestka. Od czasu do czasu na nie patrzylem czujac narastajace podniecenie, jakbym wlasnie mial odczytac ich tresc, choc to sie nie stalo.

Tak jak i w czasie pierwszej wyprawy, mialem uczucie, jakby cos szlo za mna w trop. Moze to cos samo w sobie nie bylo niebezpieczne, ale inna rzecz, czemu moglo sluzyc. Dojechalem do miejsca, gdzie w skale widniala wielka twarz. Przed nia czekalo na mnie swiadectwo obecności tych, za ktorymi szedlem.

Na kamieniu przed ogromnym obliczem stala czarka, a po jej bokach dwie kadzielnice. Na dnie czarki jeszcze lsnila pozostalosc po oleistej cieczy, a kadzielnic niedawno uzywano. Wszystkie te rzeczy wykonane byly z czarnego metalu lub moze jakiegos nie znanego mi kamienia. Za cene zycia nie wazylbym sie ich dotknac nawet koniuszkiem palca. Znowu wokol mojego przegubu pojawil sie ostrzegawczy blekit. To, co potem zrobilem, bylo skutkiem obrzydzenia. Poszukalem wiekszych kamieni i nimi roztrzaskalem wszystko. Gdy miazdzylem naczynia w proch, uslyszalem swiszczacy poglos, jakby w nich tkwilo jakies zycie. Lecz tylko ten sposob dawal mi pewnosc, ze nie beda wiecej gromadzic w sobie strzepow Ciemnosci, ktore - byc moze - tu sie jeszcze znajdowaly.

Gdy doszedłem do Wielkiej Gwiazdy, która zrobiła tak ogromne wrażenie na Riwalu, nie znalazłem już oznak żadnego ceremonialu, lecz tylko ślady na ziemi, po których poznałem, że zeszli ze zvezajacej się drogi i przeslizneli obok owej płaskorzeźby. A więc napawała ich obawa. Zatrzymałem się na chwilę, aby przyjrzec się gwiazdzie, lecz nie otrzymałem od niej żadnego przesłania, prócz tego, że lekali się jej.

Przedemną była już tylko skalna ściana - a i oni nie mogli pójść dalej. Oto i koniec mojej wędrowki. Wiedziałem, że nic innego nie mogę zrobić, jak tylko mężnie stawic czoło temu, co mnie czekało. Zsiadłem więc i przemówiłem do Hiku:

-Przyjacielu, dobrzes mi służył, teraz powróć do tego, który mi ciębie ofiarował... - Odpiałem lejce i siodło i rzuciłem je na drogę, ponieważ sadziłem, iż idę na spotkanie śmierci. Ale nie będzie to taka śmierć, jaką oni przygotowują dla mnie i mojej pani, lecz moja własna. Jeżeli tak będzie trzeba, ona zginie z mojej ręki, nie skalana złem, w którym być może chciał ją unurzać.

Położyłem palce na opasce na moim przedramieniu, by dotknąć runicznego wzoru. Wiedziałem, że w tej rzeczy mieści się Moc. Nie znalazłem jednak klucza, by moc się nią posłużyć. Mimo to, dotykając zapiętkę, patrzyłem na gwiazdę i pragnąłem poznać, co może zwyciężyć posłanców Ciemności, z którymi przyjdzie mi się zmierzyć. W tejże chwili powróciły do mnie słowa Neevora: "Będiesz szukał i znajdziesz. Wtedy obejmiesz swoje dziedzictwo. Sam musisz odkryć siebie i to, czym mogłbyś być..."

Ważne słowa... Czyżby powiedziane tylko dla pokrzepienia ducha? Czy może to przepowiednia? Riwal mówił, że wezwanie

imienia w tym miejscu wyzwoli moc. Lecz ja nie znalazłem imion, byłem tylko człowiekiem... może mieszanej krwi... lecz człowiekiem...

Zdało mi się, że w owej chwili na głos wypowiedziałem słowo i obilo się ono echem o skały.

Wyciągnąłem ramię do gwiazdy i zaniósłem do niej błaganie bez słów. Jeżeli istniała tutaj Moc, niech spłynie na mnie. Nawet jeżeli mnie potem unicestwi, niech posłuży mi na tyle, abym uwolnił moją panią, zmierzył się z Rogearem, który chciał na ziemię sprowadzić coś, o czym lepiej było nie myśleć. Niech... mnie... wypełni...

Czułem, że w moim wnętrzu jakby coś się poruszyło, niechętnie, jak od dawna zawarte drzwi. Zza tych drzwi płynęło coś, czego nie pojmowałem, ponieważ niosło za sobą platanine cienie-wspomnień, których siła niemal zaparła mi dech. Walczyłem, by nie zapomnieć siebie i przyczyny, dla której tu stałem. Coż, wspomnienia okazały się jeno cieniami, moja własna myśl była słońcem, które je rozproszyło.

Lecz wiedziałem! Cienie zostawiły po sobie to właśnie, że wiedziałem. Miałem bron. Czy ta bronia mogłem zmierzyć się z tym, co wezwa tamci, miałem przekonać się dopiero, gdy stanę im naprzeciw. Czas nagił!

Pospieszyłem naprzód, gnany koniecznością. Cisze rozdarł dźwięk: monotony śpiew, który wznosił się i opadał niby fale bijące o brzeg. Wyszedłem zza zakretu i znalazłem tych, których szukałem. Nie zwrócili na mnie uwagi. Zbyt byli zajęci tym, czego zamierzali tutaj dokonać.

Na ziemi widniała gwiazda wpisana w okrag. Okrag ten zakreslono krwia, która dymila i cuchnela, spuszczone z żył giermków, których ciała porzucono na stronie, jak śmiecie.

Na szczycie każdego ramienia gwiazdy tkwiła ciemna kolumna tłustego dymu, który bil prosto w niebo, mieszając się ze smrodem krwi. Stali po jednym u każdego ramienia, czworo zwróconych twarzami do wewnątrz, piąta niewidzącymi oczyma ku scianie.

Hlymer, Rogear, Lisana, lady Tephana i, twarzą do skały, moja Joisan. To oni śpiewali, lecz Joisan stała jak ktoś, kto wszedł między zmory i sobą nie włada. Przyciskała ręce do piersi, a w dłoniach trzymała Gryfa.

Poznałem ich zamiary, jakby mi je w głos oznajmili. Stali u wrot, a Joisan trzymała klucz. Zrzadzeniem losu tylko jej wolno było go użyć i po to ja tutaj sprowadzono. Kto wie, co mogło znajdować się za tymi wrotami, do których prowadziła droga? Czy miałem zezwolic, by je otwarto? Nie!

Nadal mnie nie widzieli. Tak mocno skupili swoją uwagę na zadaniu, że świat poza ich gwiazdą w kregu przestał dla nich istnieć. Teraz spostrzegłem coś jeszcze naokoło dymiącego koła: stwory niby ciemne smugi o krwistych zarysach. Co chwile straszliwy pysek weszyl u tej zapory lub ryl w niej. Zwabione świeżo utoczona krew, te strzepy przedwiecznego zła niszczały przez stulecia, aż pozostały z nich tylko cienie. Ich się nie zlakłem.

Niektóre zwierzyły mnie i sunęły w moim kierunku, a ich ślepią błyszczący diabelskim ogniem. Mimowolnie uniosłem ramię i

wycofały się, pelzając, ze wzrokiem wlepionym w mój zapleciek. Podszedłem do krwawego kregu. Tam dym i zaduch targnęły moimi trzewiami, lecz zwalczyłem tę słabość ciała.

Podniosłem głos i wymieniłem imiona, z wolna, wyraźnie. Moje słowa przebieły przez zamotany ich śpiewem czar.

-Tephana, Rogear, Lisana, Hlymer. - Gdy wypowiadałem każde z nich, zwracałem się nieco ku temu, którego wzywałem. Przez moją myśl przemknął cień. Tak, tak trzeba było! Raz już tego dokonałem w innym miejscu i czasie.

Wszyscy czworo drgnęli, jak gdyby zbudzono ich gwałtem ze snu. Odwrócili oczy wycelowane w plecy Joisan. Spojrzeli na mnie. Ujrzałem błysk czarnej wściekłości w oczach Rogeara, podobny w oczach Lisany i Hlymera. Lecz lady Tephana uśmiechnęła się.

-Witaj, Kerowanie! Wciąż mimo wszystko dajesz dowód wierności krwi. - Jej głos był słodszy niż kiedykolwiek słyszałem, a z warg płynął fałsz, bowiem wiezy, które winny nas były łączyć, nie istniały. Lecz jeśli uważała mnie za żalosne stworzenie, które można zwieść w ten sposób, nie doceniała tego, co było jej własnym dziełem.

Znowu cień tamtej wiedzy przemknął mi przez myśl. Nie odpowiedziałem jej wcale. Miast tego uniosłem dłoń, a z mego zapleciek strzelił promień błękitnego światła i musnął tył głowy Joisan.

Ujrzałem, że zachwiała się i wydała jęk. To, co mna zawiadnęło, nadal zmuszało mnie do nieprzerwanego działania, do ataku - o

ile był to atak. Powoli obrocila sie i zdawalo sie, ze skurczyła przed ciosem, ktorego nie umiała odparowac. Odsunela sie od sciany i stanela twarza do mnie na przeciwnym brzegu gwiazdy w kregu. Jej oczy juz nie byly puste. Gdy rozgladala sie wokol, znowu czytalem w nich swiadomosc i zycie.

Uslyszalem jak Hlymer warczy niby zwierze. Rzucilby sie mi do gardla, ale na znak lady Tephany umilkl i ucichl na swym miejscu. Jej dlonie poruszaly sie dziwnie, jakby cos tkala. Lecz nie mialem czasu przyrzec sie jej, poniewaz Rogear tez sie poruszył. Schwycil Joisan i trzymal ja przed soba jak zywa tarcze.

-Gra jeszcze po naszej stronie, Kerovan - i walczymy do smierci - powiedzial, jakbysmy zasiedli w sali na zamku nad plansza z pionkami.

-Na smierc... twoja, nie moja, Rogear! - Uniesiona dlonia nakreslilem znak, gwiazde bez kola. Miedzy nami w powietrzu zalsnila blekitnozielona gwiazda i sunela do jego twarzy.

Widzialem, jak jego twarz stala sie wychudla i stara. Mimo to nie stracil wiary w siebie. Puscil jedynie Joisan i wyszedl mi naprzeciw, mowiac:

-Niech tak bedzie!

-Nie! - Lady Tephana podniosla oczy znad tego, co, niewidzialne, tkala. - Nie trzeba. On jest...

-Trzeba - odrzekl Rogear. - On jest o wiele wiecej wart, nizemy mysleli. Musimy z nim skonczyc, inaczej my sie skonczymy. Nie przedz wiecej zaklatek, pani. Tys go stworzyla z ciala i kosci,



nawet jeslis nie dala mu ducha. A teraz oddaj mi cala swa wole.

Po raz pierwszy ujrzałem w jej twarzy niepewność. Spojrzała na mnie i raptem odwróciła się, jakby nie mogła znieść mego widoku.

-Powiedz mi - naciskał Rogear - czy staniesz obok mnie teraz? Tamtych dwoje - wskazał na Hlymera i Lisane - oni prawie się nie liczą. To my zmierzymy się z tym, co chciałaś stworzyć i czego stworzyć ci się nie udało...

-Ja... - zaczęła i zawahała się. Wreszcie wydobyła z siebie słowa, których oczekiwał: - Stoje przy tobie, Rogearze.

A ja pomyślałem: niech tak będzie. Nie było ucieczki od tej ostatniej walki ani też uciec od niej nie chciałem.

Joisan

Sniałam i nie mogłam się zbudzić, a wewnątrz snu tkwił cierni czarnego strachu. Nie było dla mnie ucieczki, bowiem w tym śnie szłam jak ktoś, kto nie ma własnej woli. Wola moja rządził Rogear. Najpierw było wezwanie i tak silny przymus, że opuściłam zamek, weszłam ufnie w otaczające go wody i przyplyniełam do brzegu. Potem musiałam iść jeszcze daleko poprzez opustoszałe pola, aż spotkałam Rogeara i on dał mi konia. Ruszyliśmy, ja przodem.

Wiele nie pamiętam. Wkładano mi do rąk jedzenie i jadłam, ale nie czułam smaku potraw. Piłam, lecz nie znalazłam pragnienia ani nie miałam chęci zaspokojenia go. Dołączyli do nas inni, lecz ja dostrzegałam tylko ich cienie.

Zmierzalismy ku dziwnym miejscom, jak w marzeniach sennych, niewyraźnych. Wreszcie dojechalismy do celu podróży. Było... nie! Nie chce pamiętać tej części snu! Lecz później trzymałam dłoń mego pana w dłoniach i nakazano mi, jakbym była niewolna, stać, a gdy usłysze rozkaz, spełnić go. Ale co miałam zrobić... i dlaczego...?

Przedemną wznosiła się wysoka kamienna ściana, a za mną rozlegał się dźwięk, który smagał mnie jak bicz. Chciałam uciec... lecz jak w każdym złym śnie, nie mogłam się poruszyć, mogłam tylko stać, wpatrywać się w skałę i czekać...

Wtedy...

Poczułam nagły ból w głowie, jakby ogień chciał strawić mój mózg i wypalić wszystkie myśli. Jednakże w jego płomieniach splonęło to, co zniewoliło mnie i uczyniło powolną innemu. Niepewnie odwróciłam się od skały, by spojrzeć na tych, co mnie pojмали.

Amber!

Inny niż kiedy widziałam go ostatnio z zawiązanymi oczyma, ślepego, szukającego rekoma oparcia. Stał teraz przede mną wojownik, gotowy do boju, choć nie obnażył miecza ani nie dzierzył w pogotowiu noża. Mimo to wiedziałam, że walczy.

Było tam czworo innych. Wtedy zauważyłam na ziemi wyrysowaną gwiazdę oraz że ja stoję u czubka jej ramienia wycelowanego w skałę, a tamci na lewo i prawo ode mnie u innych ramion.

Rogear, dwie kobiety i jeszcze jeden mężczyzna. Rogear ruszył na Ambera, lecz kobieta z prawej strony powstrzymała go ruchem ręki. Skoczył zanim mogłam się poruszyć i chwycił mnie jak tarcze bitewna.

-Gra jeszcze po naszej stronie, Kerovan - rzekł - i walczymy na śmierć! Kerovan? Jak to? Moj pan zginął.

Amber - bo to on był, odpowiedział:

-Na śmierć, lecz twoją, nie moją, Rogear. Widziałam, jak w powietrzu nakreslił znak i błękitną gwiazdę, która poszybowała i zawisała przed oczyma Rogeara. Wypuścił mnie wtedy i odstąpił na bok, mówiąc:

-Niech tak będzie.

-Nie! - ozwała się kobieta z prawej. - Nie trzeba. On jest...

Rogear przerwał jej:

-Trzeba. On jest o wiele więcej wart, niżesmy myśleli. Musimy z nim skończyć, inaczej my się skończymy. Nie przedz więcej zakłatek, pani. Tyś go stworzyła z ciała i kości, nawet jeśliś nie dała mu ducha. A teraz oddaj mi całą swą wolę.

Wówczas przelotnie spojrzała na lorda Ambera. Widziałam, że zacisnęła wargi. Zdawała mi się o wiele starsza niżli kilka chwil wcześniej, jakby opadła na nią starość wraz z myślami, które przebiegały przez jej głowę.

-Powiedz mi - ciagnął Rogear - czy staniesz obok mnie teraz? Tamtych dwoje - wskazał na drugiego mężczyznę i dziewczynę -

oni prawie sie nie licza. To my zmierzmy sie z tym, co chcialas stworzyc i czego stworzyc ci sie nie udalo...

Przygryzla wargi. Bylo oczywiste, ze waha sie. Wreszcie dala mu to, czego chcial:

-Stoje przy tobie, Rogearze.

Kerovan - tak nazwal Rogear tego meza, o którym sadzilam (i zlozylabym na to przysiege na krew), ze jest potomkiem Dawnych. W owej chwili zalala mnie fala wspomnien o zlosliwych szeptach i plotkach, iz moj malzonek mial skazona krew, iz byl wyklety, iz jego wlasna matka nie mogla na niego patrzec. Wlasna matka! Czy to mozliwe?

Rogear rzekl, ze dala mu cialo i kosci, ale nie ducha. Ducha nie...

Spogladam na Ambera i zrozumialam prawde, wiele prawd. Lecz nie byl to czas na rozwazania o prawdzie ani na zadawanie pytan dlaczego i skad. Stal w obliczu tych, ktorzy mu byli smiertelnyimi wrogami, poniewaz nie istnieja niebezpieczniejsi wrogowie niz najblizsi, gdy opeta ich zlo. A tu bylo ich czworo przeciw jednemu!

Jednemu! Rozejrzalam sie wkolo jak szalona. Nie mialam broni ani nawet noza Torossa. Kamien... wlasne rece, jesli bedzie trzeba... Alez takiej walki, jak ta, nie znalazam. Tu zmagaly sie Moce takie jak ta rozpetana przez Dame Math w godzinie jej smierci. Nie mialam takiego daru jak ona. Zacisnelam piesc. Gryf! Przeciez trzymalam Gryfa! Pamietalam do czego wczesniej uzyl go Rogear - czy Amber nie moglby posluzyc sie nim

podobnie? Gdyby udało mi się rzucić mu go... Lecz między nami stał Rogear - wystarczy, że się odwróci, wyrwie mi go i jak wtedy...

Tak myśląc zamknęłam kule ciasno w dłoniach, przyrzekając sobie, iż Rogear nie zabierze mi jej i nie użyje przeciwko memu panu póki żyje, by móc jej bronić!

Pan mój... Kerovan? Nie wiedziałam, czy istotnie tak było i czy Amber mnie okłamał. Jeśli tak, to miał ważne przyczyny, serce mi to podpowiadało. I podobnie jak niegdys unikałam Rogeara, gdy wciągał mnie w pułapkę, tak teraz stawiałam obok tego meza do walki. Dawny czy też me, Kerovan czy nie, czy tego chciał czy nie - w owej chwili wiedziałam, iż między nami istnieją więzy takie, których ani Topor, ani Plomien by nie zaciął. Nie wiedziałam, czy jestem z tego powodu szczęśliwa, lecz było to nieuchronne jak sama śmierć.

Jeżeli tak, to muszę przy nim stanąć. Lecz jak mogłabym...

Nieomal krzyknęłam z bólu. Moje dłonie! Spojrzałam w dół. Przez moje kurczące się ciało przeswitywała jasność. Gryf ożywał, stawał się coraz goretszy. Czy tedy mogę posłużyć się nim tak samo jak Rogear i smagnąć płomieniami? Nie mogłam go już utrzymać, ból stawał się zbyt silny.

Jeśli chwycę go za łańcuch? Wypuściłam kule z dłoni. Zawisła na nim i było tak, jakby wszystkie lampy, które od niepamiętnych czasów rozjaśniały zburzone Ithkrypt, pomieszczyły się w tej jednej kuli!

-Spojrzcie na nią! - Dziewczyna z lewej skoczyła do mnie z

wyciągnięta ręka, aby wytrącić mi Gryfa.

Trzymając lano zamierzałam się na nią. Uciekła, kryjąc twarz w dłoniach i padając na ziemię z krzykiem.

I tak nauczyłam się posługiwać moim Gryfem! Nauczywszy się, zebrałam się w sobie, aby tę wiedzę do końca wykorzystać. Lecz nagle u moich stóp znalazła się niewielka czarna kulka, rzucona przez tę drugą. Kulka pękła i ze środka wypelzł oślizły czarny wąż, który owinał się wokół moich kostek niby atakująca zmija i unieruchomił mnie jak w stalowych okowach.

Tak mnie to zaskoczyło, iż nie widziałam, co dzieje się z moim małżonkiem. Teraz, uwieczona, niezdolna dalej sięgnąć kula, rozpaczona patrzyłam.

Drugi mężczyzna wyciągnął prawą dłoń i Rogear pochwycił ją. Z drugiej strony złączył dłonie z kobietą i we troje stanęli naprzeciw mego pana. Teraz kobieta wzięła do ręki coś, co dotąd wisiało jak miecz u jej paska - czarna laska, wzdłuż której pełzały jak żywe czerwone zygzaki. Wycelowwała tym w mego pana i zaczęła śpiewać przeciągle, opisując laską jego ciało od głowy po łydżwie i z powrotem do głowy.

Zobaczyłam, jak on dygotał i chwieje się, jakby padał na grad ciosów. Wciąż trzymał przed sobą rękę z błękitną opaską na przedramieniu, jakby śledzić nią ruchy laski. Ale wyraźnie było widać, że cierpi. Szamotałam się z ciemnym zwojem, chcąc się uwolnić i sięgnąć tej mrocznej trojcy moją kulą.

-Przepadnij na moje zadanie! - Głos kobiety zabrzmiał jak przewlekły grom. - Jak cie stworzyłam, tak teraz z woli mej zgin,

przepadnij!

Widziałam, jak pan moj - na Plomien, przysiegam - drzał na całym ciele, zbladł i stał się cieniem raczej niż materia. Nagle zadal wiatr, który targal i macil ten cien, rwac zen strzepy.

Balam się stracic Gryfa, lecz musiałam polozyć temu kres: wichrom, rykowi spiewo-gromu, pelgajacej lasce, która zacierała rysy mojego pana, jakby nigdy nie istniał naprawdę! Choc był tylko starganym cieniem, przecież wciąż stał i zdalo mi się, że laska ruszala się wolniej. Czyzby meczyła się?

Zobaczyłam twarz Rogeara. Przymknal oczy z wyrazem poteznego skupienia na twarzy, więc zgadlam, że wspiera kobiete swa własna moca. Czy osmiele się teraz wypuscic swoja jedyna bron?

W nadziei, że czynię słusznie, cisnelam Gryfem w Rogeara. Uderzył go w ramię, upadł na ziemię, poturlał się przez rog gwiazdy i zatrzymal tuż przed okregiem. Lecz ta dlon, która Rogear trzymal dlon kobiety, wysliznela się z jej uscisku i bezwolnie opadla. Upadł na kolana, pociagajac za soba tego drugiego, który runal na twarz i znieruchomial. A z ciała Rogeara, od miejsca, gdzie uderzył go Gryf, pelzaly promieniscie drobne, drapiezne plomyczki. On sam gwałtownymi ruchami ciała usilowal wyszarpnac dlon z dloni lezacego. Lecz zdalo się, że nie potrafi rozerwac zacisnietych palcow.

Ogien pospiesznie sunal wzdłuż jego ramienia na ciało drugiego mezczyzny. Teraz Rogear przestal się szamotac i zgadlam, że pozwala, by plomien przeszedł na tamtego, który wil się słabo i pojekiwal.

Gdy tak walczył, kobieta została sama. Trzymała łaskę w wyraźnie omdlewającej dłoni. Moj pan już nie był cieniem, a wiatr zamierał. Nie spuszczał z niej oczu, nie lekał się. W oczach jego widniało coś, czego nie umiałam odczytać. Teraz już nie usiłował zasłonić się przed łaską. Trzymał zapieśtek między sobą a nią na wysokości serca i wymówił słowa, które uciely jej zawodzenia.

-Czyż nie poznajesz mnie wreszcie, Tephana? Jam jest... - z jego ust padło słowo, które mogło być imieniem, lecz jego dźwięk nie przypominał żadnego znanego mi imienia.

Uniosła łaskę niby pejcz, jakby chciała ciąć go przez twarz w bezsilnej wściekłości.

-Nie!

-Tak i tak, i tak! Zbudziłem się - nareszcie!

Zawirowała łaska na wysokości ramienia jak maz, zanim cisnie oszczepem. I rzuciła ją, jakby chciała wbic mu jej koniec w serce.

Lecz mimo iż stał tak blisko, chybiła, a łaska przeszła ponad jego barkiem, uderzyła o kamień i rozprysła się z brzekiem.

Kobieta zakryła uszy dłońmi, jakby nie mogła zdzierzyć tego odgłosu. Zachwiała się, lecz nie upadła. Teraz Rogear podniósł się z ziemi i stanął koło niej. Jedną jego rękę zwisała bezużytecznie, drugą unosił nagle i oparł o jej ramię. Miał pobladłą twarz, lecz ujrzałam jego oczy i poznałam, że jego wola i nienawisc gorzeja.



-Glupia! - Jego wargi poruszały się, twarz stęzala w maske. -  
Walcz! Masz Moc. Czy pozwolisz, aby to, co stworzyłaś  
spaczone, teraz wzięło go nad toba?

Lord Amber rozesmiał się! Był to radosny śmiech, niemal  
beztroski.

-Ach, Rogear, ty, coś chciał wrota otwierać, zadny czegoś, co  
gdybys jeno znał - nie osmieliłbys się stawic temu czoła. Nie  
pojales prawdy? Siegasz po coś, czego nie tobie sięgnąć, a co  
dopiero użyć, bo to rzecz, której twój ciasny rozum nie  
pomiesci... Nie użyjesz jej w służbie Mroku...

Każde słowo smagało twarz Rogeara niby bicz i widziałam  
straszliwą wściekłość malującą się na niej. Zdawało mi się, iż  
człowiek takiej nie udzwignie. Poruszał ustami i na jego wargach  
zalsnila ślina. Potem usłyszałam jego głos.

Nie umiem wyrazić słowami tego, co jak echo zabrzmiało w mojej  
głowie. Wiem, że padłam na ziemię jak powalona ogromna  
dłonia. Ponad głową Rogeara stanęła kolumna czarnych  
płomieni, nie czerwonych jak czysty ogień, ale czarnych! Jej  
wierzchołek skłaniał się ku Amberowi. Ten nie uskokzył. Stał i  
patrzył, jakby go to nie dotyczyło.

Chociaż krzyknęłam ostrzegawczo, nie dosłyszałam własnych  
słów. Płomienie chyliły się i chyliły sponad gwiazdy, w której  
kregu były zamknięte, i zawisły nad głową Ambera. Nawet wtedy  
nie podniósł oczu, by spojrzeć na nie. Wpatrywał się w Rogeara.

A wokół Rogeara i kobiety, która trzymał za reke, płomień skakał,  
jakby żywił się ich ciałami. Ciemniał i ciemniał, aż skrył ich

całkiem. Nadal wierzchołek usiłował sięgnąć Ambera. Lecz nie sięgnął.

Powoli gasł, opadał, zmniejszał się. Znikał, a z nim kobieta i Rogear. Wreszcie została po nim zaledwie iskra na kamieniu... i nic! Nie było ich.

Zakryłam dłońmi oczy. Widzieć ten koniec... Ogarnął mnie niepojęty lek, chociaż to nie ja byłam zagrożona. Potem... Potem zaległa cisza.

Czekałam, by mój pan przemówił i otworzył mi oczy, bo nie doczekałam się jego głosu. Krzyknęłam, zapominając o wszystkim. Już nie stał prosto z podniesionym czołem. Leżał tak samo skulony i nieruchomy poza okregiem jak ci, co pozostali wewnątrz.

Zniknął wąż, co pętały moje stopy. Potykając się podbiegłam do Ambera. W biegu podniosłam Gryfa. Znowu była to zwyczajna kryształowa kulka, zgasło jej ciepło i życie.

Jak niegdyś trzymałam Torossa w obliczu śmierci, tak teraz przycisnęłam do siebie głowę mego pana. Miał zamknięte oczy. Już nie mogłam zobaczyć ich dziwnych złotych ogników. W pierwszej chwili pomyślałam, że nie żyje, ale palcami wyczułam serce i ono biło, choć powoli. Na tyle zwyciężył, że przeżył. Oby tylko udało mi się go utrzymać przy życiu...

-Będzie żył.

Obrocilałam głowę, przestraszona, gotowa wściekle bronić tego, którego trzymałam. A ten skąd się wziął? Stał plecami do skały,

wsparty lekko na lasce rzezanej w runy. Jego twarz zdawała się dziwnie zmieniać, gdy na niego patrzyłam, raz będąc twarzą meza w starszym wieku, to znowu młodego woja. Lecz ubiór jego był podobnie szary jak skala, przy której stał i mogły to być szaty kupca.

-Kim... - zaczęłam.

Potrzaskał głową, spoglądając na mnie z łagodnością, jakby uciszał dziecko.

-Coż znaczy imię? Dobrze, możesz mnie zwać Neevor, co jest tak dobrym imieniem jak którekolwiek inne i niegdys trochę się mnie - i nie tylko mnie - przydało.

Odstąpił od skały i wszedł w środek kregu. A gdy szedł, laska swoją kładł znaki z lewej i prawej. Zniknął złowrogi krag zewnętrzny i gwiazda. Potem wskazał na dziewczynę i na tamtego drugiego mężczyznę i inne pozostałości tych, którzy tutaj chcieli wezwać Mocę. Zniknęli, jakbym ich wyszła, a teraz obudziła się ze snu.

Wreszcie podszedł do mnie i do mojego pana, uśmiechając się. Znowu podniósł laskę, dotknął nią mego czoła, a następnie piersi mojego pana. Już się nie bałam: wypełniło mnie wielkie szczęście i odwaga i w owej chwili stanęłabym naprzeciw całej armii najeźdźcy. Lecz było to wspanialsze niżli odwaga bitewna, bowiem skłaniało się ku życiu, a nie śmierci.

Neevor skinął na mnie:

-Właśnie tak - oznajmił jakby z zadowoleniem. - Pilnuj swego

Klucza, Joisan, poniewaz obroci sie tylko dla ciebie, o czym wiedzial ten, ktory paral sie sprawami nie dla jego pojecia.

-Klucz? - zadziwil mnie jego nakaz.

-Ach, dziecko, co nosisz na piersiach? Dane ci to bylo w dobrej wierze i z wlasnej woli tego, ktory zaginione odnalazl, i nie przypadkiem. Jest czas, kiedy rysuje sie wzory, wedlug ktorych idziemy az po kres wszystkich lat przyszlych. Tkane tak... tkane inaczej...

Koniec jego laski poruszal sie tam i z powrotem po ziemi. Sledzilam ja wzrokiem, czujac, ze zrozumialabym, o czym pisze, gdybym tylko wiecej sie starala, wiedziala wiecej.

Uslyszalam jego smiech.

-Pojmiesz, Joisan, pojdziesz wszystko w swoim czasie.

Pan moj otworzyl oczy i bylo w nich zycie i rozumienie, lecz takze i zdziwienie. Poruszyl sie, jakby chcial sie ode mnie uwolnic, ale zaciesnilam uscisk.

-Jestem...

Obok nas stal Neevor, patrzac z cieplym usmiechem.

-Tutaj i teraz jestes Kerovanem. Moze nieco mniej niz dotychczas, lecz otworem przed toba stoi powrotna droga, jezeli zechcesz. Czyz nie nazwalem ciebie "bratem"?

-Lecz... ja... ja bylem...

Po raz wtory Neevor dotknal jego czola laska. - Byles czescia, nie caloscia. Taki, jakis jest teraz, nie moglbys dlugo zdzierzyc obecności tego, co zjawilo sie, by przypomniec ci, czym byles i czym mozesz byc. Tak samo jak tamci zalosni glupcy nie zdzierzyli zawezwanego przez nich samych zla, ktore wreszcie ich pochlonelo. Ciesz sie, Kerowanie, alisci szukaj... poniewaz ci, co szukaja, znajduja. - Obrocil sie lekko i wskazal laska na gladka, pusta sciane. - Oto sa wrota, otworzysz je, kiedy zechcesz, a za nimi znajdziesz wiele dla siebie ciekawych rzeczy.

Z tym zniknal!

-Panie moj!

Uwolnil sie ode mnie, usiadl. Ale nie odtracil mnie, czego sie obawialam, lecz wzial w ramiona.

-Joisan! - Wymowil zaledwie moje imie, lecz to wystarczylo. Oto byla ta jednosc, ktorej zawsze bezwiednie szukalam, a znalezc ja znaczylo miec przed soba tyle bogactw swiata, ile sie tylko zapragnie.

Kerovan

Trzymalem Joisan w ramionach. To ja, Kerovan, przeciez bylem Kerovanem. A jednak...Jak do mnie przywarlo wspomnienie o tamtym, co przywdzial moje cialo na chwile, jak ja przywdziwalem zbroje, tak teraz przywarlem do Joisan, ktora byla istota ludzka, ktora zyła zyciem takim, jakie znalem, a nie...

Nagle cala swiadomosc kim i czym bylem w postaci Kerovana,

wrocila. Lagodnie odsunalem Joisan. Wstalem i pomoglem jej wstac. Wowczas ujrzałem, że szczęście promieniejące z jej twarzy gasło i że patrzyła na mnie zatroskanym wzrokiem.

-Ty... ty odchodzisz! - Złapała mnie za przedramię i nie pozwoliła, bym się od niej odwrócił. - Czuje to... odchodzisz ode mnie, bo tego chcesz! - Teraz w jej słowach pobrzmiwał gniew.

Przypomniałem sobie nasze pierwsze spotkanie i to, jak na mnie w tamtej chwili patrzyła - na mnie, w części człowieka, ale w części inna istota, której jeszcze ani nie znałem, ani rozumiałem.

-Nie jestem Dawnym - powiedziałem jej wreszcie. - Rzeczywiście jestem Kerovanem, który narodził się właśnie taki! - Strzasnałem z siebie jej reke i cofnąłem o krok, aby dokładnie mogła obejrzeć moje nogi zakończone racicami. - Poczalem się z czarow, aby być narzędziem w rękach kogos, kto zapragnął posiadać Moc. Sama widziałas, jak usilowała zniszczyć, co stworzyła, i sama została zniszczona.

Joisan spojrzała ku miejscu, gdzie płomień strawił tych dwoje.

-Po dwakroć jestem przeklęty od narodzin: z krwi mojego ojca i pragnienia mojej matki. Rozumiesz? Nie jestem godzien zwykłej kobiety. Jak rzekłem - Kerovan zginał. Oto prawda, tak jak i to, że Ulmsdale leży w gruzach, a z nią cały Rod Ulma...

-Tys moim obiecanym i zaslubionym panem, mozesz sie zwac jak zechcesz.

Jak mogłem zerwać te więzy, które ona tak mocno wokół nas zadzierzgała? Polowa mnie - nie, więcej niż polowa - pragnęła

ulec, być jak inni mężczyźni. Lecz przecież byłem naczyniem, które na chwilę wypełniło się czymś, co nie było mną. I chociaż już znikło... Jak mogłem być pewny, iż to już nie wróci, na tyle silne, aby dosięgnąć Joisan? Nie mogłem - ja naznaczony, przeklęty, szpetny - jakimkolwiek by mnie mianem nazwać, by najlepiej pasowało - nie mogłem być dla niej mężem.

Raz jeszcze odsunąłem się, aby jej dłoń znowu nie dotknęła mojej, gdyż wtedy nie mogłbym już okiełznać pragnienia, które wyrosło z mojej ludzkiej części. Ale też nie mogłem się całkiem od niej odwrócić i zostawić ją sama na Odlogach. A jeżeli zawiozę ją z powrotem do jej towarzyszy, czy uda mi się wytrwać w postanowieniu?

-Czyżbyś nie słuchał słów Neevora? - Nie szła za mną, ale stała, przyciskając dłonie do piersi nad kula z Gryfem. - Więc nie słuchales? - W jej głosie wciąż dzwieczył gniew i patrzyła na mnie, jakby moja głupota wytraciła ją z równowagi. - Nazwał cię bratem, a więc jesteś znaczniejszy, niż masz o sobie mniemanie. Ty jesteś sobą i nikt się toba nie będzie wysługiwał, Kerovanie. I jesteś też moim drogim panem. Jeżeli będziesz się starał temu zaprzeczyć, to przekonasz się, że nie mam ja dumy. Pojde za toba wszędzie i wobec wszystkich ciebie będę się domagać. Czy mi wierzysz?

Wierzyłem i wierząc zrozumiałem, że teraz powinienem udac zgodę.

-Tak - odpowiedziałem po prostu.

-Wystarczy. A jeżeli w przyszłości spróbujesz znowu ode mnie odejść, nie przyjdzie ci to łatwo. - Nie ostrzegła ani obiecywała,

ale najzwyczajniej mi to oznajmiła. Zadowolona z takiego rozwiązania powtórnie spojrziała na skale.

-Neevor mówił o wrotach, do których trzymam Klucz. Pewnego dnia wypróbuję go.

-Pewnego dnia? - Teraz gdy zawiadnałem nad burzą moich uczuć, lepiej pamiętałem słowa Neevora.

-Tak. My... my nie jesteśmy przygotowani... myślę... czuję... - Skinęła głową. - To rzecz, której musimy dokonać razem, pamiętaj o tym Kerovane: razem!

-Gdzie więc pojedziemy? Z powrotem do twoich? - Czuję, że nie mam korzeni, że jestem zagubiony w tych dolinach. Pozostawiałem jej wybór, ponieważ prócz tych nie miałem już innych wież.

-Tak będzie najlepiej - odpowiedziała radośnie. - Przysięgam im, że ich zaprowadzę w miejsce na tyle bezpieczne, na ile to obecnie możliwe. A potem będziemy wolni!

Rozrzuciła szeroko ramiona, jakby już czuła smak wolności. Lecz czy będzie to wolność, jeżeli nie porzuci tamtych wież? Pojść z nią jej droga, bowiem nie mam wyboru. A jednak nigdy nie pozwoli, by spojrziała na Kerovana, któremu była zaprzysiężona - i zalała tego.

Joisan

Biedny mój pan, jakże gorzkie i bolesne musiał w przeszłości odnieść rany! Chciałabym móc cofnąć czas i zetrzeć w proch



pamięć o każdej po kolei. Zwanego potworem, aż sam w to uwierzył - lecz gdyby tylko mógł spojrzeć na siebie moimi oczami...! Pojdziemy razem i ja zbuduję lustro, aby mógł zobaczyć w nim siebie takim jaki jest i, widząc się, uwolnić od wszystkiego smutku, którym omotali go tamci z Ciemności. Tak, wrócimy do moich - chociaż po prawdzie nie są już moimi - ponieważ czuję, jakbym wstąpiła na inną drogę i dostrzegając zaledwie cząstkę tego, co pozostało za mną. Upewnimy się, że trafia do Norsdale. A potem...

Tak rozmyślałam w owej godzinie i myślałam mądrze.

Gdyż niekiedy mądrość przychodzi nie z wiekiem i doświadczeniem, lecz nagle jak lotem strzały. Sciskałam mój Klucz w dłoni, ten dar zaślubinowy, który wprawdzie był mi przekleństwem, a potem ratunkiem. Drugą dłoń włożyłam w dłoń mojego małżonka i tak szliśmy razem, na czas jakiś odwracając się od wrot obiecanych nam w słowach Neevora, wiedząc w sercu, że tam powrócimy i że otworzą się na... Lecz czy ważne było, co leży za nimi, jeżeli ujrzymy to razem?

This file was created with BookDesigner program

[bookdesigner@the-ebook.org](mailto:bookdesigner@the-ebook.org)

2010-01-23

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; [msh-tools.com/ebook/](http://msh-tools.com/ebook/)